

JÓZEF PAWLUCZYK

# CIERNIOWA DROGA DO WOLNOŚCI



WSPOMNIENIA ŻOŁNIERZA AK  
Z OKRESU OKUPACJI NIEMIECKIEJ,  
SOWIECKIEJ I Z CZASÓW PRL-u

BIAŁYSTOK 2005

JÓZEF PAWLUCZYK

CIERNIOWA DROGA  
DO WOLNOŚCI

Wspomnienia żołnierza AK  
z okresu okupacji  
niemieckiej, sowieckiej i z czasów PRL-u

Białystok 2005

**Polskie Towarzystwo Historyczne  
Oddział w Białymstoku**

Redakcja naukowa: Jan Snopko  
Redakcja literacka: Anna Wydrycka

©opyright – Józef Pawluczyk

ISBN – 83-922263-2-1

ISBN – 83-922299-9-1

**Wydawcy:** **Polskie Towarzystwo Historyczne O/ w Białymstoku**  
Bank Spółdzielczy w Zabłudowie, Filia nr 9 w B-stoku  
nr konta: 08 8099 0004 0013 3030 2000 0010

**BUK**

WYDAWNICTWO

ul. Nowowarszawska 25,

15-205 Białystok, tel.: (085) 868 40 60

**Druk:**

**biały druk**, tel. (085) 740 47 04

Autor składa serdeczne podziękowanie Prof. Adamowi Dobrońskiemu, Prof. Cezaremu Kukło, Dr Annie Wydryckiej, Dr Janowi Jerzemu Milewskiemu i Dr Janowi Snopko za życzliwe zainteresowanie pamiętnikiem i zaangażowanie w wydanie tej książki. Dziękuje też Burmistrzowi Miasta Augustowa Leszkowi S. Cieślakowi, Ks. Proboszczowi parafii Św. Stanisława Kostki w Pozezdrzu Franciszkowi Socikowi, Pawłowi Rychlińskiemu oraz innym licznym Ofiarodawcom, którzy wsparli przedsięwzięcie finansowo.



## Przedmowa

Pamiętnik Józefa Pawluczuka, żołnierza Armii Krajowej ps. „Palma”, jest jednym z nielicznych publikowanych dotąd pamiętników partyzanckich z terenu Augustowszczyzny. Jego wspomnienia ukazują skomplikowane, wojenne i powojenne losy pokolenia zaangażowanego w działalność niepodległościową przeciwko obu okupantom – niemieckiemu i sowieckiemu. Dla wielu z tych ludzi pokonanie hitlerowskich Niemiec w maju 1945 roku nie oznaczało bynajmniej spokoju i powrotu do normalnego życia.

Autor był mieszkańcem wsi Bohatery Leśne Stare, położonej we wschodniej części powiatu augustowskiego, na pograniczu Augustowszczyzny i Grodzieńszczyzny. Tak jak wielu mieszkańców ziem wschodnich Drugiej Rzeczypospolitej, doświadczył on ciężarów kilku okupacji – sowieckiej w okresie 1939-1941, niemieckiej lat 1941-1944 i ponownie sowieckiej od lata 1944 roku. Rodzinna miejscowość Pawluczuka – Bohatery Leśne – znalazła się przy samej linii demarkacyjnej niemiecko-sowieckiej w okresie 1939-1941, a później przy granicy polsko-sowieckiej – najpierw po wschodniej, a później po zachodniej stronie tzw. linii Curzona. Mieszkańcy spokojnych osad, położonych na obrzeżach Puszczy Augustowskiej, stali się świadkami zmagania dwóch wielkich totalitaryzmów.

Już od pierwszych tygodni okupacji sowieckiej na ziemiach tych zaczął rodzić się ruch oporu, powstało szereg organizacji konspiracyjnych, które później zostały scalone w ZWZ-AK. Nastroje społeczeństwa polskiego i pierwsze, spontaniczne formy oporu „za pierwszego sowieta”, zajmują wiele miejsca na łamach „Cierniowej drogi do wolności”. Armia Krajowa była główną siłą wojskowo-polityczną na Augustowszczyźnie. Duże

zalesienie terenu (kompleks Puszczy Augustowskiej) i stosunkowo jednolita struktura narodowościowa sprzyjały rozwojowi struktur konspiracyjnych i działaniom partyzanckim.

Augustowski Obwód AK terytorialnie dzielił się na pięć rejonów (odpowiednik batalionu), obejmujących każdy po trzy placówki (odpowiednik kompanii). Komórka AK z Bohater Leśnych należała do placówki Hołynka, która wchodziła w skład rejonu IV (obejmującego gminy-placówki Lipsk, Hołynka i Sopoćkinie). Wiosną 1944 roku wschodnie placówki Obwodu Augustów zostały włączone organizacyjnie do Obwodu Grodno Prawy Niemen. Dlatego też Autor wspomnień, razem z grupą kolegów z sąsiednich wsi, znalazł się w kompanii terenowej nr 8, dowodzonej przez ppor. Bolesława Burakiewicza ps. „Zaleski”. Była ona wystawiana przez placówki Hołynka, Łabno, część placówki Lipsk, i podlegała komendzie Obwodu Grodno Prawy Niemen.

Do głównych zadań grupy akowców z Bohater – Wołkuśza należało utrzymywanie łączności między Obwodem Augustowskim a Obwodami Grodzieńskimi oraz przerzuty osób zagrożonych aresztowaniem do oddziałów leśnych w Puszczy Augustowskiej. Działalność ta została barwnie ujęta na kartach wspomnień.

Tragedią dla mieszkańców tych ziem było ustanowienie granicy polsko-sowieckiej jesienią 1944 roku. Sztucznie poprowadzona linia graniczna rozdzieliła rodziny, sąsiadów, podzieliła społeczności lokalne zamieszkujące tam od pokoleń. Bohaterzy Leśne znalazły się początkowo po sowieckiej stronie „linii Curzona”, dopiero po korekcie granicy w 1948 roku przyłączone zostały do Polski. Dla mieszkańców – zwłaszcza tych związanych z konspiracją – przyjscie Armii Czerwonej oznaczało nie tylko wyzwolenie spod okupacji niemieckiej, ale i kolejną falę represji. Dramatycznie potoczyły się losy żołnierzy AK – rozbrajanych, aresztowanych i wywożonych do obozów internowania.

W tych warunkach Komendant Białostockiego Okręgu AK płk Władysław Liniarski ps. „Mścistał” nie rozwiązał organizacji. Podległe mu struktury konspiracyjne kontynuowały dzia-

łalność – od lutego 1945 roku już pod nazwą Armia Krajowa Obywateli (AKO). Na akowców z placówek przygranicznych spadły nowe, ważne zadania – ewakuacja struktur konspiracyjnych z „linii Curzona”, przerzucanie zagrożonych aresztowaniem osób z Grodzieńszczyzny, Wileńszczyzny, Nowogródzkiej na teren województwa białostockiego i dalej na tzw. Ziemię Odzyskaną. Grupa akowców z Bohater zajmowała się przerzucaniem „spalonych” i poszukiwanych przez NKWD członków podziemia z Grodzieńszczyzny na zachód oraz nawiązywaniem łączności – coraz trudniejszej do utrzymania – między Obwodami AKO Augustów i Grodno. Ważną rolę w tych wydarzeniach odgrywał Autor wspomnień. Rewelacyjnie prezentują się jego opisy przekraczania granicy, przeprowadzania uciekinierów, umykania obławom i zasadzkom wojsk pogranicznych i NKWD. Bardzo interesująco przedstawił on problem zwalczania rozplenionego po wojnie bandytyzmu, tak często przypisywanego przecież ludziom podziemia. Lokalne struktury AKO w gminie Lipsk zorganizowały akcję przeciw grupom rabunkowych i próbowały rozwiązać ten problem we własnym zakresie.

Żołnierskie szczęście i zimna krew nie opuściły Józefa Pawluczycy podczas obławy augustowskiej w lipcu 1945 roku. Wyszedł on cało z wielkiej operacji wojsk NKWD, w trakcie której zaginęło – a faktycznie zginęło – około sześciuset aresztowanych mieszkańców Suwalszczyzny. Była to – jak się dziś ocenia – największa zbrodnia na Polakach po wojnie. Autor w ciekawy sposób opisuje metody działania NKWD podczas tej obławy. Jego opis wydarzeń i sugestie z tym związane wydają się bardzo trafne.

Zagrożony aresztowaniem i poszukiwany po obu stronach granicy przez UB i NKWD, Autor wspomnień zmuszony został do wyjazdu na początku 1946 roku na Ziemię Odzyskaną. Także te fragmenty pamiętnika obfitują w barwne opisy wydarzeń z lat powojennych na terenie województwa olsztyńskiego, czy sytuacji w Pozezdrzu, gdzie się ostatecznie osiedlił pod fałszywym nazwiskiem. Pawluczyk przedstawia niełatwą sytuację i rozterki żołnierzy AK – próby podejmowania pracy,

dylematy (ujawniać się, czy nie?), prowokacje i nękania przez władze bezpieczeństwa.

Amnestia i ujawnienie się Autora w 1947 roku nie gwarantowały spokoju. W latach następnych Pawluczyk był kilkakrotnie aresztowany i wiele miesięcy spędził w aresztach UB w Giżycku, Kętrzynie, Augustowie i Białymstoku. Później praktycznie aż do lat osiemdziesiątych pozostawał pod obserwacją, otoczony wianuszkami donosicieli. Był niejako „podwójnie” podejrzany, gdyż oprócz akowskiej przeszłości miał obywatelstwo amerykańskie i rodzinę w USA.

W tomie wspomnień zamieszczono też wybór dokumentów, w tym niewielką część teczek pokrzywdzonego z zasobu Instytutu Pamięi Narodowej oraz – na końcu – wybrane biogramy osób występujących na łamach wspomnień.

Pamiętnik Józefa Pawluczyka jest niezwykle interesujący dla Czytelnika i inspirujący dla historyków dziejów najnowszych regionu. Jego życie jest ilustracją burzliwych, momentami bardzo tragicznych, dziejów Polski w XX wieku. Pokazuje losy zwykłego człowieka uwikłanego w wir wielkich wydarzeń i wielkiej polityki. Jest wreszcie świadectwem patriotyzmu mieszkańców Augustowszczyzny i Grodzieńszczyzny, którzy nie wahali się zaryzykować życia swego i swoich najbliższych, kiedy Ojczyzna była w potrzebie.

*Jan Snopko*

## WSTĘP

Urodziłem się 24-go stycznia 1921 r. w Filadelfii, w USA, jako syn Jana Pawluczyka i Zofii z domu Sztukowskiej. Jako mały chłopiec powróciłem z rodzicami ze Stanów Zjednoczonych. Osiedliliśmy się w miejscowości Bohatery Leśne Stare gm. Lipsk, pow. Augustów.

W zamierzonych czasach tereny te porastały bory Puszczy Perstuńskiej, której pozostałością jest obecnie Puszcza Augustowska. Pilnowaniem puszczy królewskich zajmowali się tzw. osocznicy – rodzaj służby leśnej, która strzegła zwierzyny, uczestniczyła w polowaniach, nadzorowała puszczańskie trakty. Od osoczników Bohatyrewiczów pochodzi zapewne i nazwa wsi Bohatery Leśne<sup>1</sup>. Kiedy byłem dziesięcioletkiem, słuchałem opowiadań najstarszego mieszkańca naszej wsi, przeszło dziewięćdziesięcioletniego pana Rabczyńskiego, który mówił, że za czasów powstania styczniowego były nasyłane na mieszkańców wsi sotnie kozackie z nahajami. Twierdził on, że sam brał udział w barykadach, nie wpuszczając Kozaków do wsi, stawiając opór przed grabieżą i podpalaniem zabudowań. Zniszczenia przyniosła też pierwsza wojna światowa, gdyż w okolicy toczyły się zaciekle boje między wojskami carskimi a oddziałami niemieckimi<sup>2</sup>.

<sup>1</sup> Według J. Wiśniewskiego w XVII w. kwatery wołkuskiej (południowa część Puszczy Perstuńskiej) pilnowało 30 osoczników ze wsi Kurianowice (dziś Kurianka), 17 ze wsi Bohatry (dziś Bohatery Leśne) i 6 ze wsi Markowice. Osocznikom przydzielano na uposażenie po pół włóki ziemi (ok. 8 ha). Szerzej zob. J. Wiśniewski, *Dzieje osadnictwa w pow. augustowskim od XV do końca XVIII wieku*, [w:] *Studia i materiały do dziejów Pojezierza Augustowskiego*, pod red. J. Antoniewicza, Białystok 1967.

<sup>2</sup> W lutym 1915 r. w rejonie Rudawka – Wołkusz otoczony został przez jednostki niemieckie XX korpus armii rosyjskiej. Rosjanie desperacko próbowali wydostać się z okrążenia i przebić w kierunku Grodna. Po zużyciu amunicji

Pierwotnie wieś występowała jako jedna, pod nazwą Bohatery Leśne. W wyniku pożarów i zniszczeń wojennych mieszkańcy zaniechali odbudowy na starych, zagęszczonych placach i przenieśli się o niecały kilometr dalej, tworząc równoległy do starej wsi nowy szereg zabudowań – Bohatery Leśne Nowe. Obie wsie położone są na obrzeżach Puszczy Augustowskiej, w widłach rzek Wołkuszanki i Perstunki. Według stanu z 1939 r. wieś Bohatery Leśne Stare miała 42 gospodarstwa. Moje rodzinne gospodarstwo nosiło nr 20. Bohatery Nowe, położone bliżej rzeki Perstunki, liczyły wtedy 21 gospodarstw. Obie wsie zamieszkiwała ludność rolnicza, ale gospodarstwa były niezbyt duże, a na dodatek grunty były przeważnie IV klasy (częściowo też V klasy). Z racji położenia przy kompleksie leśnym część ludności w okresie jesienno-zimowym dorabiała, pracując przy wyrębach, wywózce drzewa, zalesianiu itp. Było nawet kilku zawodowych wozaków, którzy zajmowali się transportem drewna budulcowego. Utrzymywali oni ciężkie konie pociągowe i odpowiedni sprzęt. Drewno dowożono na tzw. bindugi – wzgórza położone nad Kanałem Augustowskim i rzekami połączonymi z kanałem. Z bindug kloce staczano na wodę i formowano w tratwy. Jedno z takich bardziej używanych miejsc było w Mikaszówce.

W okolicy Bohater znajdowało się kilka charakterystycznych miejsc, o których pamięć przetrwała dzięki opowiadaniom najstarszych mieszkańców wsi. Około 6 km w kierunku północno-zachodnim jest polana leśna o nazwie „Trzech Krzyży”. Stały na niej trzy krzyże po poległych powstańcach z 1863 r. Miał tam być obóz powstańczy. Natomiast łąki położone nad rzeką Wołkuszanką nazywały się „Cygańskie Mogiły”. Miało to związek z rozplenioną w pewnym okresie kradzieżą koni i zaangażowaniem w ten proceder Cyganów. Obóz cygański na wspomnianych łąkach został rozbity przez gospodarzy ścigających koniokradów. Prawdopodobnie zabito tam dwóch Cyganów i na miejscu pogrzebano. Z kolei nazwa

---

doszło do niezwykle krwawych i zaciekłych walk na bagnety. Korpus rosyjski (ok. 30 tys. ludzi) został prawie doszczętnie zniszczony.

„Młynek” dotyczy odległego o niecałe 2 km miejsca na rzece Wołkuszance, gdzie był młyn wodny z zaporą, prowadzony przez młynarza pana Rudnickiego. Korzystali z niego gospodarze okolicznych wsi. W latach 1939-1941 młyn znalazł się na granicy niemiecko-sowieckiej i później z całego obiektu pozostał tylko most na rzece i nazwa miejsca - „Młynek”.

Mieszkańcy Bohater Leśnych Starych i Nowych byli w 100% wyznania katolickiego. Należeli do parafii w Hołynce. Zmiany nastąpiły w kwietniu 1948 r., kiedy to po skorygowaniu granicy nasze tereny zostały przyłączone do Polski, a kościół parafialny w Hołynce został po stronie ZSRR. Wierni zostali przydzieleni do parafii w oddalonej o 8 km Rygałówce. Mieszkańcy Bohater Starych, Nowych, Wołkusza w czynie społecznym wybudowali we wsi Bohatery Stare obszerną kaplicę i wyposażyli ją z własnych składek, w części z zagranicy (dołożył się i mój brat Waclaw z USA). Umożliwiło to odprawianie nabożeństw przez dojeżdżających księży z Rygałówki. W zakresie oświaty była szkoła siedmiooddziałowa w Bohaterach Starych, ulokowana w dwóch dzierżawionych pomieszczeniach. Przebieżnie zatrudniano dwóch nauczycieli. We wsi najczęściej było rodzin o nazwisku Dadura, Wilczyński i Baranowski. W 1939 r. na 42 rodziny aż 14 nosiło nazwisko Dadura.

Rodzice po powrocie z USA nabyli gospodarstwo rolne z folwarku własności Bolesława Kulmaczewskiego, położone w Hołynce oraz w Bohaterach Leśnych. Szkołę 7-klasową ukończyłem w Bohaterach. Nie podjąłem nauki w szkole średniej, ponieważ starszy brat Waclaw, korzystając z przywilejów obywatelstwa amerykańskiego, zrezygnował z pracy na roli i wyjechał do Stanów Zjednoczonych. Jak mi wiadomo, jego też nie ominęła służba wojskowa. Z chwilą przystąpienia USA do działań wojennych został powołany do armii. Był uczestnikiem walk w Anglii, Normandii, Francji, Belgii, Holandii oraz w Niemczech i w Czechosłowacji. Pomimo tak długiego frontowego marszu, dzięki Opatrzności Bożej, był tylko raz ranny i pozostał przy życiu. Obecnie zamieszkuje w USA.

Sytuacja zmusiła mnie więc do podjęcia pracy w gospodarstwie. Tu muszę się zwierzyć, że od lat dziecinnych ciągnę-



ło mnie do wojska. Skłonności te być może zostały odziedziczone po wujku – rodzonym bracie matki. Stanisław Sztukowski był ochotnikiem podczas wojny polsko-bolszewickiej w latach 1919-1920 i całe swoje życie poświęcił służbie wojskowej, awansując do kadry oficerskiej. Często w gronie rodzinnym miałem możliwość przysłuchiwania się opowiadaniom o walkach o niepodległość. Wzbudzało to we mnie zainteresowanie i podziw dla patriotyzmu legionistów i żołnierzy.

Stanisław Sztukowski po odzyskaniu niepodległości pełnił różne funkcje, przede wszystkim w Korpusie Ochrony Pogranicza na wschodniej granicy. W 1937 r. został przeniesiony w stan spoczynku, jego emerytura nie była mała jak na owe czasy, wynosiła 360 zł miesięcznie. Zamieszkał w Suwałkach, przy ul. E. Plater, następnie przy ul. Gałaja, obok apteki Bujakowskiego, z którym utrzymywał dobre stosunki. Aptekarz był ojcem chrzestnym jego syna Janusza. W okresie okupacji niemieckiej z apteki przekazywane były leki dla potrzeb ZWZ-AK. S. Sztukowski już w 1940 r. należał do podziemnych struktur organizacyjnych. W związku z „wsypą” w 1943 r. został aresztowany przez gestapo. Zginął w obozie w Stutthofie, osierocając żonę i syna.

## ROZDZIAŁ I

### Wrzesień 1939-go roku

Nadszedł pamiętny wrzesień 1939 r. Całe lato i jesień tego roku były pogodne i ciepłe. Mniej sprzyjająca była aura polityczna. Według prasy, rozmowy polskiego ministra spraw zagranicznych z Hitlerem nie przynosiły nadziei pokojowych. Mieszkańcy naszego regionu zdawali sobie sprawę z poczynań Hitlera, a tym samym z nieuniknionej wojny z Niemcami. Polskie władze wojskowe już parę miesięcy wcześniej zwiększyły pobór do wojska. Część społeczeństwa jeszcze się łudziła, że Hitler nie ośmieli się wszcząć wojny z Polską, ze względu na pakt z Francją i Anglią. Nic jednak nie powstrzymało szaleńca. 1 września komunikaty radiowe podały informację o napaści hitlerowskiej. Kraj został zaatakowany z lądu, morza i powietrza.

Mieszkańcy naszej wsi w ciepłe wrześniowe wieczory i noce przesiadywali w ogródkach i na przydomowych ławkach, dyskutując o przebiegu walk frontowych i o innych wojennych wydarzeniach. Wszyscy spodziewaliśmy się nadejścia Niemców od strony Osowca, gdzie toczyły się boje. Coraz wyraźniej było widać nocne luny wybuchów i pożarów. Mieszkańcy zaczęli zabezpieczać żywność. Niektórzy rolnicy zakopywali nawet zboże do specjalnych wędolów. Zwiększył się ubój trzody chlewnej. Mięso było solone, składowane do wodoszczelnych konwi i zatapiane w przyzagrodowych stawach, a nawet w studniach. Wszyscy byliśmy nastawieni na zajęcie naszych terenów przez wojska niemieckie.

Jednak wówczas nie ukazał się u nas ani jeden niemiecki żołnierz. W niespełna dziesięć dni po 17 września pierwszymi oddziałami nieprzyjacielskimi okazały się wojska sowieckie, ogłaszające się jako oswoobodziciele. obrońcy Grodna pod do-

wództwem gen. Olszyny-Wilczyńskiego<sup>3</sup>, z grupą ochotników-studentów, zmuszeni zostali do cofania się w kierunku granicy litewskiej, poprzez Sopoćkinie na Kalety – Stanowisko. Bój o miasteczko Sopoćkinie, położone niecałe 7 km od naszej miejscowości, nie powstrzymał sowieckich czołgów. Za górą Kuleszowską, obok wsi Nowiki został zaskoczony gen. Józef Olszyna-Wilczyński wraz ze swoim adiutantem kpt. Mieczysławem Strzemeskim. Wziętych do niewoli od razu rozstrzelano.



Grób gen. Józefa Olszyny-Wilczyńskiego na cmentarzu w Teolinie

W obronie Grodna<sup>4</sup> uczestniczył jeden z moich najbliższych kolegów Adolf Krawczyk, który awansował w tych po-

<sup>3</sup> Olszyna-Wilczyński Józef Konstanty (1890-1939), oficer Legionów Polskich, uczestnik wojny polsko-bolszewickiej, od lutego 1938 r. dowódca Okręgu Korpusu III Grodno. Podczas walk o Grodno przebywał on w miasteczku Sopoćkinie. O świcie 22 IX 1939 r. wraz z żoną i adiutantem wyruszył samochodem w kierunku granicy litewskiej, został jednak zatrzymany i rozstrzelany (razem z adiutantem) przez czołgistów sowieckich. Pochowany na cmentarzu w Teolinie.

<sup>4</sup> Obrona Grodna przed przeważającymi siłami sowieckimi trwała od 20 do 22 września 1939 r. Spontaniczną walkę podjęły przebywające w mieście oddziały wojska (przeważnie rezerwowe), wsparte przez młodzież gimnazjalną i ludność cywilną. W krwawym boju sowiecka szpica pancerna poniosła znaczne straty. Szerzej zob. M. Bielski, *Obrona Grodna we wrześniu 1939 r.*, „Wojskowy Przegląd Historyczny” 1990, nr 3-4, s. 52-77.

tyczkach z kaprała na plutonowego i objął funkcję dowódcy plutonu; w późniejszych czasach żołnierz AK pod ps. „Głaz”. Przed przekroczeniem granicy litewskiej dowództwo, zapoznając żołnierzy z sytuacją, pozostawiło im prawo wyboru. Część zrezygnowała z internowania na Litwie. Rozbijając się na drobne grupki, czasem nawet po cywilnemu, żołnierze starali się przedostać na zaplecze frontu. Nieliczni poddali się do niewoli sowieckiej. Propaganda sowiecka w rozrzucanych ulotkach głosiła przez cały czas: „Żołnierze szeregowi, rzućcie broń i wracajcie do domów rodzinnych »kartoszku ryć«!”, co w praktyce nie pokrywało się z prawdą.

Obwodowa linia frontu, zabezpieczająca zaplecze wojsk sowieckich, chwilowo ukształtowała się na Kanale Augustowskim i na Czarnej Hańczy. Most na tej rzece był strzeżony dzień i noc przez sowieckie patrole, teren lasów i zarośli był penetrowany przez piechotę i patrole konne. W pierwszej fazie zgłaszających się do niewoli żołnierzy nawet ich zwalniano. Był to chwyt propagandowy. Po kilku dniach nie tylko nie zwalniano, ale nawet nie brano do niewoli. Bezbronnych polskich żołnierzy z rękami podniesionymi do góry patrole sowieckie rozstrzeliwały. Często echo leśne pozwalało słyszeć komendy: „Strelaj, strelaj s... syna!” Przeworniejsi żołnierze nie ufali propagandzie sowieckiej, rozbijając się na drobne grupki, usiłowali przedrzeć się na zaplecze frontowe.

Jedna z takich grupek dotarła do wsi Giby. Siedmiu żołnierzy zatrzymało się w stodole państwa Fimowiczów. Rano dnia następnego do Gib wkroczyły wojska sowieckie. Żołnierze ci, nie mogąc ani ukryć się, ani stoczyć jakiegokolwiek bitwy, poddali się do niewoli, licząc na to, że będą zatrzymani jako jeńcy wojenni. Niestety, po rozbrojeniu odprowadzono ich nad rów naprzeciw zagrody państwa Krajewskich i na oczach mieszkańców Gib wszystkich rozstrzelano. Mieszkańcy pogrzebali ich i opiekowali się przez cały czas ich grobami.

Po podziale Polski przez okupantów teren ten (okolice Gib) był zajęty przez Niemców. Wojska sowieckie wycofały się z Suwalszczyzny na południowy wschód, aż po rzekę Wołkuszanek, która w większości swego biegu stanowiła linię demarkacyj-

na sowiecko-niemiecką. Podczas okupacji hitlerowskiej Niemcy nie zwracali uwagi na to, kto opiekuje się grobami zamordowanych żołnierzy. Po 1945 r., za czasów PRL-u, opiekujące się kobiety czynności te musiały wykonywać po kryjomu. Towarzy-sze z Powiatowego Komitetu PZPR w Sejnach na jednym ze swoich zebrań zalecili ustalić osoby, które dbają o groby, okre-ślając je jako pozostałości reakcji. Jedną z opiekujących się ko-biet była moja teściowa, mieszkanka Gib, Janina Brzozowska. W chwili obecnej w miejscu grobów znajduje się kościół.

W 1939 r. mojemu koledze Adolfowi Krawczykowi z grupką żołnierzy, udało się szczęśliwie umknąć sowieckim patrolom, a to może dlatego, że plutonowy Krawczyk znał dobrze tereny nadgraniczne – Rygol, Stanowisko, Kalety itd. Rodzinna miejscowość – Bohatery Leśne nie była zbyt odle-gła, w linii prostej ok. dwudziestu paru kilometrów. Gorzej było przy przekradaniu się na zaplecze pozafrontowe, a szcze-gólnie przy przekraczaniu Czarnej Hańczy. Podczas nocnej przeprawy najczęściej kłopotów sprawił kapral Lis. Złapał go skurcz, należało go ratować przy absolutnej ciszy: Kapral Lis pochodził z sąsiedniej wsi, obok miasteczka Sopoćkinie. W czasie okupacji niemieckiej miałem możliwość (nawet we wła-snym domu) spotykać się z uczestnikami tej przeprawy. Za każdym razem opowiadali o niej, dziękując sobie nawzajem.

Plut. Krawczyk, podejmując decyzję o rezygnacji z inter-nowania, zakonserwował posiadaną broń i zmagazynował, zakopując po sporządzeniu planu i specjalnym oznakowaniu miejsca. Jesienią 1941 r. broń została przeniesiona w IV Rejon przyszej działalności Obwodu Augustowskiego ZWZ-AK. Posłużyła do uzbrojenia członków AK w 1942 r. W przerwaniu broni brali udział zaufani członkowie grupy bohaterskiej (na-zwa od wsi Bohatery), w późniejszym okresie żołnierze Armii Krajowej: Krawczyk Adolf ps. „Głaz”, Pawluczyk Józef ps. „Palma”, Dadura Jan ps. „Leszczyna”, Wilczyński Jan ps. „Fi-giel”. Konserwacji tej broni dokonał brat „Figla”, z zawodu ślusarz, Franciszek Wilczyński ps. „Poniatowski”.

## Obraz pobojuwiska pod Stanowiskiem

Nie uwierzyłbym w opowiadanie o następującym zdarze-niu, gdybym nie był jego świadkiem. Żołnierze polscy nie byli na bieżąco grzebani. Sowietci najprawdopodobniej swoich za-bitych zabierali, gdyż nie było widać żadnego zabitego so-wieckiego żołnierza. Ciała zabitych Polaków, podobnie jak wnęki obronne, w których leżeli, były całe zbroczone krwią. Pozostawiano polskie bagnety przebite przez krtań, szyję żoł-nierzy, aż do ziemi. Tu i ówdzie spotykało się młodych ludzi w ubraniach cywilnych. Mogli to być studenci<sup>5</sup>, którzy ochotni-czo przyłączali się do obrony kraju. Spotykałem ludzi star-szych, w cywilnych ubraniach, z jednym postrzałem w czoło.

Mój ojciec – Jan Pawluczyk – przed wojną i jeszcze w owym czasie był sołtysiem. Gdy zbliżał się front, tuż przed wal-kami o Grodno różne grupy uciekinierów ciągnęły w kierunku granicy litewskiej na Rygol, Kalety, Stanowisko. Wieś Bohatery Leśne położona jest na obrzeżach Puszczy Augustowskiej. Czę-sto w owym czasie powtarzały się wypadki zmuszania sołtysa do wytypowania przewodnika lub wyznaczenia kwater nocle-gowo-odpoczynkowych. W większości wymagali tego tzw. granatowi policjanci. Niektórzy mieszkańcy starali się unikać wyznaczenia, gdyż wiązało się to z zagrożeniem życia.

Pewnego dnia, tuż przed zbliżającym się frontem, zgłosiło się pięciu mężczyzn po cywilnemu, z krótką bronią. Przedstawi-li się jako komisarze policji. Zażądali przewodnika, który do-prowadziłby ich do Kalet – Stanowiska, w pobliże granicy li-tewskiej. Ojciec był w trudnej sytuacji, więc ja podjąłem się tego zadania, gdyż tereny te częściowo znałem. Trasa nie była zbyt długa, drogami leśnymi, przez skróty nie przekraczała 20 km. Droga powrotna następnego dnia okazała się ryzykowna, gdyż już wkraczały wojska sowieckie z zajętego miasteczka

<sup>5</sup> Chodzi raczej o uczniów szkół średnich, którzy uczestniczyli w walkach z oddziałami sowieckimi. Część cywilnych obrońców Grodna dołączyła do ewakuujących się na Litwę oddziałów wojskowych, w obawie przed zemstą ze strony władz sowieckich.

Sopoćkinie. W pościgu za wojskami polskimi ciągnęła kawaleria sowiecka, kierując się ku polsko-litewskiej granicy. Przez dwa dni musiałem zatrzymać się w Stanowisku i dopiero po przejściu czołówki frontowej postanowiłem wracać, przekradając się przez lasy i zarośla. Właśnie wracając do domu napotykałem zabitych Polaków wśród młodniaków i drózek leśnych. Obrazy te pozostają w mojej pamięci do dzisiaj. Potwierdzają je relacje innych świadków, m.in. Alfredy Wilczyńskiej, żony generała. Jej relacja, spisana w Paryżu w listopadzie 1939 r., została wykorzystana w publikacjach dotyczących dziejów II wojny światowej, w tym i tych wyjaśniających okoliczności zamordowania gen. Olszyny-Wilczyńskiego. Do relacji dotarłem dzięki publikacjom i materiałom historycznym dr. Mieczysława Bielskiego z Torunia.



Most na rzece Wołkuszanke, na której ustalono granicę sowiecko-niemiecką

## ROZDZIAŁ II

### Zbrodniczy podział kraju. Pod administracją sowiecką

Miejscowość nasza, podobnie jak i sąsiednie wsie: Wołkusz, Sołojewszczyzna, Bartniki, Starożyńce, Hołynka położone są mniej więcej równolegle z biegiem małej rzeczki Perstunki, łączącej się z rzeką Wołkuszaną, która łączy się z Hańczą, a ta z kolei z Kanałem Augustowskim. W drugiej połowie miesiąca października zdumienie mieszkańców spowodowały wojska sowieckie, które po zajęciu części Suwalszczyzny zaczęły wycofywać się z uprzednio zajętych terenów, takich jak Giby, Rygól, Gruszki, Mikaszówka, poza rzekę Wołkuszanę, biegnącą niecały kilometr od naszej wsi. Zaczęto ustawiać patrole sowieckich wojsk granicznych. W sąsiedniej wsi Sołojewszczyzna zarekwirowano zabudowania gospodarcze z przeznaczeniem na strażnicę. Część gruntów i łąk mieszkańców wsi: Bohatery Stare, Bohatery Nowe, Wołkusz była po drugiej stronie rzeki. Rolnicy zmuszeni zostali z nich zrezygnować, gdyż wojska sowieckie zabraniały przechodzić na drugą stronę, oznajmiając mieszkańcom: „Zdieś budziet hraniczka, za riekój buduť germańcy. Zczas waszej pańskoj Polszy nie budziet na zawsiegda” (Tu będzie granica, za rzeką będą Niemcy. Waszej pańskiej Polski nie będzie na zawsze)<sup>6</sup>. Most w Wołkuszu od strony sowieckiej został do połowy rozebrany. Główna droga została zagrodzona, uniemożliwiając przejazd i przejście.

We wsiach zaczęto zwoływać zebrania, oznajmiając mieszkańcom, że teraz tu będzie władza sowiecka. „Będziecie mieli lepiej, władze sowieckie oswobodziły was od »pamieszczikow« i wyzysku. Podział administracyjny będzie lepszy.

<sup>6</sup> Linia graniczna między Niemcami i ZSRR została określona w układzie o granicach i przyjaźni z 28 IX 1939 r. i uściślona w terenie w październiku 1939 r.

Mieliście daleko do gminy” (W naszym wypadku gmina była w oddalonym o ok. 15 km Lipsku). Zapowiadano, że teraz w każdej wiosce będzie gmina. Niektórzy mieszkańcy, nie wiedząc co się święci, przyjmowali to z zadowoleniem. W naszej wsi został założony tzw. Siel-Sowiet<sup>7</sup>, w skład którego wchodziło kilka najbliższych wsi. We wsiach zamiast sołtysów powołano „priedsiedatieli”. Wśród społeczeństwa angażowano ochotników do rezerwowej milicji, dając czerwone opaski na rękawy, niektórym dawano broń. Z rdzennie miejscowej ludności nie było chętnych, z wyjątkiem kilku sympatyków ze wsi Kopczany, przeważnie wyznania prawosławnego. Najlepszą frekwencję uzyskano w miasteczku Sopoćkinie, oddalonym o niecałe 7 km. W pierwszej fazie do ochotniczej rezerwowej milicji najchętniej zgłaszali się mieszkańcy narodowości żydowskiej. Część z nich została etatowymi pracownikami. W podziale administracyjnym Sopoćkinie określono jako „Rejon” (odpowiednik powiatu), miasto Grodno jako „Obłast” (odpowiednik województwa)<sup>8</sup>. Do każdego Siel-Sowieta został przydzielony pracownik komórki (uczastka) NKWD oraz „milicjanier”. Milicjant był pracownikiem Rejonu oddelegowanym z powierzeniem patronatu nad danym Siel-Sowietem.

Na stanowisko „priedsiedatiela” w naszej wsi został powołany Piotr Sawicki o poglądach komunistycznych, nie posiadający gospodarstwa rolnego, nie mądry na tyle, aby pełnić funkcję wójta, ale na ogół nie był szkodliwy. Lubił wypić i często niektóre zamiary wypaplał przed terminem. Rodzice i ja pozornie utrzymywaliśmy dobrą komitywę z Sawickim. Przyjeżdżający z Sopoćkiń przedstawiciele Rejonu byli przyprowadzani przez Sawickiego do nas na obiad, czasem przynosili

<sup>7</sup> Rada wiejska (gmina), najniższa jednostka administracyjna w systemie administracji radzieckiej.

<sup>8</sup> W Białoruskiej SRR, do której włączono województwo białostockie, był 3-szczeblowy podział administracyjny: obwód (województwo), rejon (powiat) i rada wiejska (gmina), zwana sielsowietem. Większe miasta (Białystok, Grodno i Łomża) stanowiły rejon miemiejskie (grodzkie), podporządkowane bezpośrednio władzom obwodowym. Nowe jednostki administracyjne były dużo mniejsze od polskich. Przykładowo na terenie powiatu augustowskiego powołano dwa rejon (augustowski i sopoćkiński).

jakąś butelczynę samogonu, czasem nawet trzeba było postawić. Dom nasz stał się niczym stołówka. Mimo, że nasza rodzina nie zaliczała się do tych, których władze sowieckie określały mianem „nasz człowiek” (nasz człowiek), to do nas, a nie do swoich przychodzili na obiady. Szli tam, gdzie mogli solidnie „pokuszać” (dobrze zjeść). Ojciec jako długoletni sołtys administracji przedwojennej był w planach władz sowieckich przeznaczony do wywózki. „Priedsiedatiel” Sawicki często po kilku głębszych zapewniał: „Dopóki ja jestem »priedsiedatiel«, tobie wywózka nie grozi”. Przy tych okazjach czasami można było się dowiedzieć, komu grozi wywózka, kto jest szpiclem współpracującym z NKWD czy z naczelnikiem straży granicznej.

Informacje o planowanych zamiarach stały się bardziej wiarygodne, gdy na etacie Siel-Sowieta zatrudniono Adolfa Krawczyka. Do zapodania kandydatury na sekretarza Siel-Sowieta doszło, gdy „priedsiedatiel” Sawicki przyprowadził do nas na obiad pełnomocników z Rejonu. Przedstawił gości jako pełnomocników do spraw administracji, informując, że chodzi o zatrudnienie człowieka miejscowego na sekretarza gminy, który mógłby prowadzić prace w języku rosyjskim. Sam Sawicki ukończył jedynie trzy klasy szkoły powszechnej. W jego świadomości praca „priedsiedatiela” polegała jedynie na postawieniu pieczętki na wskazanym miejscu i na złożeniu podpisu. Pracy jednak było wiele. Władze sowieckie nakazywały przeprowadzenie ewidencji ludności, gospodarstw rolnych i ilości posiadanych gruntów oraz dokonanie spisu inwentarza ze sporządzeniem rejestru. Oczywiście, wszystko to w języku rosyjskim.

Sawicki, zgłaszając się do ojca, przeczuwał, że sołtys może posiadać plany komasacji gruntów oraz rejestr z pomiarów geodezyjnych Bohater Starych i Nowych, które były sporządzone na przełomie roku 1937-1938 przez inżyniera mierniczego Górskiego. Ojciec, mimo że plany i rejestry były w jego posiadaniu, nie przyznał się. Umożliwił w ten sposób zaniżanie przez rolników posiadanej arealu, czyli korzystanie z mniejszych opodatkowań. Znaczna część rolników skorzystała z tej możliwości. Plany i rejestry zostały udostępnione dopiero w

okresie PRL-u po 1948 r. dla Białostockiego Urzędu Geodezyjnego przez mego szwagra - Józefa Masiejczyka. Po moim opuszczeniu tamtejszych terenów i śmierci ojca dokumenty były w jego posiadaniu.

Kandydatura Adolfa Krawczyka na sekretarza Siel-Sowieta została przyjęta. Krawczyk był bardzo spostrzegawczy. W czasie pracy śledził każdy ruch pełnomocników dojeżdżających z Rejonu, ich zainteresowania personaliami oraz wypowiedzi Sawickiego. Za jego przyczyną udało się uratować kilku ludzi, którym groziła wywózka. Spośród nich należy wymienić podoficera z 1939 r., Nieściera ze wsi Starożyńce. Został on przerzucony przez granicę na teren okupowanej przez Niemców Suwalszczyzny, następnie przedostał się w głąb Niemiec, później znalazł się w USA.

Aczkolwiek nie było mowy o utworzeniu w owym czasie jakiegokolwiek organizacji przeciw okupantowi sowieckiemu, to jednak w naszym środowisku wyłoniła się samorzutnie grupa osób zaufanych. Należy tu wymienić Stanisława Bobkę, Jana Dadurę, braci Józefa i Aleksandra Nieścierów, Czesława i Józefa Masiejczyków, Antoniego Rapczyńskiego, rodzinę Krawczyka i moją oraz braci Jana, Stanisława i Franciszka Wilczyńskich z Wołkusza. Był to załazek późniejszej organizacji ZWZ<sup>9</sup>.

Wymieniona grupa, a szczególnie Stanisław Bobka i Jan Wilczyński, zasłużyli się podczas przerzutu przez granicę osadnika kolonii Prolejki, ochotnika z czasów wojny 1920 r., pana Zarzeckiego, któremu groziła deportacja. Został on przez naszą grupę przerzucony przez punkt w Wołkuszu. Nie poszczęściło się jednak pozostałym członkom rodziny Zarzeckich. Żona z dziećmi zostali wywiezieni na Syberię. Z wyjątkiem starszej córki Janiny, która wróciła z wojskiem polskim zorganizowanym w ZSRR, wszyscy zginęli w nieludzkich warunkach dalekiej Syberii. W związku ze śmiercią Janiny krążyły pogłoski o otruciu – niepotwierdzone, oparte na rela-

<sup>9</sup> Związek Walki Zbrojnej - konspiracyjna organizacja wojskowa, powstała na bazie istniejącej już od 27 IX 1939 r. Służby Zwycięstwu Polski. 4 II 1942 r. przemianowana na Armię Krajową.

cjach jej przyjaciół. Na cmentarzu w Warszawie, w pobliżu grobu gen. Świerczewskiego, znajduje się nagrobek z napisem: ppor. Janina Zarzecka-Radkiewicz.

Dzięki współpracy naszej grupy i pomocy Krawczyka udało się nam rozszyfrować konfidentów, współpracujących z władzami sowieckimi. Do nich należeli: „predsiedatiel” wsi Bohatery Leśne Nowe Kazimierz Wilczyński (przybrał nazwisko Wołk) oraz Bolesław Masiejczyk s. Jana – młody chłopak ur. w 1921 r., który wpłatał się we współpracę z NKWD i z wywiadem sowieckich wojsk pogranicza. Był często przerzucany za granicę na tereny okupowane przez Niemców, co potwierdzali ludzie zza granicy, m.in. kolega Stanisław Dziętych, współpracujący z naszą grupą. Trudno określić zakres współpracy Masiejczyka, wiadomo jednak było, jak się ona skończy. Stało się tak, jak przypuszczaliśmy. W nocy z 17 na 18 czerwca 1941 r. przed dom Bolesława podjechał naczelnik wojsk pogranicza ze strażnicy w Sołojewszczyźnie, z zapasowym osiodłanym koniem. Było to nie po raz pierwszy. Bolesław dosiadł konia i wszyscy odjechali w kierunku granicy sowiecko-niemieckiej. Była to ostatnia jego przejażdżka, więcej do domu rodzinnego nie wrócił. Jego chlebodawcy odwieźli go na odcinek graniczny, tzw. Młynek i tam został zastrzelony. Przebieg odjazdu obserwował dyżurujący członek naszej grupy, natomiast miejsce rozstrzelania podał żołnierz sowiecki, wzięty do niewoli niemieckiej ze strażnicy w Sołojewszczyźnie w pierwszym dniu wojny sowiecko-niemieckiej.

Po ustaleniu administracji sowieckiej, w końcu 1939 r., władze sowieckie zarządziły przeprowadzenie wyborów delegatów do „Wierchownaho Sowietu”<sup>10</sup>. Prelegenci, w większości politycy, przystąpili do organizowania zebrań przedwy-

<sup>10</sup> Chodzi zapewne o wybory delegatów do Zgromadzenia Ludowego Zachodniej Białorusi, które przeprowadzono 22 X 1939 r. Po wyborczej farsie, zebrani 28-30 X 1939 r. w Białymstoku delegaci podjęli m.in. uchwałę o wejściu „Zachodniej Białorusi” w skład Białoruskiej SSR. Szerzej o przygotowaniach i przebiegu wyborów – M. Gnatowski, *Zgromadzenie Ludowe Zachodniej Białorusi. Fakty, oceny, dokumenty*, Białystok 2001. Wybory uzupełniające do Rady Najwyższej ZSRR i BSRR odbyły się w marcu 1940 r.

borczych, uświadamiając miejscową społeczność wiejską, że w Związku Radzieckim władza jest wybierana przez lud pracujący. W tym wypadku każdy obywatel (hrażdanin) winien brać udział w głosowaniu. Ponadto każdy obywatel, bez względu na narodowość, zamieszkały na terenie administrowanym przez władze Związku Sowieckiego automatycznie staje się obywatelem radzieckim i ma prawo wybierać, i być wybranym. W obrębie naszego Siel-Sowieta wytypowano jedyną kandydatkę, mieszkankę kolonii Starożyńce, pospolicie nazywaną Tatianą. Kandydatura jej została podana przez partię i władze administracyjne. Innych kandydatur nie było. Wybór polegał na oddaniu głosu przez każdego obywatela. Politrucy na zebraniach przedwyborczych głosili, że tylko wrogowie władzy sowieckiej mogą unikać głosowania. Każdy lojalny obywatel jest zobowiązany oddać swój głos na przedstawicieli ludu.

W okresie przedwyborczym i w czasie wyborów zwiększyła się liczba funkcjonariuszy NKWD, komunistów i polityków przybyłych z rejonu Sopoćkiń i z Grodna. Ludność wiejska unikała jak mogła uczestniczenia w zebraniach przez nich organizowanych, wykorzystując wszelkie powody uzasadniające nieobecność. W takich okolicznościach prelegenci przyjęli taktykę osobistego odwiedzania wyborców, wędrując od domu do domu i „uświadamiając” na temat konieczności udziału w wyborach. Zalecano, aby do głosowania iść zbiorowo, wioskami. Przy uczestniczeniu zbiorowym łatwiej było ustalić nieobecnych wyborców. Nieobecność kwalifikowała na wroga władzy ludowej. Osobom starszym, uskarżającym się na stan zdrowia, zapewniono dowóz. W zasadzie głosowanie polegało na odnotowaniu obecności w lokalu wyborczym. Czy wyborca swój głos złożył do urny, czy był on ważny czy nieważny, okazało się nieistotne. Było pewne, że wynik głosowania przekroczy 99% ważnych oddanych głosów. Następnego dnia taki właśnie wynik został ogłoszony<sup>11</sup>.

<sup>11</sup> Wyniki głosowania fałszowano na różnych szczeblach. Oficjalnie ogłoszono, że w wyborach wzięło udział 96,71 % uprawnionych do głosowania; na kandydatów oddano 90,67 % głosów (M. Gnatowski, op. cit., s. 142-144).

Po zakończeniu akcji wyborczej przystąpiono do akcji podatkowej na 1940 r. Poza opłatami pieniężnymi, ustalonymi od każdego hektara, rolnicy otrzymali dodatkowe obciążenia w naturze, tj. każdy rolnik musiał zdać wymierzoną ilość zboża, mięsa i ziemniaków. Rolnik otrzymywał nakaz – ile produktów i w jakim terminie powinien dostarczyć. W przypadku przekroczenia terminu były przeprowadzane pokazowe sądy. Rolników oskarżano jako wrogów władzy radzieckiej, twierdząc, że państwo za te produkty płaci. Praktycznie były to ceny symboliczne w stosunku do rzeczywistej wartości rynkowej. W celu skuteczniejszego pozyskiwania dostaw były powoływane tzw. trójki - które miały uprawnienia rewizji posiadanego inwentarza i zapasów zbóż. Jeśli rolnik nie wywiązał się w danym terminie, a komisja stwierdziła, że posiada jakąś ilość zbóż (często były to zboża do siewu), wszystkie zapasy podlegały rekwizycji.

Obserwując te poczynania, miejscowe społeczeństwo zyskiwało coraz głębszą świadomość na temat władzy mas pracujących w Związku Sowieckim. Ocknęli się nie tylko zwykli ludzie – rolnicy, robotnicy, ale również uprzedni sympatycy władzy sowieckiej, a nawet tacy, którzy do 1939 r. byli zwolennikami komunizmu, czasami nawet represjonowanymi przez władze polskie za organizowanie wieców.

W drugiej połowie 1940 r. i na początku 1941 r. został ogłoszony pobór młodzieży do Armii Czerwonej. Bez względu na narodowość i dotychczas posiadane obywatelstwo, wyznaczone roczniki były zobowiązane zgłosić się do Rajwojenkomatu<sup>12</sup> celem wcielenia do armii. Starsi moi koledzy z naszej wsi zostali powołani, w tym Józef Dadura, Jan Maciejczyk, Józef Wilczyński. Tylko jeden z nich – Józef Wilczyński – powrócił po zakończeniu działań wojennych. Po wybuchu wojny z Niemcami w 1941 r. przebywał na zmianę: front – szpital, szpital – front. Na początku maja 1945 r. w walkach ulicznych w Berlinie został ranny po raz ósmy – w ramię.

<sup>12</sup> Skróć od Rajonnyj Wojennoj Komissariat (Rejonowa Komenda Wojskowa) – odpowiednik Rejonowej Komendy Uzupelnień.

Niektórzy po otrzymaniu karty powołania do armii, korzystając z sąsiedztwa okupanta niemieckiego, przechodzili granicę, gdyż Niemcy Polaków do wojska nie powoływali, było to zbyt ryzykowne. Władze sowieckie określały ich mianem zdrajców ojczyzny, a pozostałą rodzinę NKWD deportowało na Sybir.

Poza ogólnogospodarczą dyscypliną wprowadzono na naszym terenie dyscyplinę specjalną, dotyczącą poruszania się w strefie przygranicznej. Obowiązywało ściśle przestrzeganie zaciemniania okien. Patrole konne pogranicza wzmogły działalność, w strefę przygraniczną ściągnięto robocze oddziały wojskowe. Rozlokowanie ich nastąpiło w namiotach, wzdłuż granicy w laskach Burowszczyzny. Rozpoczęto prace przy wykopach przy budowie bunkrów betonowych, nazywanych pospolicie przez Rosjan – „toczki”. Wieś nasza razem z sąsiedzącymi została zaliczona do strefy „Ukrep-Rejon” (Rejon Umocniony)<sup>13</sup>. W całym regionie grodzieńskim wprowadzono nakazy pracy przymusowej, kierując wszystkich w strefę przygraniczną. Każdy obywatel od 16 do 60 roku życia musiał odpracować na „Ukrep-Rejonie” 15 „trudodni”, z przewidzianą normą zadań do wykonania. Ludzie ci byli zatrudniani przy budowie bunkrów. Sprzętu mechanicznego wiele nie było, trzeba było kopać ręcznie. W niektórych obiektach wgłębienie sięgało nawet 8 metrów. Mężczyźni i kobiety ustawiali się rzędami, ziemia przechodziła jak po taśmie. Wprowadzono tzw. „obiazatielstwa” czyli zobowiązania, wystawiane przez Siel-Sowiety dla każdego mieszkańca. Każdy obywatel musiał zgłosić się z „obiazatielstwem” na wyznaczony odcinek „Ukrep-Rejonu”. Po przepracowaniu wymierzonej normy zobowiązania te były podpisywane przez specjalnych żołnierzy zwanych przez Rosjan „werbowskiymi”. Często były wy-

<sup>13</sup> Był to Grodzieński Rejon Umocniony, który wchodził w skład intensywnie budowanej linii umocnień nadgranicznych zwanych „Linia Mołotowa”. Według Z. Koszyty na odcinku „Lipsk” wybudowano 48 schronów, w tym: 2 strzeleckie, 27 artyleryjsko-strzeleckich, 18 artyleryjskich oraz 1 schron dowodzenia. Były one rozmieszczone w punktach oporu: Bohatery Leśne, Żabickie, Skieblewo, Lipsk, Kamienna Stara. Budowane schrony pospolicie nazywano „toczkami” lub „dotami” od DOT (*Dotgowremiennaja Ogniewaja Toczka*).

znaczane akordowe normy, niektórzy musieli pracować nawet 20 dni, aby taką normę zaliczyć.

Mieszkańcy przygranicznych wsi byli zobowiązani do udostępnienia pomieszczeń mieszkalnych dla zakwaterowania dojeżdżających ludzi. Ludzie ci przyjeżdżali i zza Grodna, Druskiennik, nawet z Indury. Ilość osób do zakwaterowania ustalał specjalny „bojec”. W domu rodzinnym kwaterowano przeciętnie 8 osób. Wszyscy po powrocie z pracy kładli się na podłodze usłanej słomą. Prace trwały późną jesienią, nawet i zimą. Ludzie wracali zmrozeni, często przemoknięci. Nie było możliwości wszystkich osuszyć. Często trzeba było parokrotnie wietrzyć mieszkanie z powodu unoszącej się pary, woni odzieży i obuwia. Miejscowa ludność współczuła, starała się pomóc tym ludziom, lecz nie zawsze i wszędzie było to łatwe. Występowały trudności z suszeniem i gotowaniem. Mieszkańcy zawczasu starali się przygotować wrzątek na kawę, do gotowania kaszy, itp. Nikt nie miał prawa uchylać się od świadczenia prac i usług kwaterunkowych. Rygor był bezwzględny. Osoby zwlekające z wykonaniem nakazu były poddawane sądom pokazowym. W takich wypadkach rozprawy odbywały się natychmiast. Na rozprawę sądową nie wzywano i nie wyznaczano terminu. Prokurator przyjeżdżał z rzekomym sędzią i w miejscu zamieszkania danej osoby wydawał wyrok. Przeciętną karą wymierzaną za takie przestępstwo było 5 lat pozbawienia wolności. Wyrok był niezwłocznie wykonywany.

Im bliżej wiosny, tym bardziej było widać gołym okiem, że wojna z Niemcami może wybuchnąć w każdej chwili, mimo że władze sowieckie tego nie głosiły. Miejscowa ludność, łącząc się z sąsiadami, budowała przydomowe schrony – z podwójnych bel drewnianych i z podwójnym nasypem ziemnym. My wybudowaliśmy wspólny schron z sąsiadem - Marcinem Dadurą.

Od pierwszych dni maja 1941 r. mieszkańcy naszej wsi, jak i sąsiednich, położonych przy granicy z Niemcami, nie mogli zasnąć. Ziemia niemal drżała w dzień i w nocy od warkotu silników sprzętu mechanicznego po stronie niemieckiej. Gdy trochę silniejszy wiatr zawiął od strony północno-zachodniej, trud-



no było oddychać od unoszących się kurzów i spalin. Wszyscy w napięciu wyczekiwaliśmy godziny wybuchu wojny. Zwiększył się także przygraniczny ruch wojsk sowieckich. Patrole konne sprawdzały wieczorami światła, nakazując zawieszanie okien oraz zabraniając wychodzenia z domów. Mimo to, nasza grupka nie zasypiała. Zawsze ktoś był „na podglądzie”, obserwując, co dzieje się we wsi i w otoczeniu.

Nadszedł ranek 22 czerwca 1941 r. Tuż przed samym świtem zadrżała ziemia. Pociski artylerii niemieckiej przelatywały nad naszą wsią, wycelowane w budowane bunkry sowieckie. Na odcinku ok. 3 km stało 600 dział niemieckich, które razem otworzyły ogień. Nie odróżniało się żadnych wybuchów, słychać było jednolity, zlany huk. W powietrzu pojawiły się ciężkie samoloty bombowe, z eskortą myśliwców. Dwa sowieckie myśliwce próbowały nawiązać walkę, lecz w ciągu niespełna jednego kwadransu zostały strącone. Jeden członek załogi wyskoczył na spadochronie i został zatrzymany przez Niemców. Po dwudziestu minutach ukazały się tyraliery żołnierzy niemieckich w mundurach z zakasnymi rękawami, motocykliści z bronią maszynową dostosowaną do strzelania podczas jazdy, grupa z miotaczami ognia, kierująca ogień do jednego z bunkrów, który stawiał opór, na wzgórzach Osockich tuż za naszą wsią. Dalej jechały ciągniki gaśnicowe z ciężkimi działami, wozy radiowe z megafonami, nawołujące żołnierzy sowieckich do rzucania broni i poddawania się do niewoli. Jedno z hasel propagandowych utkwilo mi w pamięci. Nadawano w języku rosyjskim: „Bajcy, palitrobotniki, kamandiry nie jewrejskoho praischozdienija, brasajcie aruzije i prachaditie k nam! U nas chleba i raboty chwatajiet wsiem!” (Żołnierze, polityruicy i oficerowie nie żydowskiego pochodzenia, rzucajcie broń, przechodźcie do nas! U nas chleba i pracy wystarczy dla wszystkich). Z samolotów zrzucano również ulotki propagandowe.

Część żołnierzy sowieckich bez oporu poddawała się do niewoli. Prowadzeni przez żołnierzy niemieckich jeńcy mówili z zadowoleniem, że skończyły się normy. Nie wiedzieli, co ich czeka w przyszłości. Poważniejszy opór tegoż samego dnia wojska niemieckie napotkały na przedpolach Grodna przy wsiach

Łabno, Trycze, Baranowicze i Łosośna. Rosjanie rzucili w ten rejon kilkanaście czołgów, które w ciągu dwóch godzin zostały wszystkie unieszkodliwione, część nawet spłonęła.

Z mojej oceny, laika w sprawach wojskowych, wynika, że wojska sowieckie zupełnie nie były przygotowane do działań wojennych, albo też były „zaprzędane”. Przy tak masowym zgrupowaniu armii niemieckiej – magazynów paliw, wszelkiej broni itp. tuż przy samej granicy, starczyłaby eskadra samolotów, aby wywołać pożary lasów i wybuchy składów amunicji, magazynów cystern paliwowych itd. Wpłynęłoby to na przyhamowanie błyskawicznego tempa ataku. Ale na terenie zajmowanych stanowisk po stronie niemieckiej nie zabłysła ani jedna iskierka ognia. Płonęły natomiast młodniaki leśne tzw. Burowszczyzny po stronie sowieckiej, gdzie były rozlokowane namioty żołnierzy. Skończyła się epoka – jak głoszono – sowieckiego wyzwoliciela od wyzysku i panów. Rozpoczęła się epoka drugiego wyzwoliciela – jak ogłosili Niemcy – od komunizmu.

Analizując pojedyncze wypadki, należy stwierdzić, że pewna część mieszkańców naszych terenów została uratowana od przygotowywanych przez NKWD deportacji. Uratowany został również transport załadowany w dniach 19 i 20 czerwca 1941 r. w Grodnie – 25 wagonów, średnio po 60 osób w wagonie. Lotnictwo niemieckie zbombardowało tory na trasie Baranowicze – Stołpce i uszkodziło lokomotywę transportu. Byli zabici i ranni, ale ponad 85% deportowanych ocalało i powróciło do swych domostw.

## ROZDZIAŁ III

### Nowy „gospodarz” – administracja niemiecka

Po błyskawicznych sukcesach armii niemieckiej wkroczyła niemiecka administracja. Nie była ona aż tak rozbudowana jak sowiecka, opierała się na podobnym do polskiego sprzed 1939 r. podziale administracyjnym.

Nie sposób tu pominąć zarządzeń dotyczących ludności żydowskiej. Z chwilą zajęcia przez Niemców Suwalszczyzny znaczna część ludności żydowskiej starała się przedostać na tereny okupowane przez Sowietów oraz na Litwę. Miejscem osiedlenia się znacznej liczby Żydów było Grodno. W 1941 r. duża część mieszkańców Grodna było pochodzenia żydowskiego<sup>14</sup>. Zarządzeniem administracyjnym ludność żydowska została przeniesiona w obręb utworzonego getta. Tylko nieliczni fachowcy w niektórych okolicznościach mieli możliwość za specjalną przepustką wyjść poza jego granice. W bliżej od nas położonym miasteczku Sopoćkinie mieszkało kilkadziesiąt rodzin żydowskich. Niemcy utworzyli tam zgrupowanie przejściowe – część przewieziono do Grodna, część wymordowano na miejscu. W miasteczku tym zmuszono ludność żydowską do uczestniczenia w – jak to określono – publicznym pogrzebie. Polegało to na tym, że wystawiony na rynku przez sowieckie władze gipsowo-cementowy pomnik Stalina musiał być przez Żydów wywrócony. Następnie kazano przyciągnąć wóz drabiniasty bez zaprzęgu konnego, pomnik ułożyć na wóz, po czym każdy z uczestników musiał pomnik pocałować w odpowiednie miejsce... i ze śpiewem wywieźć go za miasto w kierunku wysypiska.

Przyjęto, że nasza miejscowość, tj. Bohatery Stare i Nowe z powrotem będzie podlegać pod administrację gm. Lipsk, pow. Augustów. Przy gminie w Lipsku powstał posterunek żandarmerii oraz urząd komisarza gminy. We wsiach zostali powołani sołtysi. W naszej wsi został sołtysiem miejscowy rolnik Stanisław Burzyński. Nie był on sympatykiem Niemców, wykonywał polecenia bez jakiegokolwiek entuzjazmu. W późniejszym czasie został posądzony przez gestapo o współpracę z partyzantką, gdyż kontyngenty dowożone z naszej wsi często wpadały w ręce partyzantów, szczególnie mleko i jaja. Zdarzało się nawet, że zebrane zboża były rekwirowane. Z początkiem 1943 r. sołtys został aresztowany i zginął w obozie. Według opinii sołtysów innych wsi i rozpoznania wywiadu AK stwierdzono, że sołtys wsi Bartniki - Zujko jest agentem i że za jego przyczyną Stanisław Burzyński został aresztowany. Zapadła decyzja unieszkodliwienia donosiela.

Akurat w owym czasie byłem w Bartnikach u koleżanki „Cichej” (później „Jaskółki” – Leonardy Jarmusik) na punkcie kontaktowym. W ciepły niedzielny wieczór patrol członków Kedywu zapukał do drzwi agenta. Chytry lis wyczuł, co się święci. Drzwi nie otworzył, zaś potajemnym podziemnym wyjściem uciekł. Dla przestrogi podjęto decyzję spalania jego domu. Nikt z sąsiadów nie brał udziału w gaszeniu. Mieszkańcy Bartnik i okolic byli zadowoleni, ale i nabawili się kłopotów. Komisarz gminy Lipsk wraz z komendantem podjęli decyzję odbudowy domu murowanego. Przydzielono cegłę i inne materiały budowlane, nakazano je zwozić mieszkańcom wsi, wyznaczono robotników do odbudowy domu. Został odbudowany, lecz sołtys mało z niego korzystał. Był świadomy, że w każdej chwili może być zlikwidowany. Kiedy zbliżała się nieuchronna klęska niemieckiego okupanta, wyjechał wraz z rodziną w nieznanym kierunku. Po wojnie mieszkańcy Bartnik dom ten wytypowali na szkołę, przez pewien czas korzystały z niego ich dzieci.

Pomimo zajęcia w 1941 r. naszych terenów przez Niemców, nie zostały one połączone z zajętą w 1939 r. Suwalszczyzną. Linia tzw. demarkacyjna, ustalona w październiku 1939 r. między władzami sowieckimi a Niemcami obowiązywała

<sup>14</sup> Według spisu z 1931 r. miasto liczyło wtedy prawie 50 tys. mieszkańców, w tym 42,6 % było wyznania mojżeszowego. W 1939 r. liczba ludności przekroczyła 58 tys.

nadal, z tą różnicą, że już nie była tak silnie strzeżona. Upřednio zajęte tereny zostały włączone do Prus Wschodnich. Miastu Suwałki nadano nazwę Sudauen. Na nowo zajętych terenach obowiązywała odmienna waluta – marka.

Główny trzon administracji zarówno na Suwalszczyźnie, jak i na później zajętych terenach stanowili urzędnicy niemieccy, wywodzący się przede wszystkim z Prus Wschodnich. W naszej gminie funkcje te pełnili Alfons Klimaszewski i Adolf Hartmuth<sup>15</sup>. Komendantami i zastępcami komendanta żandarmerii zawsze byli Niemcy, do pozostałej służby angażowano czasem osoby z miejscowej ludności, które podpisały volksliste<sup>16</sup>. W późniejszym czasie służby te zasilano Ukraińcami. Zdarzały się nawet i takie wypadki, że do służby angażowali się tzw. granatowi, policjanci sprzed 1939 r. Ci, którym udało się ująć przed rozstrzelaniem przez NKWD lub deportacją, współpracowali z niemiecką żandarmerią. Niektórzy mieli powiązania z AK, jako „wtyczki”.

Przy posterunku gminy Lipsk również zatrudnił się były policjant o nazwisku Panasewicz. Poległ on przez nieporozumienie. Zdarzały się przypadki, gdy patrole dywersyjne dokonywały akcji bez porozumienia z dowódcą danego regionu lub z powodu zaskoczenia. Taki właśnie wypadek zdarzył się w Lipsku. Czterooosobowa grupa, dowodzona przez Franciszka Bućko ps. „Nieznany” spotkała się z żandarmem Rejmanem, w którego towarzystwie był policjant Panasewicz. Na komendę „Ręce do góry!” Rejman podniósł ręce, zaś Panasewicz, będąc pewny, że mu śmierć nie grozi, zwlekał, pozorując, że będzie się bronił. Patrol, nie znając jego rzeczywistych zamiarów, wyprzedził go śmiertelnymi strzałami. Żandarm Rejman został jedynie rozbrojony. Okazało się, że zabity Panasewicz był wtyczką AK<sup>17</sup>. W parę dni później jeden z uczestników wspomnianej akcji, kpr.

<sup>15</sup> Pełnili oni funkcje amtskomisarza w gminie Lipsk, komendantem posterunku żandarmerii był Grabowski.

<sup>16</sup> Niemiecka lista narodowa (Deutsche Volksliste).

<sup>17</sup> Na temat tego wydarzenia istnieją dość rozbieżne relacje i przekazy wspomnieniowe. Por. A. Dąbrowski, *Był rozkaz umierać po cichu*, Warszawa 1992, s. 67 i uwagi T. Sobolewskiego („Rubież” 1993, nr 4-5, s. 111-112).

Dubiło wpadł w ręce żandarmerii i został rozstrzelany. 23 czerwca 1943 r. ten sam patrol, przenosząc się w inny teren działania, natknął się na zasadzkę żandarmerii na moście w Klonownicy. W wyniku strzelaniny „Nieznany” Bućko poległ, pozostali dwaj wycofali się, raniąc jednego z żandarmów.

Zorganizowana działalność przeciw okupantowi niemieckiemu rozpoczęła się znacznie wcześniej na upřednio zajętej Suwalszczyźnie. Już w 1940 r. na tym terenie zaczęły się tworzyć różne organizacje podziemne. Sprzyjały temu tereny Puszczy Augustowskiej. Nie miały wpływu odegrała też tutaj kadra oficerska sprzed 1939 r. wchodząca w skład SGO „Grodno”. Ta część oficerów, która zrezygnowała z przekroczenia granicy litewskiej, rozsypała się po całej Suwalszczyźnie. Byli to mieszkańcy Suwalszczyzny, Augustowa, Grodzieńszczyzny, a nawet Wileńszczyzny czy Białostoczczyzny. Tworzył się tu trzon organizacji konspiracyjnych<sup>18</sup>.

Nie sposób nie wspomnieć o grupie kpt. Stanisława Bielickiego, której historia wstrząsnęła całym społeczeństwem tego regionu. Kpt. Bielicki ps. „Ziomek” – oficer czynny KOP Wilno przybył z kilkuosobową grupą podkomendnych z Wileńszczyzny. Mając powiązania rodzinne na Suwalszczyźnie, za pośrednictwem szwagra Józefa Korejwy uzyskał dokumenty umożliwiające pobyt i poruszanie się w tym regionie. Pozyskał zaufanie wśród mieszkańców o patriotycznych poglądach. Jego organizacja pod nazwą Tymczasowa Rada Ziemi Suwalskiej szybko się rozwijała. Kpt. Bielicki nie przewidział, że wśród jego podkomendnych z Wileńszczyzny znajduje się agent Abwehry pod kryptonimem A 23 – Zygmunt Majchrzak ps. „Romek”. Agent wszelkie dane na temat organizacji przekazywał szefowi suwalskiego gestapo Waldemarowi Macholliowi. Macholl po uzyskaniu danych od agenta dokonał licznych aresztowań, osadzając w suwalskim więzieniu całą siatkę razem z kpt. Bielickim. Po długotrwałym śledztwie i torturach część członków przyznała się do przynależności do organizacji. Wszyscy zostali skazani na karę

<sup>18</sup> Szerzej o powstawaniu struktur konspiracyjnych na Suwalszczyźnie i działalności ruchu oporu zob. S. Buczyński, *Suwalszczyzna 1939-1944*, Warszawa 1991.

śmierci. Wyroki wykonano pod osobistym nadzorem szefa suwalskiego gestapo, niedaleko wsi Prudziszki w lesie tzw. Szwajcarskim przy szosie Suwałki-Wiżajny. Pluton egzekucyjny rozstrzelał całą grupę z kpt. Bielickim na czele. Egzekucji dokonano 26 kwietnia 1940 r. na 13 członkach Rady Ziemi Suwalskiej.

Przywódcy konspiracyjni pojedynczych organizacji, takich jak Legion Nadniemeński, Legia Piłsudskiego, komórki Służby Zwycięstwu Polski itp. doszli do wniosku, że należy stworzyć bardziej zorganizowaną, jednolitą grupę z kierownictwem korygującym działalność. Takiego zdania był też mój wujek Stanisław Sztukowski. Miałem okazję słyszeć o tym podczas spotkań rodzinnych. Z jego wypowiedzi wynikało, że część kadry oficerskiej nie włącza się pochopnie w działalność małych grup, które łatwo mogą być penetrowane przez niemieckich agentów. Przekonał się o tym również przywódca Legionu Nadniemeńskiego kpt. Marian Świtalski ps. „Profesor”. Jedyne dzięki cudownemu przypadkowi udało mu się uniknąć aresztowania, zaś większość jego współpracowników znalazła się w więzieniu. Niepokoiło to także kierownictwo rozbudowującego się już Okręgu Białostok ZWZ. Tereny opuszczane przez okupanta sowieckiego po czerwcu 1941 r. należało niezwłocznie zagospodarować organizacyjnie. Należało stworzyć jednolitą organizację z własnymi strukturami wywiadu. Wtajemniczać należało ludzi pewnych, wywodzących się z danego terenu, regionu, placówki. Do osób przybywających należało zachować jak najdalej idący dystans, aż do chwili uzyskania pewności. Osoby „spalone” z miejscowego otoczenia należało kierować do zgrupowań leśnych.

Stworzenia jednolitej organizacji podjął się płk Władysław Liniarski ps. „Mścisław”. Dzięki jego niezłomnym wysiłkom w latach 1941-1942 został zorganizowany sztab Okręgu Białostockiego ZWZ, organizację scalono w jednolitą Armię Krajową, utworzono inspektoraty i obwody, został dokonany podział administracyjny. Dotychczas istniejący 13 Obwód Suwalski pod kryptonimem „Jeziora” uległ modyfikacji. Wydzielony został odrębny Obwód Augustów. W Obwodzie Suwalskim ustalono

6 rejonów z podziałem na dalsze ugrupowania: placówki, plutony, oddziały, grupy-patrole, komórki kedywu, wywiadu itd.

Rejonizacja Obwodu Suwalskiego przedstawiała się następująco:

Rejon I	– m. Suwałki (placówki dzielnic miasta nr 1, 2, 3)
Rejon II	– Sejny – Berżniki – Giby
Rejon III	– Zaboryszki – Huta Tartak – Krasnopol
Rejon IV	– Jeleniewo – Filipów – Pawłówka – Przerośl
Rejon V	– Kuków – Bakalarzewo – Wychodne
Rejon VI	– Rutka Tartak – Wiżajny – Smolniki

Łączny stan organizacyjny wynosił 18 plutonów terenowych, 7 oddziałów partyzanckich. Funkcje komendantów obwodu pełnili: kpt. Marian Świtalski ps. „Profesor”, por. Kazimierz Ptaszyński ps. „Zaremba”. Z-cy: ppor. Władysław Kuszel ps. „Babinicz”, z początkiem 1944 r. ppor. Mieczysław Ostrowski ps. „Kropidło”.

Obwód Augustowski po zmodyfikowaniu był ujęty pod kryptonimem liczbowym 7, pod kryptonimem hasłowym „Niedźwiedź”. Układ organizacyjno-konspiracyjny przypominał Obwód Suwalski.

Rejonizacja Obwodu Augustów przedstawiała się następująco:

Rejon I	– Augustów z trzema placówkami nr 1, 2, 3
Rejon II	– Bargłów – Biernatki – Raczki – Olszanka
Rejon III	– Sztabin – Dębowo – Kolnica – Netta
Rejon IV	– Hołynka – Sopoćkinie – Lipsk – Kol. Kurianka
Rejon V	– Łabno – Baranowicze – Łojki – Balla – Łosośna

Obwód Augustowski miał rozmieszczonych 15 placówek siatki terenowej. Każda taka placówka stanowiła odpowiednik kompanii, w skład której wchodziły co najmniej 3 plutony. Rejon pod względem organizacyjno-bojowym kwalifikował się jako batalion. W połowie 1944 r. stan liczbowy był szaco-

wany na ok. 2000 żołnierzy, w tym ponad 70 oficerów, 260 podoficerów, 200 kobiet (WSK). Co najmniej tyleż osób współpracowało bezpośrednio z organizacją i oddziałem. Dowództwo i funkcje komendantów Obwodu sprawowali: ppor. Józef Popławski ps. „Józef”, mjr Władysław Szymborski ps. „Bąk”, „Okrasa”, por. Antoni Karp ps. „Jarząbek”, kpt. Bronisław Jasiński ps. „Komar”. Funkcje zastępców pełnili m.in. ppor. Józef Kryszyn ps. „Bulwa”, kpt. Antoni Obiedziński ps. „Górny”, por. Feliks Michałowski ps. „Tygrys”, por. Franciszek Niedźwiecki ps. „Derkacz”.

W strukturze organizacyjnej Obwodu występowały dalsze podziały: komórki ds. łączności, informacji, wywiadu, uzbrojenia, a nawet duszpasterstwa. W latach 1941-1943 służbę kapelana pełnił ks. Wojciech Chojnacki ps. „Józef”, następnie ks. proboszcz parafii Lipsk Bronisław Rutkowski ps. „Benedykt”. Został zamordowany przez Niemców. Ksiądz Chojnacki również został aresztowany przez Niemców. Proboszcz naszej parafii w Hołynce ks. Władysław Krasowski także współpracował z organizacją AK. W późniejszym okresie, w 1947 r. razem z częścią naszej grupy bohaterskiej został aresztowany przez NKWD i skazany na 25 lat zsyłki syberyjskiej. Po długoletnim pobycie na dalekiej Syberii został zwolniony w ciężkim stanie zdrowia z zakazem powrotu do swojej parafii w Hołynce. Zatrzymał się na Grodzieńszczyźnie w parafii Silwanowce. Tam w latach 60-tych zmarł. Został pochowany na cmentarzu w tejże parafii.

Pewne zmiany organizacyjne w Obwodzie Augustowskim nastąpiły w związku z przejściem placówek Balla Wielka i Łabno do Obwodu Grodno (Prawy Niemen)<sup>19</sup>. Placówka Woł-

<sup>19</sup> Cały rejon V (i część IV) Obwodu Augustowskiego, z racji położenia, wykazywał ciążenie do pobliskiego Grodna. W maju 1944 r. pięć placówek Obwodu Augustowskiego (nr 8, 9, 10, 11, 12) obejmujących wschodnie gminy powiatu, jak Hołynka, Łabno, Wołowiczowce (Sopoćkinie), Balla Wielka, część gm. Lipsk, zostało przydzielonych do Obwodu Grodno-Prawy Niemen. Były to kompanie terenowe por. Bolesława Burakiewicza „Zaleskiego” i ppor. Bronisława Haponika „Zagłoby”. Jesienią 1944 r., po wytyczeniu granicy polsko-sowieckiej, do Obwodu Augustowskiego wróciła placówka Kurianka (pluton Jana Biedula ps. „Dziewanowski”), która terytorialnie znalazła

łowiczowce z siedzibą w Sopoćkiniach pod Obwód Grodzieński przeszła w 1944 r. W skład Obwodu Augustowskiego wchodziła grupa Grodzieńskich d-cy Kazimierza Okulicza ps. „Góra” przerzuconych z terenów Grodzieńszczyzny do Puszczy Augustowskiej w okolice wsi Gruszki. Aczkolwiek grupa Grodzieńskich (tak ich pospolicie nazywano) pod dowództwem „Góry” wywodziła się z Grodzieńskiego, przerzucona do Puszczy Augustowskiej podlegała kierownictwu Obwodu Augustowskiego. Przerzutu całego niemal ugrupowania dokonano przy pośrednictwie naszej grupy kontaktowo-przerzutowej plut. „Głaza” (Adolfa Krawczyka), w skład której sam wchodziłem, pełniąc funkcję łącznika-kuriera-przewodnika granicznego. O ile mi wiadomo, tylko nieliczna grupka została doprowadzona przez tamtejszego łącznika ps. „Daleki”, który również korzystał z naszych punktów dniówkowo-łącznościowych.

Wspominając przerzuty, nie sposób zapomnieć o jednym, który niezwykle dramatycznie się zapowiadał. W 1944 roku w czerwcu dotarł do mnie przez „Niezapominajkę” pilny meldunek adresowany do „Głaza”. Natychmiast się z nim skontaktowałem. Treść meldunku była następująca: „Natychmiast odebrać nowy towar w bazie nr IV R”. Był to punkt kontaktowo-przerzutowy we wsi Racicze. Termin wypadł akurat na niedzielę. Wtajemniczyliśmy jeszcze jednego kolegę. Ustaliliśmy, że każdy bierze krótką broń i od jednego do dwóch granatów. Spotykamy się na nabożeństwie popołudniowym w kościele w miejscowości Perstuń, położonej o około 6 km od naszej wsi. Po zakończeniu nabożeństwa w towarzystwie wiernych dotarliśmy do Racicz. Zatrzymaliśmy się w zagrodzie państwa Kuczyńskich. Tam zostaliśmy poinformowani, gdzie znajdują się chłopaki. Nie zdążyliśmy omówić planu działania, gdy nagle nadjechała niemiecka żandarmeria z posterunku w Hołynce. Byli to: komendant, jeden żandarm niemiecki i czterech Ukraińców. Podjechali pod mieszkanie sołty-

się po polskiej stronie granicy. Zob. K. Krajewski, T. Łabuszewski, *Białostocki Okręg AK-AKO VII 1944 – VIII 1945*, Warszawa 1997, s. 437-438.

sa Stanisława Zaniewskiego. Ukraińcy zajęli pozycje bojowo-ubezpieczeniowe: dwóch od strony ulicy, dwóch po przeciwnej stronie. Niemcy poszli do mieszkania sołtysa. Nie byłoby to nic strasznego, gdyby nie fakt, że tam właśnie znajdowali się oczekujący nas koledzy, których mieliśmy doprowadzić do zgrupowania obozu „Góry”. W napięciu zaczęły nasuwać się różne podejrzenia. Wpadło kilku kolegów, którzy byli wtajemniczeni. Tak więc, czy to wsypa, czy przypadek? Jaki plan działania? Próba odbicia w wypadku aresztowania przy przewozie za dnia – mało realna. Posiadamy tylko pistolety i granaty. Zmobilizowanie broni od członków rezerwowych może być nieskuteczne, gdyż Ukraińcy posiadali przeważnie automaty PPD (pistolet pulemiot Diegtiariewa). Gdzie zaplanować zasadzkę? Nie może to być we wsi. Analizowaliśmy wszystkie możliwości. Czy w ogóle może dojść do aresztowania i przewozu chłopaków na posterunek żandarmerii, skoro – jak się okazało – chłopaki mają kilka pistoletów oraz granaty? W takiej sytuacji konflikt może rozstrzygnąć się na miejscu.

Janka, siostra gospodarza, zaangażowała kilka koleżanek do obserwacji i powiadomiła, że jak na razie nic nie wskazuje na wsypę. U sołtysa cicho i spokojnie, Ukraińcy nadal na swych uprzednio zajętych stanowiskach. Trochę to nas uspokoiło. Faktycznie, mógł to być przypadek.

Jak się później okazało, tylko państwo Zaniewscy zachowali zimną krew. Natychmiast podali Niemcom poczęstunek, żeby żandarmi nigdzie nie wychodzili. W chwili przyjazdu Niemców chłopaki znajdowały się w stodole. Obserwując wszystko, w pierwszej chwili również przypuszczali, że to może być wsypa. Nie mogli jednak uciekać, ani zdradzić swojej obecności. Nawet w stodole nie było gdzie się skryć. Na przednówku leżało w niej zaledwie parę snopków słomy. Pani Zaniewska w porozumieniu z sąsiadkami natychmiast rozpoczęła zbiórkę jaj. Ponadto przyniosła żywą gęś, wiążąc jej nogi i skrzydła. Położyła ją na korytarzu przy otwartych drzwiach kuchni, aby krzyk gęsi odłączonej od stada był bardziej słyszalny. Zwracając się do Niemca powiedziała: „Panie komendancie, jaj uzbieraliśmy, ale tego gęsia niech pan komendant

również weźmie!” Miała nadzieję, że być może zmobilizuje to Niemców do szybszego odjazdu. Na szczęście odjechali, nie myszkując po chlewach i stodołach, jak to czasem potrafili robić. Po ich odjeździe wszyscy z ulgą odetchnęli. Sołtys dla uspokojenia wyciągnął butelczynę żytniówki własnej produkcji, machnął sam setę, po pięćdziesiątce poczęstował chłopaków. Gospodyni poczęstowała posiłkiem z uzbieranych jaj, nieprzekazanych w całości Niemcom. Chłopcy zostali poinformowani, że patrol łączników grupy kontaktowej czeka i tuż po zmroku będą podchodzić pojedynczo. Po podanym haśle należy do każdego podłączyć się po trzech, aby nie wzbudzić we wsi podejrzeń. Połączenie w jedną grupę nastąpi poza wsią.

Tak opuściliśmy wieś Racicze. W ciepłą, pogodną noc maszerowaliśmy przez wieś Perstuń do następnej: Prolejki. Humory wszystkim się poprawiły. Najbardziej rozweselił swoją szczerością młody, szczupły chłopak, może najmłodszy z całej grupy. „Wiecie co, chłopaki – powiada – już ósmy dzień żyję tylko na chlebie i mleku, czasem na jajecznicy, ale jak zobaczyłem przez szczeliny drzwi w stodole, w jakiej sytuacji jesteśmy, dostałem od razu rozstroju żołądka. Ani to wyjść, ani to w stodole...”. Któryś z dowcipniejszych chłopaków powiada, że trzeba było bezpośrednio w portki...

Większość tych chłopaków wywodziła się z terenów nadniemeńskich Obwodu Grodzieńskiego. Po wyspie marcowej i aresztowaniu pierwszego i drugiego zastępcy komendanta Obwodu zostali zdekonspirowani, uznani za „spalonych”<sup>20</sup>. Należało niezwłocznie przerzucić ich do zgrupowań oddziałów leśnych.

Zbliżaliśmy się do wsi Prolejki. Żarty należało zakończyć. Letnie noce są krótkie. Chłopaki - przekazywani z punktu do

<sup>20</sup> Wielka wsypa w grodzieńskiej AK (Obwód Grodno Prawy Niemen) miała miejsce wiosną (marzec-maj) 1944 r. Gestapo aresztowało wtedy kilkudziesięciu członków organizacji, w tym wielu z kierownictwa obwodu. Część kadry zagrożonej aresztowaniem przerzucono do oddziałów leśnych w Puszczy Augustowskiej. Szerzej zob. T. Łabuszewski, *Wielka wsypa w Obwodzie AK Grodno Prawy Niemen*, „Biuletyn Instytutu Pamięci Narodowej” 2002, nr 8-9, s. 65-71.

punktu – przemęczeni, wobec powyższego zmuszeni byliśmy do zarekwirowania we wsi dwóch fur. Rolnicy w nie najlepszym nastroju okazywali chęć świadczenia usług. W czasie jazdy jednak rozwinęły się tematy o nieuniknionej klęsce Niemiec i dało się zaobserwować życzliwszą chęć okazania pomocy. Dojeżdżając do Hołynki, gdzie stacjonował posterunek żandarmerii, zjechaliśmy na boczną drogę w kierunku wsi Bartniki, a dalej na tzw. Młynek na skraju Puszczy Augustowskiej. Tu zarządziliśmy kilkuminutowy odpoczynek. Było już zupełnie widno. Zwolniliśmy fury, dziękując rolnikom za okazaną pomoc i życząc szczęśliwej powrotnej drogi. Dalej szliśmy pieszo przez las do zgrupowania obozowego oddalonego o ok. 8 km w okolicy wsi Gruszki. Wszyscy chłopcy zostali ulokowani w oddziale tzw. Grodzieniaków Kazimierza Okulicza „Góry”.

Poza wymienionym oddziałem „Góry” nie sposób pominąć oddziałów leśnych, które powstały wcześniej w Puszczy Augustowskiej, wywodzących się z Obwodów Suwalskiego i Augustowskiego, takich jak:

Oddział Witolda Pieleckiego ps. „Żwirko”,  
 Oddział Michała Fiłona ps. „Dąb”,  
 Oddział Antoniego Dąbrowskiego ps. „Zając”,  
 Oddział Albina Drzewieckiego ps. „Konwa”,  
 Oddział Juliana Wierzbickiego ps. „Roman”,  
 Oddział Franciszka Gaworowskiego ps. „Leśny”,  
 Oddział Józefa Szmigielskiego ps. „Zawisza”.

Poza tym istniały patrole kedywu por. „Sępa”, „Kmicica”, „Rysia”, „Wichra”, „Lota” itp. Niemal wszystkie oddziały leśne i patrole miały powiązania z grupami konspiracyjnymi do spraw zaopatrzenia, zwiadu, kolportażu, łączności oraz przerzutów.

Jedną z bardziej aktywnych grup przerzutowych była nasza grupa plut. Adolfa Krawczyka ps. „Głaz”, mająca powiązania z zapleczem placówek IV i V Rejonu. Spora ilość działań przypadła tzw. grupie bohaterskiej lub bohatersko-wołkuszańskiej, gdyż większość jej członków pochodziła z Bohater i z Wołkusza. Położenie tych wsi na obrzeżach Puszczy Augustowskiej oraz w strefach przygranicznych przez okres wszystkich okupacji decydowało o charakterze działań

ności. Przerzuty graniczne rozpoczęły się już w 1940 r., w czasie okupacji sowieckiej. Dotyczyły osób zagrożonych deportacją. Jesienią 1941 r. przez członków naszej grupy została przetransportowana broń, zmagazynowana w 1939 r. przez plut. Adolfa Krawczyka. Od marca 1942 r., po przemianowaniu ZWZ na AK większość członków grupy po zaprzysiężeniu weszła w skład naszej siatki konspiracyjnej w plutonie „Głaza”, współpracując z por. Kazimierzem Sitnikiem ps. „Osa”, który pełniąc funkcję pierwszego dowódcy placówki Hołynka został jednocześnie powołany na zastępcę dowódcy IV Rejonu. W późniejszym czasie dochodzi do współpracy z por. „Zaleskim” – Bolesławem Burakiewiczem, który był komendantem placówek Hołynka-Łabno i dowódcą kompanii nr 8 na terenie obwodu Grodno Prawy Niemen. Działalność naszej grupy nie ulega zmianie, natomiast poszerza się jej zakres działania do IV i V Rejonu oraz powiększających się oddziałów leśnych.

Ja sam występuję pod ps. „Palma”, pełniąc funkcję łącznika-zwiadowcy (w tym w części ds. przerzutów granicznych). Jako uzbrojenie posiadałem sowiecki automat pepeszę oraz pistolet vis produkcji radomskiej. Był to pistolet skuteczny i nie miałem trudności w zaopatrzeniu w amunicję, pasowały pociski od niemieckich automatów.

Wraz z usprawnieniem organizacyjnym AK dzięki działalności plut. Liniarskiego „Mścislawa” wzrosła działalność dywersyjna przeciw okupantowi. Niemcom nie udawało się tak łatwo jak wcześniej wnikać w struktury AK, w celu likwidacji siatki i jej członków, dowództwo wzmogło czujność. Rozbudowa leśnych oddziałów partyzanckich umożliwiała likwidację konfidentów. Jedną z takich akcji miała miejsce 13 września 1943 r.

Patrol „Żwirki” próbował zlikwidować Józefa Bobojca mieszkającego obok posterunku żandarmerii w Gibach. Partyzanci z oddziału „Żwirki” zorganizowali ukrytą blokadę posterunku, aby Niemcy nie mogli przyjąć konfidentowi z natychmiastową pomocą. Grupa likwidacyjna wdarła się do mieszkania Bobojca, a on sam skrył się pod łóżkiem. Jeden z członków grupy oddał w jego kierunku siedem strzałów z broni krótkiej.

Przekonany, że strzały spowodowały śmierć, nie sprawdzając ich skuteczności, wycofał się. Okazało się jednak, że nie były one śmiertelne. Dzięki niezwłocznej pomocy żandarmów konfident przeżył i po trzymiesięcznym pobycie w szpitalu, wrócił do Gib. Nie uszedł z życiem w późniejszym czasie.

Podobny los spotkał agenta działającego na rzecz gestapo pod kryptonimem W 53 – Mariana Bogdanowicza. Likwidując go, udało się jednocześnie zdobyć jego pistolet. Z powodu zlikwidowania konfidenta, zwłaszcza jeśli nie był narodowości niemieckiej, okupanci zbytnio się nie martwili. Interesowali się jednak śmiercią Bogdanowicza. Poszukiwali podejrzanych, w tym sierżanta Jana Kowalika ps. „Sulima”. Wywiesili nawet publiczne obwieszczenia, obiecując nagrodę. Z tego wynikało, że Bogdanowicz był bardziej ceniony od pozostałych.

Patrol kedywu dowodzony przez pchor. Leona Suchockiego ps. „Lwiątko” zlikwidował w Pyszkach koło Grodna agenta gestapo Edwarda Warakomskiego (ps. „Szary” vel P.49), który zdekonspirował grupę „Burzy”. Wtedy również zdobyto krótką broń.

Hańbiącą działalnością konfidenta-naganiacza wyróżnił się także Adolf Bugieda, mieszkaniec Ponarlicy w IV Rejonie Obwodu Augustowskiego. Znałem go osobiście i dlatego nie rozumiem, co skłoniło go do współpracy z Niemcami. Młody, przystojny człowiek, próbował trochę kaleczyć język niemiecki. Rodzice z jego bratem prowadzili gospodarstwo, mieli też ładną pasiekę. Adolf w gospodarstwie mało pracował, najczęściej był w rozjazdach. Widywano go w Hołynce, Lipsku, Sopoćkiniach, czasem nawet w towarzystwie żandarmerii. Granica w miejscu byłej linii demarkacyjnej sowiecko-niemieckiej nadal była strzeżona przez niemieckie służby graniczne. Nadal istniała placówka Grenzpolizei w Mikaszówce. Nikt z nowo zajętych terenów nie miał prawa przekraczać granicy. Nie przeszkadzała ona jednak Bugiedzie. Dość często przebywał we wsi Gruszki (3 km od posterunku Grenzpolizei). Budziło to pewne podejrzenia, gdyż wieś Gruszki była najbliższą wsią dla zgrupowania oddziałów partyzanckich „Żwirki”, „Góry”, „Zająca”. Przebywając poza linią demarkacyjną na terenach Suwalszczyzny, usiłował on nawiązać znajomość z właścicielami

sklepów ze wsi Gruszki – Skowrońskim i Stanisławem Makarem. Oferował im do sprzedaży miód, waluty obce i złote monety. Najpierw zaliczano go do tzw. cinkciarzy i tak by pozostało, gdyby nie to, że łącznicy-zwiadowcy AK, obserwując budynek gestapo przy ul. Hoovera w Grodnie i donosząc o odwiedzinach w gestapo osób podejrzanych, nie wymienili również Bugiedy. Sam dowiedziałem się o tym na punkcie kontaktowym łącznika „Borki” zam. przy ul. Prawobrzeżnej w Grodnie. Najczęściej Bugieda był widywany w siedzibie gestapo w czwartki i w piątki.

Doszły do tego dodatkowe podejrzenia. Wieś Gruszki już od 1939 r. była okupowana przez Niemców. Administracyjnie podlegała pod Suwałki (Sudauen). Dotychczasowych aresztowań z tamtejszych terenów dokonywało gestapo z Suwałk. Niemcy nigdy w pierwszej fazie śledztwa nie działali poza linią demarkacyjną. Raptem obaj właściciele sklepów – Skowroński i Makar zostali aresztowani przez grodzieńskie gestapo. Parę dni po aresztowaniu obu właścicieli zgłasza się Adolf Bugieda do ich żon, oferując swoje usługi w celu uwolnienia z rąk gestapo w Grodnie. Twierdził, że ma tam znajomości i za odpowiednią opłatą – w formie biżuterii, obcej waluty, złotych monet, a nawet wartościowej odzieży, jak futra, skórzaki, buty, pomoże ich uwolnić. Aby ratować mężów, żony zdecydowały się na wszystko. Bugieda wyznacza dzień spotkania w gestapo w Grodnie. Pani Regina Makar, nie posiadając dostatecznej ilości przedmiotów wartościowych, zgłosiła się do mnie po pożyczkę. Nie wierzyłem w powodzenie tego przedsięwzięcia, podejrzewałem, że może to być pułapka. Uprzedziłem panią Reginę, że Bugieda jest podejrzany o współpracę z gestapo. Nie przekonało to pani Makar, udzieliłem więc pożyczki w postaci kilku dziesięciorublowych złotych monet oraz 3 złotych monet dwudziestodolarowych pod warunkiem, że nigdy nie zdradzi źródła ich pochodzenia. Podpowiedziałem, że ma tłumaczyć, iż monety ofiarowała jej przed śmiercią jej babcia Klara. Przy pożyczaniu pieniędzy był obecny szwagier Makara Franciszek Todryk, obecnie zam. w Giżycku,



ul. Dąbrowskiego 10, w chwili pisania tych wspomnień przebywający w Domu Opieki Społecznej przy ul. Warszawskiej.

#### C Ś W I A D C Z E N I E

Ja niżej podpisany Franciszek Todryk sam. Giżycko (obecnie Dom Starców) legitymujący się dowodem osobistym Nr *F.W. 222.0589*.....  
wydanym przez *KPMO. Dziennik*..... dnia *3.12.1963r*.....  
Oświadczam, że byłem niosącym świadkiem przy pożyczaniu przez  
Reginę Makar w 1943r kosztowności od Pana Józefa Pawluczyska  
w tym czasie zamieszkałego we wsi Bohaterzy Leśne Stare gm. Lipak  
pow. Augustów. Kosztowności miały być przekazane dla gestapo  
w Grodnie na wykup zaaresztowanego męża Stanisława Makara tj. mojego  
szwagra. Pani Makar do swoich posiadanych kosztowności dopożyczyła  
od W)w Pawluczyska Józefa 4 (słownie cztery) monety złote dziesięciocio-  
rublowe oraz 3 (trzy) monety złote dwudziestodolarowe. Cierpę  
na wykupienie męża za kosztowności przedłożył i zaoferował powołując  
się na znajomości w Grodzieńskim Gestapo Pan Adolf Bugieda  
sam. w Ponarlicy, który to w umówiony dzień uczestniczył przy  
doprowadzeniu Pani Makar do Gestapo przy ul. Howera w Grodnie.  
Okoliczności powyższe są mi znane, gdyż dowodziłem Panią Makar  
do Bohater po pożyczkę tak samo i do Grodna, z tym że spowrotem  
powróciłem sam. Pani Makar Regina po złożeniu biuterii, złotych  
walut i innych kosztowności, które to przyjął gestapowiec  
o nazwisku Gniedoj została zaaresztowana i tak samo jak mąż  
osadzona w obozie więziennym. Zgodność z powyższym potwierdzam  
własnoręcznie podpisem:

Giżycko, dnia *24/VII - 1995 r.*

Poświadczam podpis Pana Franciszka Todryka złożony w mojej  
obecności:

Data: *24/VII - 1995 r.*  
DOM POMOCY SPOŁECZNEJ  
11-500 w Giżycku  
ul. Warszawska 31 tel. 25-73  
009302540  
DYREKTOR  
DOMU POMOCY SPOŁECZNEJ  
Krzyszyna Kabanbeiger

Adolf Bugieda doprowadził do wizyty pani Makar w gestapo w Grodnie. Po wysłuchaniu jej prośb o uwolnienie męża, funkcjonariusz gestapo o rzekomym nazwisku Gniedoj zagarnął kosztowności do szuflady biurka, zaś panią Makar odprowadzono do aresztu. Zamiast uratować męża, sama straciła wolność i dorobek całego życia. Makarowie zostali wywiezieni do obozów. Pan Makar przebywał w obozie w Stutthofie. Pani

Regina więziona była w innym obozie. Po zakończeniu działań wojennych wraz z innymi kobietami została pod opieką Czerwonego Krzyża wywieziona do Szwecji. Po kapitulacji Niemiec wróciła do kraju. Mąż Stanisław też przeżył. Po powrocie i krótkim pobycie w swoich stronach wyjechali na ziemie odzyskane. Oboje już nie żyją. Pochowani zostali na cmentarzu w Gorzowie Wielkopolskim.

Tak więc podejrzenia o współpracę Bugiedy z gestapo zostały potwierdzone. Zdrajca został zlikwidowany we własnym domu.

Pomimo ostrych wyroków na konfidentów, Niemcy starali się rozbudowywać swoją agenturę. Angażowano nowych współpracowników, zależało im na dostępie od wewnątrz do kierownictwa i struktur organizacyjnych. Działalność sabotażowa dokonywana przez członków organizacji i oddziały partyzanckie AK wzmagała się z każdym dniem. Nie sposób wymienić wszystkich akcji, dokonywanych przez oddziały partyzanckie na terenie obwodów Augustowskiego i Suwalskiego. Ilość przeprowadzonych akcji zbrojnych – sabotażowych, zaopatrzeniowych itp., objętych udokumentowaną ewidencją, szacuje się na ponad trzysta, nie licząc drobnych akcji nękających wroga. Wspomnę o niektórych w obrębie naszego rejonu i okolic.

W kwietniu 1942 r. pchor. „Kmicic” (Zbigniew Zdrodowski) dowodząc 5-osobowym patrolem na stacji kolejowej Augustów, rozbroił dwóch niemieckich żołnierzy SS.

29 marca 1943 r. 20-osobowy oddział „Konwy” (A. Drzewieckiego) otaczając z zaskoczenia 12 żołnierzy Wehrmachtu, pracujących przy budowie linii telefonicznej na odcinku Lipsk – Augustów, zmusił ich do złożenia broni oraz przekazania urządzeń. W akcji tej zdobyto 12 kbk z amunicją.

1 maja 1943 r. 30-osobowy oddział Jana Koselkowicza ps. „Szczęsny” dokonał ataku na Sztabin, opanowując jednocześnie posterunek żandarmerii, pocztę oraz komisariat. Zabity został jeden Niemiec. Zdobyta broń, zapasy żywności, kilkadziesiąt kompletów umundurowania przygotowanymi furami przewieziono do zgrupowań leśnych, nie ponosząc strat własnych.

21 marca 1943 r. w Augustowie, podczas przeprowadzania akcji przez żandarmerię niemiecką został zaskoczony por. W. Skabowski ps. „Burza”. Widząc, że jest osaczony, podjął samotną walkę z żandarmami. Celnymi strzałami z pistoletu vis ugodził śmiertelnie jednego z żandarmów, drugiego ciężko raniąc. Nie mając szansy ucieczki, ostatnią kulą swego pistoletu pozbawił się życia, aby uniknąć aresztowania zakładników i tortur śledczych.

3 lipca 1943 r. patrol dywersyjny placówki Lipsk kpt. „Dęba” (Michała Fiłona) zorganizował zasadzkę na żandarmów eskortujących aresztowanego leśniczego Krysiuka i jego rodzinę. Ostrzelani Niemcy, ratując się ucieczką do lasu, w popłochu zostawili wóz z więźniami.

21 lipca 1943 r. sierżant W. Sobolewski ps. „Sęk” zorganizował akcję na majątek Netta. Dokonano rekwizycji żywności, broni, także palnej myśliwskiej. Administrator za złe traktowanie polskich robotników otrzymał karę chłosty i upomnienie.

Tegoż samego miesiąca podobnej akcji dokonał oddział „Komara” w okolicy Sajenka. Kilkuosobowa grupa strażników niemieckich nadzorująca polskich robotników została rozbrojona. Zdobyto 5 kbk oraz 3 pistolety.

17 sierpnia kilkuosobowy patrol dowodzony przez pchor. „Romana” zaminował tor kolejowy w pobliżu przystanku Bliźna. Jadący pociąg towarowy wykoleił się, blokując trasę.

Tenże sam patrol dowodzony przez „Romana” (J. Wierzbickiego) 17 lipca 1943 r. opanował Szpital Miejski w Suwałkach. Odcinając łączność telefoniczną uniemożliwił wszczęcie alarmu i pościgu. Uprawdowano rannego łącznika Tadeusza Zarębę, którego Niemcy czasowo umieścili w szpitalu do podleczenia w celu uzyskania zeznań.

Tegoż samego dnia patrol dywersyjny dowodzony przez „Kolkę” (J. Rutkowskiego) przy przerzucie broni z Litwy natknął się na straż graniczną strażnicy Kupowo. W wyniku ostrej wymiany ognia zostało zabitych 2 Niemców. Po stronie patrolu został ranny szczerzy mój kolega „Leszczyna” Jan Dadura, który uczestniczył w akcji.

24 sierpnia 1943 r. Paweł Wnukowski ps. „Wilczek” w towarzystwie kolegi partyzanta N.N., wioząc furą żywność ze wsi Jasionowo do oddziału w okolice Brzozowych Grądów, wpadli w zasadzkę żandarmów. Zginął kolega „Wilczka”, sam „Wilczek” pomimo dwukrotnego postrzału zdołał ujść. Niestety cenne uzbrojenie zabitego kolegi – tj. „samozariadka”<sup>21</sup> oraz pistolet wpadły w ręce żandarmów.

15 lipca 1944 r. sierżant Józef Herbst ps. „Bawół” zorganizował ze swoim oddziałem zasadzkę na transport samochodów ciężarowych, minując trasę na odcinku Lipsk-Augustów. Naprzeciw Balinki czołowa maszyna wyleciała w powietrze, pozostałe zostały ostrzelane z broni maszynowej. Straty wroga: 2 zabitych, 3 rannych i zniszczone 2 samochody.

13 listopada 1943 r. „Lot” Edmund Krzysiuk ze wsi Krasne urządził zasadzkę w swojej zagrodzie. Cała jego rodzina była w oddziałach leśnych z powodu zagrożenia aresztowaniem i egzekucją. „Lot” usiłował odwiedzić opuszczone gospodarstwo. Podczas jednych takich odwiedzin, zanim zdażył opuścić dom, zauważył zbliżających się żandarmów, którzy chcieli wejść do opuszczonych zabudowań. Wchodzących do mieszkań żandarmów przywitał strzałami z pistoletu. Jeden z żandarmów został zabity, drugi ranny. Sam „Lot” wycofał się bez żadnego uszczerbku. Jednak Niemcy spalili jego zagrodę.

Stosowany przez okupanta terror nie wpływał na zmniejszenie akcji dywersyjnych i sabotażowych. Punkty administracji niemieckiej w różnych miejscowościach były nieustannie nękane. Transport kołowy i kolejowy musiał być stale konwojowany przez Niemców, strzeżone też musiały być linie kolejowe. Eksploatacja drewna z lasów augustowskich oraz budulca przerobionego w tartakach, a także transport wodny zostały przerwane. Rozbito oddział niemieckiej ochrony tartaku w Macharcach. Urządzenia tegoż tartaku zostały całkowicie zniszczone, obiekty tartaczne spalone. Tartak został unieru-

<sup>21</sup> Karabin samopowtarzalny. Chodzi prawdopodobnie o dziesięcioprowadzające SWT (*Samozariadnaja Wintowka Tokariewa*), które były na wyposażeniu sowieckiej straży granicznej w l. 1939-1941 i część z nich trafiła w ręce partyzantów.

chomiony aż do końca okupacji. Znajdujące się tam piły mechaniczne, wydane przez Niemców robotnikom, uległy rekwizycji. Szlak Kanału Augustowskiego, którym okupant przez pewien czas spławiał budulec drzewny, został przerwany na skutek wysadzenia materiałami wybuchowymi tzw. śluz.

Rozwścieczeni Niemcy dla zastraszenia społeczeństwa dokonali pacyfikacji wsi Jasionowo, położonej przy szosie Lipsk-Augustów na obrzeżach Puszczy Augustowskiej. Wieś Jasionowo była uważana przez Niemców za podstawową bazę zaopatrzenia dla oddziałów partyzanckich. Egzekucji na mieszkańcach dokonano 26 sierpnia 1943 r. Po wsi zostały tylko zgliszczą<sup>22</sup>.

13 lipca 1943 r. Niemcy dokonali masowego mordu mieszkańców Lipska. W miejscowości Naumowicze koło Grodna, na tak zwanych „fortach” rozstrzelano 50 mieszkańców Lipska. Po zakończeniu działań wojennych i kapitulacji Niemiec na placu, uprzednio rynkowym, w Lipsku został postawiony pomnik dla uczczenia pamięci pomordowanych<sup>23</sup>.

Ku upamiętnieniu podają ich nazwiska:

Arcimowicz Wincenty	Narciszko Karol
Arcimowicz Franciszek	Narciszko Bronisława
Arcimowicz Marianna	Olchowski Jarosław
Arcimowicz Leonarda	Omiljanowicz Ewa
Bądzińska Franciszka	Omiljanowicz Nikodem
Biernacka Marianna	Panasewicz Anna
Butkiewicz Stanisław	Panasewicz Elżbieta
Bartosiewicz Stanisław	Pawłowski Konstanty
Białous Anna	Roszkowska Stefania
Biernacki Stanisław	Rutkowski Bronisław
Czokało Zofia	Sawaniewski Aleksander
Filon Jan	Skardziński Stanisław

<sup>22</sup> Męczeńską śmiercią zginęło wtedy 58 mieszkańców Jasionowa, w tym wiele kobiet i dzieci. Majątek ruchomy został wywieziony a wieś spalona.

<sup>23</sup> Uroczyste odsłonięcie pomnika „Zginęli za Polskę” odbyło się 14 X 1972 r., przy udziale delegacji władz centralnych, wojewódzkich, powiatowych oraz wielu gości i licznych mieszkańców.

Filon Zofia	Skokowski Józef
Gromadzka Anastazja	Stroczkowska Elżbieta
Konoza Regina	Sztukowski Antoni
Kalisz Bronisław	Sztukowski Jan
Kmita Zofia	Sztukowski Józef
Kuczyńska Zofia	Sztukowski Władysław
Kwiatkowski Piotr	Sztukowska Wacława
Lichaczewski Stanisław	Trzasko Stanisław
Milewski Bolesław	Wierbołowicz Stanisław
Milewska Anastazja	Żelazowski Franciszek
Milewska Lidia	Żurawski Antoni

Ponadto w obozie koncentracyjnym zginęła mieszkanka Lipska Helena Sztejner. Osadzony był również w obozie ksiądz Stanisław Chomiczewski.

Poza dokonaniem ludobójstwem mieszkańców Jasionowa i Lipska oraz stosowaniem terrorem, wyraźnie było widać, że Niemcy dążą do wzmocnienia swych baz. Dokonano przeszkoleń specjalnych grup do walki z partyzantami, lokując je w rozbudowanych umocnieniach na terenie Obwodów Suwalskiego i Augustowskiego. Okupant zaczął stosować taktyki partyzanckie, tj. wypadki i zasadzki. Powodowały one większe niebezpieczeństwo i zagrożenie dla oddziałów partyzanckich poruszających się w terenie, jak również dla dostaw zaopatrzenia z zaplecza. W wyniku takich działań i na skutek zdrady leśniczego Boruki oddział por. F. Jagodzińskiego wpadł w zasadzkę pod wsią Okółek. Od pierwszych strzałów niemieckich padli: dowódca kpr. „Cecora” i strzelec „Bronek”. Ranni zostali pchor. „Halicz” i strz. „Mazurek”. Uczestnicząca w tej grupie Maria Iwanicka ps. „Małgorzata”, która w pierwszej fazie nie była namierzona przez Niemców i posiadała karabin maszynowy, zdążyła osłonić odwrót pozostałych członków oddziału. Pomimo zaskoczenia, wróg również poniósł straty, głównie od kul dzielnej „Małgorzaty”: 2 zabitych i 4 rannych Niemców. Niestety, parokrotnie ranna „Małgorzata” i pozostali ciężko ranni partyzanci wpadli w ręce Niemców, przez których

zostali dobiti tegoż samego dnia. „Małgorzata” za swą waleczność pośmiertnie została awansowana do stopnia porucznika.

Podobna sytuacja wydarzyła się partyzantom z oddziału ppor. Trojanowskiego w okolicy wsi Rygol. Wioząc żywność dla oddziałów obozu „Żwirki” wpadli w zasadzkę, w wyniku czego został ciężko ranny „Motyl”, który wpadł w ręce Niemców. Lżej ranny „Wir” zdołał zbiec i dotrzeć do obozu zgrupowania leśnego partyzantów, gdzie opowiedział o zasadzce. Następnego dnia wysłany 6-osobowy patrol „Sępa” również natknął się na zasadzkę. Odpowiadając brawurowym ogniem zmusił hitlerowców do wycofania się. Niemniej jednak, w wyniku tej potyczki, został ranny „Kurzawa” (Romatowski).

Jedną z baz zorganizowanych przez Niemców była baza w byłej leśniczówce Jazy, położonej w pobliżu Mikaszówki. W samej Mikaszówce też stacjonował oddział Grenzpolizei. Cały obiekt leśniczówki w Jazach został przebudowany niemal w twierdzę obronną. Ustawiono bunkier ochronny z obronnym polem ostrzału z broni maszynowej, z wejściem korytarzowym od wewnątrz budynku. Cała posesja została ogrodzona zasiekami z drutu kolczastego, z bramą wjazdową zamykaną na kłódki. Owa baza była dla oddziałów partyzanckich niczym wrzód na niepożądanym miejscu. Dowództwu AK zależało, ażeby ją zlikwidować jeszcze przed nadejściem zimy. W tym celu podjęto rozpoznanie i opracowywano plan operacyjny dla przeprowadzenia akcji likwidacyjnej. Przygotowania były utrzymywane w tajemnicy. Jako termin ataku przyjęto pierwsze dni listopada 1943 r. W związku z tym, że w dniu 3-go listopada został dokonany atak na posterunek żandarmerii w Lipsku, termin ataku na bazę Jazy przesunięto na 5-6 listopada.

Ataku na posterunek w Lipsku dokonały połączone oddziały „Zająca” i „Dęba” pod dowództwem por. „Zapały” (Stanisława Świątkowskiego). Akcję tę przeprowadzono w odwet za mord mieszkańców Lipska. Obiektami ataku były posterunek żandarmerii i amtskomisariat. Torując drogę granatami, partyzanci wdarli się na posterunek opuszczony w popłochu przez żandarmów, zdobywając zapasy uzbrojenia, amunicji, leki, materiały opatrunkowe. Zarekwirowano przy tym również

dla własnych, organizacyjnych potrzeb maszynę do pisania z zapasem materiałów piśmiennych, zdobyto 5 pistoletów maszynowych. W akcji tej został ranny „Grom”. Po stronie nieprzyjaciela zostało rannych dwóch żandarmów oraz postrzelono nadgorliwego sołtysa Lipska Wincentego Olszewskiego.

Definitywny termin ataku na bazę Jazy ustalono na dzień 5-go listopada 1943 r. Dla zwiększenia liczebności obstawy dróg i terenu zmobilizowano część oddziałów rezerwowych, w skład których wchodziła część naszej grupy. Plan ataku na bazę teoretycznie zakładał możliwość osiągnięcia celu bez strat własnych, ewentualnie przy minimalnych stratach. Planowano przeprowadzenie dość ryzykownej akcji, rozpoczynając od wnętrza obiektu, aby uniemożliwić Niemcom dotarcie do gniazd broni maszynowej, z jednoczesnym atakiem z zewnątrz. Na drogi dojazdowe, skąd mogłyby nadejść pomoc dla Niemców, zamierzano wysłać patrole zabezpieczające. Ponadto przed żandarmerię z Mikaszówki planowano wysłać grupę ppor. „Żwirki”, wzmocnioną ludźmi z terenu i pod jego dowództwem. Należało powstrzymać Niemców ze zgrupowania oddziałów stacjonujących w Mikaszówce. Pozostałe oddziały, w tym oddział „Konwy” miały się ukryć w najbliższym położeniu leśniczówki i zaatakować z chwilą otwarcia bramy, po uprzednim wejściu trzech partyzantów w przebraniu razem z robotnikami zgłaszającymi się do wykonywania robót. Zadanie tej trójki było bardzo ryzykowne. Mieli oni odciąć Niemcom wejście do bunkra, uniemożliwiając dotarcie do broni maszynowej i ostrzał przedpola. Zadania tego podjęli się „Sokół”, „Sowa” i „Strzała”. Uzbrojenie ich składało się z broni krótkiej i granatów.

Akcja miała się rozpocząć o godz. 7 rano, tj. z chwilą wpuszczenia robotników na plac bazy i otwarcia bramy. Otoczenia bazy i obstawy dróg dokonano częściowo jeszcze wieczorem, częściowo nad ranem. Wszyscy w napięciu oczekiwali otwarcia bramy. W samej bazie panował normalny spokój. Część załogi wyszła z budynku, przystępując do podstawowych czynności związanych z toaletą, takich jak mycie się przy studni, odwiedzanie pieszo „królewskiego domku”. W pewnym momencie powstał krzyk i zamieszanie. Niemcy

zaczęli uciekać z placu, pokazując gestami w kierunku jeziora. Z tego wynikało, że któryś z partyzantów się zdradził, niewłaściwie się ukrywając, albo się uniósł w nieodpowiednim momencie. Był to niewybaczalny błąd. Należało się wycofać. Patrol przebrany za robotników, oczekując otwarcia bramy, wszczął jednak akcję, ostrzeliwując kłódki, forsując bramę. Było jednak za późno, aby odciąć Niemcom wejście do schronu. „Strzała” pierwszy dobiegł, usiłując jeszcze wrzucić granat do korytarza przejściowego. Gdy unosił klapę, został ugodzony w rękę z broni maszynowej. Nadbiegający z pomocą partyzanci zostają ostrzelani z bunkra. Rzucane pod ostrzałowe okienka granaty okazują się mało skuteczne, powodując jedynie leje w nasypach. Część partyzantów przedarła się przez płot, budynek został opanowany, ale wróg nie został zlikwidowany. Jedyne żandarmeria spiesząca z pomocą z bazy Mikaszówka została ostrzelana przez oddział „Żwirki” i zmuszona do wycofania się. Pod osłoną ognia i dymu na skutek podpalenia leśniczówki, udało się zebrać z pola walki zabitych i rannych: 2 zabitych, 6 rannych. W obawie odsieczy oddziałów Wehrmachtu z Augustowa, należało niezwłocznie ulokować rannych w bezpiecznych punktach. Ciężko rannych niesiono na prowizorycznych noszach, sporządzonych z dwóch drewnianych drążków, płaszczy i pasów. Tak opuszczano w pośpiechu pole bitwy i dopalającą się leśniczówkę.

Z niepotwierdzonych danych wynika, że po stronie wroga było 6 rannych i 3 zabitych, głównie od wybuchów granatów w pierwszej chwili, w korytarzu przejściowym do bunkra. Budynek leśniczówki spalił się doszczętnie. Powyższej akcji nie określa się jako sukcesu, jednak pokazała ona Niemcom, że nie mogą czuć się bezpieczni w żadnych umocnieniach. Dla dowództwa AK była także przestrożą, że nie należało wdawać się w bój z wrogiem, a przede wszystkim nie dopuścić do budowy takich umocnień. Bazy należało likwidować w początkowej fazie budowy.

Doświadczenie to wykorzystano w rejonie miejscowości Brzozowe Grądy. Oddziały partyzanckie „Dęba” i „Zająca” uderzyły na pracujących przy budowie umocnień w fazie po-

czątkowej. Zaskoczeni Niemcy i robotnicy cywilni w popłochu uciekli, opuszczając obiekt. Rozpoczęty barak, z przeznaczeniem do rozbudowy umocnień, został spalony, łącznie ze zgromadzonymi materiałami budowlanymi. Po tej akcji Niemcy zaniechali budowy.

Podobną decyzję – wycofania oddziałów żandarmerii – podjęli po przeprowadzonej 17 sierpnia 1943 r. akcji na leśniczówkę w Królowej Wodzie. Tę najbardziej udaną akcję przeprowadziły połączone oddziały „Dęba”, „Zająca”, „Sępa” i „Zapały”, dowodzone przez mjr „Bruzdę”. Po obstawieniu dróg, którymi mogła nadejść pomoc, partyzanci zaatakowali oddział tamtejszej żandarmerii. Spieszące z odsieczą samochody z żołnierzami Wehrmachtu i Ukraińcami wpadły w zasadzki ogniowe partyzantów. Partyzanci, nie wdając się tym razem w otwarty bój, po ostrzeleniu ogniem krzyżowym, wycofali się, nie ponosząc żadnych ofiar. Po stronie wroga potwierdzono 18 zabitych i ponad 20 rannych. Po tej właśnie akcji oddział żandarmów został wycofany z leśniczówki Królowa Woda do Augustowa. Po kilku takich, przeprowadzonych przez oddziały partyzanckie akcjach, dało się zaobserwować, że Niemcy zaprzestali budowania nowych umocnień, natomiast postanowili już istniejące wzmocnić pod względem technicznym, jak również zbrojeniowym i osobowym.

Jedną z najbardziej groźnych baz pozostawała baza w Suchej Rzeczce. Tamtejszy posterunek, silnie umocniony, był zlokalizowany w murowanej szkole nad brzegiem jeziora Serwy. Załogę szacowano na ok. 90 ludzi. W większości byli to tzw. własowcy<sup>24</sup>, narodowości ukraińskiej.

Opisując niektóre akcje, nie sposób pominąć akcji z pierwszych dni maja 1944 r. Z pozoru wygląda ona na błędną, ale od tej właśnie chwili uległa zmianie działalność oddziałów AK. W toku tej akcji zginął mój dobry znajomy z Lipska, kolega Bolesław Sitko ps. „Lis”. Patrolem 5-osobowym z oddziału „Zająca”

<sup>24</sup> Potoczna nazwa oddziałów formowanych z jeńców sowieckich (przy udziale gen. A. Własowa) i walczących po stronie Niemiec. Były one często wykorzystywane do akcji przeciwpartyzanckich na terenach okupowanych.

dowodził „Szpak” (Stanisław Suszyński). Akcja dotyczyła zaopatrzenia w mąkę z młyna pana Kowalickiego w miejscowości Hołynka (teścia „Batorego” – Stefana Saleckiego). Młyn z większą posiadłością gruntową i ładnym sadem był własnością p. Kowalickiego, jednak Niemcy na zajętych terenach przejmowali kontrolę nad młynami. Na administrowanie młyna i wykonywanie przemiału musiała być zgoda władz niemieckich. Na użytkowanie młyna przez Kowalickiego wyrażono zgodę, został jednak zobowiązany do prowadzenia odpowiedniej dokumentacji. Opłaty pobierane za przemiał w naturze (zboże) miały być ściśle ewidencjonowane. Dokonywał również przemiału ze zbóż, zleconego przez władze niemieckie. Oddziały AK wiedziały o większych zapasach mąki. Wyślany patrol miał część mąki zarekwirować dla potrzeb oddziałów partyzanckich. Nie spodziewanie patrol „Szpaka” natknął się na obstawę nieznanego patrolu, który wezwał w języku rosyjskim: „Stoj! Kto idiot?” Patrol AK sądząc, że to może być obstawa grupy ukraińskiej współpracującej z Niemcami, odpowiedział ogniem. Posypały się obustronne strzały. W wyniku strzelaniny byli zabici po obu stronach, m.in. kol. „Lis”.

Jak się wkrótce okazało, był to patrol partyzantki sowieckiej, który przed tygodniem znalazł się na tym terenie. Przeprowadzał akcję na młyn w celu zdobycia mąki dla swoich oddziałów. Patrol należał do oddziału dowodzonego przez mjr „Orłowa” (Włodzimierza Konstantynowicza Cwietuńskiego, drugi ps. „Kalinowski”). Oddział ten w połowie kwietnia 1944 r. został przerzucony przez sowieckie dowództwo wojskowe z terenów Białorusi na zaplecze frontu, dla działań dywersyjnych. Rychło jednak został namierzony przez Niemców. Nieustannie był ścigany i nękany potyczkami z oddziałami Wehrmachtu. Na skutek kilkakrotnych potyczek z Niemcami w oddziale byli ranni. Jediną czynną radiostację starali się partyzanci sowieccy utrzymać jak najbardziej sprawną. Z końcem kwietnia podjęli decyzję oddalenia się od terenów przyfrontowych, sforsowali rzekę Niemen w okolicy Hoży, przedostali się do lasów Puszczy Augustowskiej i szukali tam schronienia, licząc jednocześnie na pomoc partyzantki polskiej. Nie nawią-

zując kontaktów z oddziałami AK na danym terenie, zaczęli zaopatrywać się w żywność, wskutek czego doszło do incydentu w pobliżu młyna. Po tym zajściu dowódca sowiecki zrozumiał, że ma do czynienia z oddziałami AK i że musi z nimi wejść w porozumienie. Za wszelką cenę usiłował nawiązać kontakt. Zaangażował do tego celu syna gajowego z gajówki Wołkusz - Bagieńskiego. „Orłow” napisał list adresowany do dowództwa AK, wyrażając ubolewanie i przeprasząc za zaistniały incydent oraz proponując spotkanie z dowództwem partyzantki polskiej. Miałoby się ono odbyć na drogach leśnych: Krasne – Rubcowo, przy zachowaniu jak najdalej idących środków ostrożności. Nie może w nim uczestniczyć więcej niż po 20 partyzantów z każdej strony, z oficerami, mogącymi prowadzić rozmowy. Po nawiązaniu łączności wzrokowej żołnierze winni się zatrzymać. Zbliżyć się mogą jedynie dowódcy upoważnieni do rozmów.

Do spotkania doszło w proponowanym terminie i miejscu. Uczestniczyli w nim: mjr „Orłow” z towarzyszącym oficerem Konstantym Bondarenko ps. „Chmielnickij” i tłumaczem Stanisławem Pietrulewiczem; ze strony polskiej - inspektor IV-go Inspektoratu Suwalskiego mjr Franciszek Szabunia ps. „Zemsta”, ówczesny komendant obwodu kpt. Bronisław Jasiński ps. „Komar”, z-ca komendanta Obwodu kpt. Obiedziński ps. „Górny”, d-ca oddziału partyzanckiego por. Antoni Dąbrowski ps. „Zajac”<sup>25</sup>. Na spotkaniu uzgodniono, że zawarte zostanie obustronne porozumienie. Zostało ono wspólnie opracowane i spisane w polskim oddziale „Zajaca”, w języku polskim i rosyjskim, po dwa egzemplarze dla każdej ze stron. Treść porozumienia była następująca:

1. Oddziały partyzanckie polskie i sowieckie są wojskiem podległym swoim rządóm.

<sup>25</sup> Rozmowy z „Orłowem” miały miejsce w dniach 11-12 V 1944 r. Według ustaleń Z. Gwozdka, ze strony polskiej brali w nich udział „Zemsta”, „Komar”, „Górny”, „Zapała” i „Łuk” (Piotr Milanowski), nie jest natomiast pewny udział „Zajaca” w tym spotkaniu. Inaczej sprawę przedstawia A. Dąbrowski, op. cit., s. 119-121.

2. Wspólnym celem obu oddziałów jest bicie wspólnego wroga tj. Niemiec hitlerowskich. W tym celu ustala się następujące zasady współpracy:

a) Oddziały partyzanckie pospieszą z wzajemną pomocą w przypadku zaatakowania przez Niemców którejkolwiek ze stron.

b) Wszelkie działania zaczepne przeciwko Niemcom oddział sowiecki będzie uzgadniał z polskim dowództwem w celu uniknięcia dezorganizacji w działaniu lub zbytecznego narażania na odwet ludności cywilnej.

c) Ustala się utrzymanie stałej łączności między partyzantką sowiecką a polską za pośrednictwem oficerskiego patrolu łącznikowego.

d) Partyzantka sowiecka włączy się do wszystkich akcji bojowych prowadzonych przez partyzantów polskich, ponadto w razie potrzeby przekaże część broni z otrzymanych zrzutów. Zrzuty mają być chronione obopólnie.

e) Partyzanci polscy wskażą źródła nabycia żywności i zapewnią partyzantom sowieckim przewodników w razie zajęcia takowych potrzeb.

3. Oddziały polskie i sowieckie zawierające porozumienie postanawiają zaprzestać uprawiania polityki, pozostawiając tę sprawę rządowi. Co do granic i ustroju Polski – o tym po zakończeniu działań wojennych<sup>26</sup>.

Porozumienie podpisały strony polska i sowiecka w czterech egzemplarzach, tj. po dwa dla każdej ze stron. Ze strony polskiej: inspektor mjr „Zemsta” F. Szabunia, z komendantem Obwodu Augustowskiego kpt. „Komarem” i zastępcą „Górnym” oraz dowódcą oddziału partyzanckiego „Zającem”, ze strony sowieckiej: mjr „Orłow” i kpt. „Chmielnickij”.

Oddział sowiecki rozlokowano na tzw. Grądach, w odległości ok. 4 km od zgrupowania oddziału „Zająca”, zaś od najbliższej wsi Gruszki ok. 5 km. W pierwszej fazie zaopatrywano partyzantów sowieckich w żywność z rezerw oddziałów polskich. Partyzanci sowieccy poczuli się bezpieczniejsi. Za-

opiekowano się rannymi, udzielając im właściwej opieki lekarskiej. Wzmogły się akcje bojowo-dywersyjne przy wspólnych siłach oddziałów polsko-sowieckich. Podjęto m.in. wspólną decyzję zlikwidowania umocnień bazy niemieckiej w Suchej Rzecze. W tym celu zawarto porozumienie między majorem „Orłowem” a majorem „Zemstą” oraz ustalono wspólny plan działania. Zgrupowano cztery polskie oddziały: „Żwirki”, „Babinicza” „Romana” i „Konwy”. Łącznie z oddziałem partyzantów sowieckich zgrupowanie liczyło ponad 130 osób. Jak zwykle, tak i tym razem przyjęto taktykę zaskoczenia, nie wdając się w otwarty bój, unikając za wszelką cenę ofiar i nadmiernego zużycia amunicji. Całość sił podzielono na cztery grupy. Głównym celem planu było wyciągnięcie Niemców z umocnień przy posterunku, pozorując atak w rejonie mostu na kanale. W międzyczasie oddział „Konwy” miał zadanie odcięcia drogi powrotu do umocnień i unieszkodliwienia całej grupy. Niestety, tylko część czujki niemieckiej wyruszyła poza bazę i natychmiast cofnęła się do umocnień. W związku z tym atak na główną bazę został odwołany. Natomiast nie została odwołana zasadzka na ewentualną pomoc z terenu. Zgodnie z przewidywaniami od strony Augustowa nadjechały dwa samochody z Ukraińcami, które wpadły w zasadzkę. Samochody zostały ostrzelane zmasowanym krzyżowym ogniem. Oblicza się, że około 60 żołnierzy zostało zabitych i rannych, w tym w większości – około 50 – to własowcy ukraińscy. Oddziały partyzanckie wycofały się, nie ponosząc ofiar własnych.

Ponownego ataku na bazę w Suchej Rzecze, również przy wspólnych siłach, dokonano z końcem czerwca 1944 r. Akcję rozpoczęto o świcie, w sile 90 ludzi pod dowództwem kpt. „Babinicza”. Jak zwykle, tak i tym razem, zabezpieczono drogi dojazdowe do Suchej Rzeczeki od strony Augustowa, Gorczyca i Serw. Główne uderzenie na bazę rozpoczęli partyzanci sowieccy, używając po raz pierwszy granatników kaliber 50 mm, pochodzących ze zrzutu. Budynki wchodzące w skład bazy zostały spalone. Tylko nieliczna grupa nieprzyjaciół, którym udało się wycofać brzegiem jeziora, została przy życiu.

<sup>26</sup> Bardzo podobny tekst porozumienia podaje A. Dąbrowski, op. cit., s. 121-122.

W 1944 r., po wyładowaniu wojsk alianckich we Francji i załamaniu się ofensywy niemieckiej na froncie wschodnim, większość dowództwa niemieckiego zrozumiała, że tłumienie represjami ludności cywilnej nie daje efektów i nie powstrzymuje działań wojennych. Oddziały partyzanckie polskie i sowieckie wspólnie podejmowały decyzje dokonywania akcji na terenach niemieckich Prus Wschodnich. Między innymi spalono tartak w miejscowości Reus (Cimochy). Zaminowano tory kolejowe, wysadzając pociąg towarowy z Ełku.

Tenże sam patrol ppor. „Leśnego” i „Ćmy” jeszcze w grudniu 1943 r. opanował posterunek Volkssturmu w Zaniach. Zdobyto 5 kbk, jeden pistolet oraz kilkadziesiąt kompletów umundurowania. Stawiający zaciekły opór komendant posterunku został zastrzelony. Podobne akcje były przeprowadzone przez patrole Kedywu we wsiach Jeziorki, Garbosa. Kilka dalszych akcji dywersyjnych przeprowadzono na terenie Prus Wschodnich, zamieszkałych przez niemiecką ludność cywilną, udowadniając tym samym niezależność akcji zbrojnych i sabotażowych od ludności cywilnej.

Gorzej natomiast przedstawiała się sprawa wzrostu liczebności oddziałów partyzanckich w Obwodzie Suwalskim i Augustowskim. Dowództwo AK postawione zostało w trudnej sytuacji z powodu rekwizycji żywności. Zrzuty dokonywane dla oddziałów sowieckich w minimalnym stopniu dotyczyły żywności, przeważnie dobrojenia. Niektórzy partyzanci polscy nieco żartobliwie przezywali partyzantów sowieckich żarłokami. We wsiach, położonych na obrzeżach lasów, występowały nadmierne rekwizycje żywnościowe. Dowództwo AK, poczuwając się do odpowiedzialności za teren, postanowiło sięgnąć po żywność w dalszą okolicę. Wspólnie z dowództwem oddziałów sowieckich i placówkami organizacyjnymi w terenie ustalono przeprowadzenie akcji zaopatrzeniowych w majątkach administrowanych przez Niemców, w terenie bardziej odległym.

Planem powyższym objęto m.in. była posiadłość gen. Kleberga w Łabnie Ogrodowym koło Grodna, administrowaną przez Niemców. 7 czerwca 1944 r. oddziały mieszane polskie i

sowieckie pod dowództwem por. „Zajaca” dokonały akcji na majątek. Ze względu na dużą odległość od baz partyzanckich (ok. 30 km) i bliskie położenie Grodna, akcję należało sprawnie przeprowadzić. Zmobilizowano do niej część członków organizacji rezerwowo-zaopatrzeniowych, z przygotowanymi środkami przewozu. Patrole skrzydłowe i główne oddziały jeszcze za dnia posunęły się o ok. 10 km na skraj lasów, koncentrując się we wsiach Wołkusz i Bohatery Leśne Nowe i Stare. Czas tak obliczono, aby dokonać akcji w godzinach nocnych, następnie powracać inną trasą i dotrzeć przed nadejściem dnia przynajmniej do obrzeży lasów. Akcja przebiegła bez żadnych niespodzianek. Ochronę majątku i administratora rozbrojono, likwidując wszelką broń, łącznie z myśliwską. Dokonano rekwizycji żywności, ładując ją na podwozy, w tym również trzodę i inwentarz, zarówno w sztukach bitych, jak i żywych, skierowano to wszystko do zgrupowań leśnych i przejściowych baz - punktów zaopatrzenia w terenie.

Pomimo odcięcia łączności telefonicznej liczone się z tym, że po nawiązaniu łączności z Grodnem, może nastąpić pogon jednostek wojskowych Wehrmachtu z Grodna. Część rezerwowych uczestników odłączyła się w Raciczach, aby obserwować i ustalić liczebność wojsk, biorących udział w pościgu. Zdziwiło mnie bardzo, że pościg wyglądał tym razem na przejażdżkę. Oddziałom wojskowym wcale nie było spieszno. Pierwsze grupki żołnierzy ukazały się dopiero w godzinach przedobiadowych, co było rzadko u Niemców spotykane. Żołnierze Wehrmachtu nie zbaczali specjalnie z głównych dróg. Po dotarciu do wsi Dorguń i Sopoćkinie dokonano odwrotu, nie próbując nawet wkraczać w głąb lasu.

W marcu 1944 r. 5-osobowy patrol pod dowództwem „Kmicica” dokonał akcji na majątek Świack. Były ośrodek leczniczo-odwykowy sprzed 1939 r. był zarządzany przez Niemca Güntera. Zarządcę i jego syna, przebywającego w tym czasie na urlopie oficera Wehrmachtu, rozbrojono, zdobywając dwa pistolety i dwie sztuki broni myśliwskiej oraz zapasy żywności i lekarstw. Nie poniesiono w tej akcji żadnych strat własnych.



Podobne akcje przeprowadziły w maju 1944 r. połączone oddziały „Zająca” i „Orłowa” na miasteczko Sopoćkinie. Odcinając łączność, opanowano mleczarnię, rekwirując zapasy produktów mleczarskich. Z akcji tej partyzanci wycofali się bez strat własnych. Pomimo, że partyzanci nie ponieśli strat, społeczeństwo Sopoćkiń i okolic poniosło ofiary. Niemcy dokonali aresztowań wśród ludności cywilnej. W czasie aresztowań byli zabici i ranni – 25 osób zabitych, 17 – rannych, około 50 wywieziono do Rzeszy na przymusowe roboty. Zabójstw dokonano w czerwcu 1944 r. obok drogi w kierunku Grodna, przy zabudowaniach p. Jodkiewicza.

Opisując akcje oddziałów AK, nie sposób pominąć przykrych i nieudanych. 25 kwietnia 1944 r. oddział dowodzony przez por. „Żwirkę” (Witolda Pieleckiego) zorganizował w rejonie Mikaszówki zasadzkę na Niemców, przewożących aresztowanych członków miejscowych placówek konspiracji. Uważam, że akcja ta była organizowana w zbyt wielkim pośpiechu. Niemcy natomiast liczyli się z ewentualnym zagrożeniem. W czasie przewozu skierowali na czoło 2 uzbrojonych szpiclów („szperaczy”) w ubraniach cywilnych, którzy dobrze znali teren trasy przewozu. Byli to współpracujący z Niemcami Bobojca i Kozłowski. Utrzymując dystans, rozwlekli ochronę eskorty, aby w całości nie wpaść w okrążenie. Poza tym „Żwirko” nie zachował w pełni zasad ostrożności. Z chwilą zbliżania się „szperaczy” uniósł się z ukrycia dla lepszego rozpoznania. Tymczasem „szperacze” po cywilnemu po zauważeniu postaci od razu skierowali ogień z broni maszynowej. Od ich pierwszych kul poniósł śmierć por. „Żwirko” oraz obecny przy nim „Słowik” (Antoni Luto). W czasie obustronnej strzelaniny eskorta niemiecka zdążyła zamordować 7 konwojowanych konspiratorów, ostrzeliwując się jednocześnie. Przy niedokładnym okrążeniu Niemcy zdołali się wycofać, przy 2 rannych. Po stronie partyzantów doszedł jeszcze jeden ranny – „Szczepko” (Czesław Paszkowski), który – z powodu nie najlepszej opieki lekarskiej – również zmarł. Por. „Żwirko” został pochowany na cmentarzu parafii Mikaszówka.

Podobny los z końcem sierpnia 1944 r. spotkał również dowódcę oddziału partyzanckiego por. „Romana” (Juliana Wierzbickiego). Jego oddział stacjonował w lesie w okolicy wsi Podnowinka. W międzyczasie oddziały Wehrmachtu urządziły obławę na sąsiadujący desant sowiecki „Jesion”. Zaalarmowany o tym oddział „Romana”, spiesząc z pomocą, wpadł w okrążenie wojsk Wehrmachtu. Po ciężkich walkach z dużą przewagą wroga udało się partyzantom przerwać pierścień obławy i wycofać się z okrążenia. Tym niemniej ponieśli znaczne straty: wśród kilkunastu poległych partyzantów zginął również dowódca oddziału „Roman” (J. Wierzbicki). Bój stoczony pod Nowinką z oddziałami Wehrmachtu zalicza się do najbardziej niekorzystnych dla oddziałów partyzanckich z okresu okupacji niemieckiej na terenach augustowsko-suwalskich.

Mimo to, z upływem drugiego półrocza 1944 r., działalność bojowa z każdym dniem wzrastała. Niemcy ponosili wyraźne klęski, zarówno na froncie zachodnim po wylądowaniu aliantów w Normandii, jak i na froncie wschodnim. I z każdym dniem przestrzeń, dzieląca oddziały frontowe wojsk sowieckich od oddziałów partyzanckich w rejonie Suwałk i Augustowa malała. Dowództwo partyzantki sowieckiej, korzystając z posiadanej radiostacji, miało dobrą łączność z dowództwem armii sowieckiej. Zrzuty na zaplecze frontu były bezpieczniejsze i częstsze. Poza dozbrojeniem byli zrzućani specjaliści do zadań specjalnych. Podczas jednego z takich zrzutów zostały zrzucone dwie osoby – mężczyzna i kobieta. Obstawa była wówczas wyjątkowo wzmocniona. Brali w niej udział zarówno partyzanci z oddziału „Orłowa”, jak i partyzanci polscy z oddziałów „Konwy”, „Żwirki”, „Romana” i inni. Łączną liczbę uczestników obstawy szacuje się na ok. 200 osób. Brał w niej udział również mój kolega „Piorun” (Czesław Albanowicz). Wspominam o tym dlatego, gdyż lądująca kobieta niemalże spadła na Czesława, przyjmując od razu bojową postawę z automatem gotowym do strzału. Zadała pytanie: „Kto wy, partyzant?”. „Partyzant” – odpowiedział Czesław, pomagając jednocześnie wyplątać się jej ze sznurów. Na to, zwalniając

szyk bojowy, zwróciła się łagodniejszym tonem, zadając dalsze pytania. „Kakoj partyzant, sowieckij?”, „Niet, Polak” – odpowiedział Czesław. Zbliżając się ku niemu, sięgnęła do kieszeni, wyciągając kilka papierków. Wręczając je Czesławowi, powiedziała: „Ot, tobie na pamiac” (To tobie na pamiątkę). Jak się okazało, wręczyła 1500 marek niemieckich.

Po parodniowym pobycie w dowództwie oddziału „Orłowa”, razem ze swoim towarzyszem, rzekomym małżonkiem, przybrała strój, niczym baronowa. W eleganckim ubraniu, w kapelusiku na głowie i z torebką wypchaną markami została odprowadzona pod osobistą ochroną przewodników sowieckiego i polskiego do pociągu na stację Szczebra.

Wspomnę jednocześnie, że ojciec Czesława Albanowicza – ps. „Bąk”, „Stary” oraz siostra Zofia ps. „Sarna” byli w oddziałach AK. W 1944 r. podczas oblawy pod Nowinką ponieśli oboje śmierć w walce z oddziałami Wehrmachtu. Czesław wydostał się z okrażenia, przeżył okupację. Po wojnie osiedlił się w Pozezdrzu, zajmując gospodarstwo rolne. Często przy spotkaniach wracaliśmy pamięcią do przeżytych zdarzeń. Kolega Czesław ps. „Piorun” uzyskał uprawnienia kombatanckie. Zmarł 5 stycznia 1995 roku w Pozezdrzu.

Z chwilą zbliżania się frontu i Czerwonej Armii dowództwo partyzantki sowieckiej coraz bardziej się usamodzielniało. Najchętniej korzystało ze współpracy z oddziałami AK w sprawach zaopatrzenia i przewodników. Organizując grupę zwiadowczą w rejon Kowna, zwrócono się z prośbą o przewodnika z polskiego oddziału. Dowództwo AK wytypowało Henryka Mareckiego ps. „Kluska” z oddziału „Konwy”. Zobowiązano go do powrotu po wykonaniu zadania, do czego, jak się później okazało, nigdy nie doszło.

Niejasne wydawały się decyzje podejmowane w II półroczu 1944 r. na szczeblu dowództwa IV Suwalskiego Inspektoratu AK. W owym czasie, od wiosny 1944 r. aż do wkroczenia wojsk sowieckich, funkcję inspektora pełnił Franciszek Szabu-

nia, mjr kawalerii, ps. „Zemsta”<sup>27</sup>. Ulubionym jego środkiem poruszania się w terenie były konie wierzchowe. Przez szeregowych żołnierzy, dowódców niższego stopnia i część pozostałej kadry był oceniany jako najmniej popularny. Nie cieszył się takim zaufaniem jak jego poprzednicy: np. mjr „Bruzda” (Jan Tabortowski), kpt. „Bąk”, „Okrasa” (Władysław Szymborski), kpt. „Bosy”, „Gołąb” (Czesław Gołębiowski). Być może pełnienie przez niego funkcji inspektora wypadło w okresie najtrudniejszym, gdy ważyły się losy wojny i działalności AK, w tym również akcji „Burza”. Suwalszczyzna w II półroczu 1944 r. była zdominowana przez partyzantkę i wywiad sowiecki. „Zemsta” skazany był na współpracę z oddziałami „Orłowa”.

Szczególnie uwidocznili się to w połowie drugiego półroczu 1944 r., z chwilą zbliżania się wojsk sowieckich. Dowództwo partyzantki sowieckiej utrzymywało stałą łączność z dowództwem wojsk frontowych, otrzymując wytyczne, co do postępowania w stosunku do oddziałów AK. Tym niemniej inspektorowi zarzucano zbyt uległość wobec dowództwa sowieckiego oraz zbyt pochopne skazywanie na śmierć. Najbardziej bulwersujący dla żołnierzy AK był wyrok skazujący na karę śmierci plutonowego Franciszka Gaworowskiego ps. „Leśny”. Pochodził on ze wsi Walne. Dowodził oddziałem 12 żołnierzy zorganizowanym w pierwszej fazie, pod koniec jego oddział liczył ponad 30 osób. Był energicznym dowódcą. Na karę śmierci został skazany w czerwcu 1944 r. za rzekome samowolne opuszczenie zgrupowania oddziałów partyzanckich w rejonie wsi Gruszki<sup>28</sup>.

Koncentracja budziła podejrzenia, wpływając ujemnie na nastroje żołnierzy. Szerzyły się pogłoski o przekazaniu zgrupowania pod kierownictwo sowieckie. Po tym zdarzeniu zgru-

<sup>27</sup> Formalnie „Zemsta” został mianowany przez „Mścislawa” inspektorem od 1 II 1944 r., faktycznie jednak przejął obowiązki od ustępującego inspektora „Bruzdy” w końcu lutego 1944 r.

<sup>28</sup> „Leśny” został rozstrzelany 29 VI 1944 r. za wyruszenie ze swoim oddziałem na pomoc rodzinnej wsi Walne bez zgody inspektora „Zemsty”. Sprawa ta wywołała ogromne wzburzenie w szeregach partyzanckich.

powanie zostało rozlokowane w rejonie Sarnetek. Liczebność zgrupowania szacowano na ok. 400 żołnierzy. Z początkiem sierpnia 1944 r. udało się im przejść poza linię frontu sowiecko-niemieckiego, znaleźli się więc na skrawku wyzwolonej Suwalszczyzny, przyjmując to z entuzjazmem i z radością. Niestety, radość krótko trwała. Na rozkaz oficerów ze sztabu gen. Czerniachowskiego<sup>29</sup> oddziały te zostały zmuszone do złożenia broni. Nikt się temu nie sprzeciwił. Żołnierze ci zostali wcieleni pod dowództwo sowieckie. Po jednodniowym rzeckomym odpoczynku w Sarnetkach, skierowano ich marszem do Wilna, następnie do Kowna. Po dziesięciodniowym pobycie w Kownie, z końcem sierpnia, ponownie przeniesiono do Wilna, obozując ich w pomieszczeniach magazynów poniemieckich przy ul. Subocz. Tym razem już czekali na nich oficerowie I Armii, w tym w randze oficera radzieckiego mjr Kazimierz Wańkowicz, wnuk zesańca. Wraz z Wańkowiczem przybyli: Cukrowski – oficer polityczno-wychowawczy, Miedziński i Panczerow. Mieli oni, rozkazem Sztabu Głównego nr 0168 z dnia 5 sierpnia 1944 r., zorganizować zapasowe bataliony piechoty tj. V samodzielny zapasowy batalion „Wilno”; VI samodzielny zapasowy batalion „Białystok”, VII samodzielny zapasowy batalion „Lublin”. Dowódcą V zapasowego batalionu mianowany był mjr Kazimierz Wańkowicz. Pod jego komendą rozpoczęto przeobrażanie oddziałów AK w wojsko, selekcyjując plutony, kompanie, ustalając dowódców niższego stopnia. Miał to być samodzielny zapasowy batalion piechoty „Wilno”. Do faktycznych ustaleń trudno mi się ustosunkować, wiem natomiast, że podobną reorganizację przechodziły oddziały bojowe AK Okręgu Wileńskiego po akcji „Ostra Brama” i wyzwoleniu Wilna. Różne publikacje podają czasem odmienne wersje. Wiadomo mi też, że spotkań z ludźmi z Okręgu Wileńskiego, którzy przechodzili podobne przeobrażenia, że część z nich znalazła się później na Syberii (na

<sup>29</sup> Gen. Iwan Czerniachowski, dowódca II Frontu Białoruskiego, przyczynił się do rozbrojenia i internowania żołnierzy AK na Wileńszczyźnie.

Kołymie)<sup>30</sup>, przeżywając kilkuletnią gehennę łagrów. Jednym z nich był mój dobry kompan Czesław Proszko ps. „Skromny”, obecnie zamieszkały w Wolinie. Podobny los spotkał dziesiątki żołnierzy AK. Postępowano zresztą w ten sposób nie tylko z akowcami przejętymi w zgrupowanych oddziałach. Władze sowieckie, po przejściu terenów opuszczonych przez Niemców, a następnie po ustaleniu granic z PRL-em, opuszczając te tereny w IV kwartale 1944 r., usiłowały na odchodnym masowo aresztować byłych żołnierzy AK, przede wszystkim w II Rejonie Obwodu Suwalskiego. Tamtejsi żołnierze, będąc w pobliskich zgrupowaniach, po rozwiązaniu oddziałów wracali do domów. Byli oni aresztowani przez władze sowieckie. Wśród dziesiątków takich wypadków znalazł się osobiście mi znany żołnierz, saper z II Rejonu Placówki Giby, Wacław Andruczyk ps. „Kropiciel”. Po paroletnim pobycie na dalekiej Syberii zapadł na chorobę płuc. Zwolniony w ciężkim stanie z obozu, zmarł w rodzinnej wsi Giby. Pochowany został na cmentarzu w Sejnach.

Większość żołnierzy AK, szczególnie pochodzących z terenów okupowanych przez Sowietów po wrześniu 1939 r., znała założenia sowieckiej polityki. Przez cały czas okupacji było propagowane twierdzenie o zakończeniu istnienia Państwa Polskiego na zawsze. Politycy często wypowiadali formułkę: „Sierp, młot i gwiazda wyrzucili Polskę z gniazda na zawsze!” (Sierp, młot i gwiazda wyrzucili Polskę z gniazda na zawsze). W tym celu zawarto przecież pakt Ribentrop – Mołotow. Większość członków AK, znalazłszy się na terenie wyzwolonym od Niemców, chciała powrotu do normalnego życia. Dość miała tułaczki leśnej, poświęceń i przelewu krwi. Nie było to jednak takie proste.

Większość dowódców oddziałów partyzanckich zrezygnowała z dalszej walki. Zabezpieczając i konserwując broń, dowódcy zezwolili żołnierzom na powrót do swoich rodzin.

<sup>30</sup> Kołyma – rzeka w Jakuckiej ASSR, także popularna nazwa zespołu łagrów w północno-wschodniej części ZSRR. Kołyma stała się symbolem najcięższych łagrów sowieckich, gdzie osadzeni pracowali w kopalniach, m.in. przy wydobyciu złota.

Łatwiej było się przedostać mieszkańcom rejonu Suwalsko-Augustowskiego. Większe trudności napotkali akowcy z bardziej odległych terenów – Wileńszczyzny, Nowogródziny, gdyż i z tych okolic na terenie Puszczy Augustowskiej było wielu partyzantów. Posuwające się za Niemcami sowieckie wojska frontowe, a zwłaszcza NKWD, penetrowały teren. Wszystkie napotkane osoby, a szczególnie te spoza miejscowej ludności, były zatrzymywane. Według relacji kol. Stanisława Dzietczyka z kolonii Laski-Lubinowo, położonej na obrzeżach Puszczy Augustowskiej, już z końcem sierpnia 1944 r., tuż po przejściu frontu w rejonie wsi Rubcowa, Wołkusza, zatrzymane tam osoby były przetrzymywane w jego stodole. Jak twierdził, przetrzymywano 12 osób cywilnych, strzeżonych przez żołnierzy sowieckich. Byli oni przesłuchiwani. Z opisu, jakiego dokonał kol. Dzietczyk, wynikało, według mojej oceny, że to mogli być ludzie z oddziału „Góry”, być może łącznie z por. „Górą” Okuliczem. Kol. Dzietczyk nie był w stanie określić, co się z nimi stało. Pewny natomiast był, że ich ze stodoły nie zwolniono, raczej przetransportowano dalej.

## ROZDZIAŁ IV

### Ponownie pod sowiecką władzą

W październiku 1944 r. nasza miejscowość – Bohatery Leśne – znalazła się po raz drugi pod okupacją sowiecką. Według podziału administracyjnego weszła w skład tego samego rejonu Sopoćkinie – Grodzieńskiej Obłasti. To samo gospodarstwo i zabudowania w Sołojewszczyźnie, które były użytkowane od października 1939 r. do 22 czerwca 1941 r. i w sąsiedniej wsi Wołkusz, zostały przeznaczone ponownie na strażnice wojsk pogranicza. Po tej samej rzeczce Wołkuszance biegła granica, tym razem jednak nie z Niemcami, lecz z Polską Rzeczpospolitą Ludową. Działania wojenne trwały, walki frontowe posuwały się ku granicom niemieckim. Na terenach „wyzwolonych” utwierdzała się władza i administracja sowiecka. NKWD wszczęło penetracje terenu, urządzając łapanki młodzieży z AK i pozostałych młodych ludzi. Czasem wyglądało to na pobór do armii, gdyż walki jeszcze trwały, wojska wkraczały na teren Rzeszy. Ludzie nie dowierzali jednak władzom sowieckim, jakoby osoby zatrzymane miały być kierowane do służby wojskowej. Niektórych oficerów, podoficerów, a nawet szeregowych członków AK poszukiwano formalnie, jako „bielych oficerow”.

Nasza grupa „Głaza” (Adolfa Krawczyka) weszła do podziemia, unikając zatrzymania. Zarówno dowódca, ppor. „Osa” (Kazimierz Sitnik), jak i d-ca plutonu „Głaz” przeszli na teren PRL. Obowiązki „Głaza” na terenie okupowanym przez ZSRR zostały powierzone mnie. Utrzymywałem łączność z placówkami sąsiadującymi w rejonie Sopoćkiń oraz w części V Rejonu – Bali i Łosośny. Na tym terenie, w owym czasie, zarówno ja sam, jak i większość młodzieży ukrywała się, unikając

aresztowań. Pomimo formalnego porozumienia między władzami ZSRR a PRL o repatriacji i oficjalnego wyjazdu ludności polskiej, część polskich obywateli, posiadających już nawet dokumenty repatriacyjne, była zatrzymywana na granicy przez NKWD. Najczęstsze takie wypadki były związane z osobami należącymi do organizacji AK. Taki los spotkał również zastępcę dowódcy inspektora, byłego d-cę V Rejonu „Rosłana” (Szamatowicza). Został on zatrzymany na przejściu granicznym przez grodzieńskie NKWD i ślad po nim zaginął do dnia dzisiejszego. Sytuacja ta spowodowała konieczność uruchomienia punktów przerzutowych przez granicę „na zielono”.

Penetracja terenu przez NKWD i specjalne oddziały przybierała na sile. Niektórzy członkowie AK przy próbie aresztowania używali broni w obronie własnej. Przy aresztowaniach dochodziło do nieobliczalnych w skutkach incydentów, m.in. z „Wichrem” (Władysławem Eksterowiczem) w okolicach wsi Wołowiczowce.

Do takich zajęć należy również zaliczyć próbę aresztowania dowódcy plutonu III Feliksa Kuranowskiego ps. „Modrzew”. Plutonowy „Modrzew” pochodził ze wsi Dorguń, położonej w pobliżu Sopoćkiń. Kuranowski przed 1939 r. był przez pewien czas zawodowym podoficerem w armii polskiej. W październiku 1944 r. władze sowieckie określiły go: „bieły oficer” i NKWD wszczęło poszukiwania. Częste rewizje domowe i poszukiwania w terenie zmusiły go do ukrywania się wśród znajomych. Dom rodzinny odwiedzał rzadko. Pewnego dnia po takich odwiedzinach, kiedy wychodził z obrębu swoich zabudowań ok. godz. 10 rano, został zaskoczony przez przejeżdżającego zastępcę naczelnika NKWD z rejonu Sopoćkiń. Zastępca naczelnika zeskokczył z fury z automatem gotowym do strzału, wymierzonym w Kuranowskiego. Kazał mu zatrzymać się. W takiej sytuacji nie było mowy o ucieczce. „Modrzew” podporządkował się i stanął. Padło pytanie: „Ty, Kuranowski?”. Odpowiedział, że tak. „Chadzi siuda!” (Chodź tutaj!) – wezwał go enkawudzista, przykładając automat niemal do piersi. Zaczął przeszukiwać kieszenie jedną ręką, drugą podtrzymywał gotowy do strzału automat. „Modrzew” przez

cały czas zachowywał zimną krew aż do chwili, kiedy w jednej z kieszeni został znaleziony zapasowy, załadowany magazynek do pistoletu TT. Wyciągając go z kieszeni, funkcjonariusz NKWD zdołał zadać pytanie: „Eto szto?” (Co to?). W tym momencie Kuranowski schwycił lewą ręką lufę automatu i przesunął na bok, prawą błyskawicznie wyciągnął zza pasa pistolet TT, który miał pod przykryciem bluzy i oddał dwa strzały w skroń nieprzyjaciela. Ofiarę pośmiertnie rozbroił, zabierając pistolet i automat oraz raportówkę z notatkami. Tragedia ta rozegrała się nieopodal kuźni, na oczach kilku mieszkańców, którzy w popłochu zaczęli uciekać. Kuranowski, zwracając się do uciekających, powiedział, żeby nie uciekali i śmiało mogą zeznać, że to on zrobił. Po tym wydarzeniu rozpoczęło się intensywne poszukiwanie „Modrzewia”. Została aresztowana jego żona Weronika, przez wojska stacjonujące w majątku Świack w Radziwiłkach.

Pewnego wieczoru, po paru tygodniach od tych zajęć, zgłosił się do mnie goniec z pismem „Modrzewia” na temat konieczności niezwłocznego spotkania w wyznaczonym punkcie kolonii wsi Prolejki w zagrodzie Wilczyńskiego (Caruka). Po dotarciu na w/w punkt, który oceniałem jako spalony, spotkałem kolegę „Modrzewia” z czteroosobowym patrolem. Przebieg zajścia w miejscowości Dorguń, które opisałem, przedstawił mi sam „Modrzew”. Po przeanalizowaniu zdarzeń ustaliliśmy, że dalszy jego pobyt na terenach zajmowanych przez ZSRR jest zbyt niebezpieczny i powinien on przenieść się niezwłocznie na tereny polskie, poza tzw. linię Curzona. Bezpośredni przerzut przez granicę był w danym momencie niemożliwy. Niemniej jednak nie mogli oni zostać na miejscu. Ulokowanie w mojej zagrodzie w Bohaterach było zbyt ryzykowne, gdyż ja sam byłem poszukiwany przez władze sowieckie. Ulokowałem ich u swego sąsiada Marcina. Po dobowym pobycie i ustaleniu trasy przerzutu, postanowiłem ową piątkę przeprowadzić sam, nie wtajemniczając nikogo, dlatego, że po pierwsze – była to sprawa znaczącej wagi; po drugie – sam nie chciałem się zdradzić, że przebywam na terenach zajmowanych przez władze sowieckie. Ogólna opinia miejscowego


społeczeństwa, po części też władz sowieckich była taka, że po ucieczce z Grodna przekroczyłem granicę i przebywam na terenach Polski. Było to potwierdzone, gdyż część mieszkańców naszej wsi parokrotnie widywała mnie nad granicą po stronie polskiej. Natomiast faktycznie – sam kilkakrotnie przechodziłem przez granicę do rodziny w miejscowości Bohatery Stare. Taki pobyt trwał nawet czasem parę tygodni. Zatrzymywałem się u sąsiada Marcina Dadury. Marcin miał świetnie urządzone kryjówkę. Jego zabudowania sąsiadowały z zabudowaniami i domem rodziców, łącząc się podwórkami tak, że stały kontakt z rodziną nie sprawiał trudności.

Tak więc, nie wtajemniczając nikogo, podjąłem decyzję przerzutu „Modrzewia” i jego grupy na odcinku Hołynka – Bartniki. Sam osobiście. Trasę tę wybrałem, będąc pewny, że na niespodziewany patrol graniczny przypadkowo się nie natknę. Zagrożenie może wystąpić z lewej strony, ok. 70 m od wybranego punktu przekroczenia granicy. Grupa „Modrzewia” była uzbrojona, dzieląc się na trzy grupki po dwóch, było możliwe zapewnić ubezpieczenie. Ponadto w tym miejscu rzeka Perstunka, stanowiąca granicę, miała ostry zakręt pod kątem niemal 90 stopni. Zaorany dla ustalenia śladów pas kontrolny granicy (tzw. pałasa) nie mógł być w tym miejscu przeorywany do brzegu rzeki, ze względu na podmokły teren oraz przerwy na nawracanie ciągnika. Luka bez przeorania liczyła ok. 4 metry. Można było przez nią przejść, nie zostawiając śladów. Potwierdzano również przypadki, że niektórzy sowieccy strażnicy, widząc przechodzącą grupę nie zostawiającą za sobą śladów, woleli nie narażać się i nie wszczynać alarmu. Tak okazało się i tym razem.

Przed wejściem w strefę graniczną wszyscy zostali zapoznani z planem. Wiedzieli, że strażnicy mogą stać na mostku-kładce z lewej strony. Każda ubezpieczająca dwójka, powinna zwracać szczególną uwagę w tamtym kierunku i spostrzeżenia przekazywać grupie zmieniającej ubezpieczenie. W pierwszej grupie posuwałem się sam z kolegą „Modrzewiem” miedzą, dzielącą działki gruntów Grzegorza Dadury i Eksterowiczów, biegnącą w kierunku rzeczki, aż do ustalonego punktu obser-

wacyjnego. Wszystko okazało się zgodne z przewidywaniami, jak w nagrany scenariuszu. Faktycznie na mostku stał patrol. Pomimo nocy dostrzeżono wyraźnie dwie postacie okryte w tzw. płaszcz-pałatki (peleryny). Spostrzeżenia te przekazaliśmy dwójce zmieniającej ubezpieczenie. Sam zaś z kolegą „Modrzewiem” daliśmy susa, przeskakując brzegiem rzeki i zajmując ubezpieczenie z drugiej strony pasa granicznego. Tak w ślad za nami postąpiła druga dwójka. Gorzej było z trzecią, której nie miał kto ubezpieczać od tyłu. Widząc strażników w odległości nie większej niż 70 m, żaden się nie podnosił. Umówiony sygnał – głos ptaka derkacza nie przyniósł żadnych skutków. W końcu z lekkim podenerwowaniem musiałem zawołać na głos: „Dawaj! Jakiego tam diabła czekacie?!” W tym momencie strażnicy, słysząc mój głos i myśląc, że są otoczeni, dali susa z mostku, kryjąc się w zaroślach i nie wszczynając alarmu. Dopiero teraz pozostała dwójka przekraczając pas dołączyła do nas. Wszyscy znaleźliśmy się na terenie Polski w obrębie gminy Lipsk pow. Augustów. Dotarliśmy do najbliższego punktu kontaktowego w przygranicznej wsi Bartniki, w zagrodzie koleżanki „Cichej” – „Jaskółki”. Stamtąd partyzanci zostali skierowani w rejon placówki Kurianka do d-cy plutonu „Dziewanowskiego” (Jana Biedula). Po nawiązaniu łączności ogólnej przenieśli się na Ziemię Odzyskaną, na teren powiatu i miasta Giżycka.

Tragedia „Modrzewia” rozegrała się dopiero w 1950 r. Zdekonspirował go były sąsiad z Dorgunia Czarnecki (pospolicie przezywany Mendel). Aresztowania dokonano w zakładzie pracy tj. w tartaku w Wydminach, gdzie Kuranowski pracował jako księgowy. Aresztowali go funkcjonariusze UB i przekazali w ręce NKWD. Od tej pory ślad po nim zaginął. Jak się okazało, został stracony w Mińsku 15 grudnia 1951 r.

  
 Беларуская Савецкая Соцыялістычная Рэспубліка  
 Белорусская Советская Социалистическая Республика

**НАСВЕДЧАННЕ АБ СМЕРЦІ  
СВИДЕТЕЛЬСТВО О СМЕРТИ**

I-ПЯ № 081507

Гр. Курановскі Фелікс  
 Гр. Іванавіч (прозвішча — фамілія)  
 (імя і імя па бацьку — імя і адчество)  
 памёр(ла) 15 декабра 1951 года тысяча  
 умер(ла) девятсоты пятнаццаць першага года  
 (пропісцю і лічбамі год, месяц і число —  
 прописью и цифрами год, месяц и число)

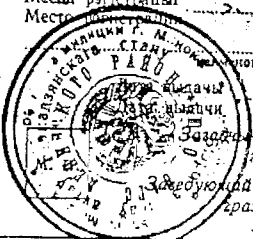
прычына смерці \_\_\_\_\_  
 причина смерти \_\_\_\_\_  
 аб чым у кнізе запісаў актаў грамадзянскага стану аб смерці  
 о чем в книге записей актов гражданского состояния о смерти  
1959 года мая месяца 26 числа  
 года \_\_\_\_\_ месяца \_\_\_\_\_ числа \_\_\_\_\_

зроблен адпаведны запіс за \_\_\_\_\_  
 произведена соответствующая запись за № 27  
 Месца смерці: горад, сяло \_\_\_\_\_ раён \_\_\_\_\_  
 Место смерти: город, село \_\_\_\_\_ район \_\_\_\_\_  
 вобласць, рэспубліка \_\_\_\_\_  
 область, республика \_\_\_\_\_  
 Месца рэгістрацыі \_\_\_\_\_  
 Место регистрации \_\_\_\_\_

Міненск Бюро ЗАГС  
 Мінскага р-на  
 26. мая 1959 г.  
 (назва і месцазнаходжанне бюро ЗАГС —  
 название и местонахождение бюро ЗАГС)

Застае бюро запісаў актаў  
 гражданского стану  
 Застае бюро записей актов  
 гражданского состояния

*[Signature]*



Заświadczenie о śmierci Feliksa Kuranowskiego  
 15 grudnia 1951 r. w Mińsku



Plutonowy Feliks Kuranowski ps. „Modrzew” z żoną Weroniką

Po przerzucie całej grupy „Modrzewia” i umieszczeniu jej w Bartnikach pożegnałem się z nimi i z koleżanką „Jaskółką”, i jeszcze tej samej nocy wróciłem na teren swojej działalności po stronie sowieckiej. Rejonowa placówka NKWD w Sopoćkiniach i specjalne oddziały wojsk NKGB, stacjonujące w majątku w Radziwiłkach, wzmożyły swoją działalność nie tylko w poszukiwaniu „Modrzewia”. Lista osób poszukiwanych wydłużała się z każdym dniem. Przystąpiono do masowych aresztowań ludzi młodych, mogących mieć powiązania z organizacją AK.

W rejonie działania 7 kompanii (placówka Sopoćkinie) enkawudzistom udało się aresztować wielu młodych ludzi. Aresztowani w pierwszej fazie byli przetrzymywani w więzieniu w Grodnie. Śledztwo w sprawie osób, które nie przyznawały się, trwało dłużej. Np. kolega „Jastrząb” był aresztowany 8 lipca 1945 r., skazany 19 marca 1946 r. Osoby, które nie wytrzymywały metod śledczych i przyznawały się do stawianych im zarzutów, chociaż były niesłuszne, były natychmiast skazywane na długoletnie prace w łagrach.

W parę miesięcy po zajściu w Dorguniu zostaje aresztowany w Sopoćkiniach Stanisław Turowski ps. „Pantera”. W maju tegoż 1945 r. aresztowano Józefa Pieczyńskiego ps. „Jastrząb”, też z Sopoćkiń. W miejscowości Perstuń zostaje aresztowany Kazimierz Romańczuk ps. „Niezapominajka”. Z „Niezapominajką” miałem podwójne kłopoty. Najpierw przy przerzucie przez granicę na tereny polskie. Po pewnym czasie zatęsknił za swoimi stronami rodzinnymi (prawdopodobnie bardziej za przyjaciółką). Parokrotnie przez „Jaskółkę” usiłował nawiązać ze mną kontakt, aby go ponownie przeprowadzić przez granicę na teren ZSRR. Pomimo mojej perswazji zdecydował się wracać. W końcu przeprowadziłem go osobiście na odcinku Bartniki – Hołynka na teren kolonii wsi Prolejki. Po stronie ZSRR niedługo cieszył się wolnością. Wpadł w ręce NKWD i to właśnie prawdopodobnie u wspomnianej przyjaciółki. Został skazany przez trybunał wojenny NKWD w Grodnie na 10 lat łagrów. Podobnie pozostali koledzy, sądzeni przez tenże trybunał, wywiezieni zostali do łagrów na dalekiej Północy.

Aresztowania przez NKWD nie ustawały. W listopadzie zostaje aresztowany Aleksander Romańczuk ps. „Groźny” z Wołowiczowców. Wraz ze wzrostem aresztowań wzrastała liczba osób chętnych do przekroczenia granicy na tereny PRL. Zdarzały się wypadki przejść granicznych grupowo, samorzutnie, bez specjalnego rozeznania. Zazwyczaj kończyły się one fiaskiem, gdyż były naruszane posterunki graniczne po obu stronach. W takich wypadkach wojska sowieckich straży granicznych potrafiły dokonywać pościgów na terytorium PRL do ponad 20 km w głąb kraju, angażując do pościgu polskie straże graniczne, a nawet służby powiatowego UB z Augustowa. Przy tak szeroko zorganizowanych akcjach przekraczający granicę byli często wyłapywani. Jedną z takich nieudanych akcji przekroczenia granicy na odcinku Dolinczany – Lipszczany była próba dokonana przez członków AK z V rejonu. W czasie przekraczania granicy kilku chłopców zostało rannych, jeden zabity. Kilku zatrzymanych na terenie PRL przekazano z powrotem do ZSRR. Los ich do dzisiaj nie jest znany.

Przerzuty, które były dokonywane przez członków naszej grupy i przeze mnie, były bezpieczniejsze, dzięki dokładnej znajomości terenu granicznego oraz rozeznaniu w czasie zmian posterunków straży granicznych i ich tras, a także dzięki nabytemu doświadczeniu, które datowało się już od 1940 r., z okresu granicy niemiecko-sowieckiej, przebiegającej niemal po tej samej linii. Poza tym były przez nas wydawane karty repatriacyjne, szczególnie dla członków AK. Umożliwiały one swobodniejsze poruszanie się w terenie. Mimo trudności ze zdobyciem tych kart, udawało mi się od czasu do czasu pozyskać kilka kart *in blanco*. Najpewniejsze przerzuty były na odcinkach Wołkusza, Bohater Nowych, Bartniki i Hołynki, później na odcinku Markowce przy współudziale członków naszej grupy kontaktowo-przerzutowej: „Figła” (Jana Wilczyńskiego), „Kryśki” (Krystyny Wilczyńskiej), „Borówki” (Czesławy Masiejczyk), „Leszczyny” (Jana Dadury), „Poniatowskiego” z „Łozą” (Franciszka i Stanisława Wilczyńskich), moim i „Głaza” (Adolfa Krawczyka).

Często wspominałem braci Wydryckich z Okręgu Nowogródzkiego: „Rymwida” (Jan Wydrycki), „Granita-Cyceron” (Aleksander Wydrycki) i „Żbika” (Władysław Wydrycki). Korzystali oni kilkakrotnie z naszych usług, darząc pełnym zaufaniem członków bohaterskiej grupy kontaktowo-przerzutowej. Po raz pierwszy znaleźli się na naszych terenach w 1944 r. i zostali skierowani do zgrupowań leśnych 7 Obwodu Augustowskiego za pośrednictwem „Dziewanowskiego” (Jan Biedul). Po wkroczeniu na nasze tereny Armii Czerwonej w IV kwartale 1944 r. oddziały leśne zostały rozwiązane. Partyzanci z bliższych okolic wracali do rodzin, względnie do kuzynów lub dobrych znajomych. Bracia Wydryccy znaleźli się w gorszej sytuacji, ze względu na oddalenie od domu (pochodzili z Turca – 12 km na zachód od Mira, pow. Stołpce). Przez pewien czas opiekowałem się nimi, umieszczając przy mojej rodzinie. Po pewnym czasie Wydryccy postanowili wrócić w rodzinne strony. Okazaliśmy im pomoc w tym przedsięwzięciu. Jak się okazało, pomimo wyzwolenia tamtych terenów od okupanta niemieckiego, w rodzinnej miejscowości



miejsca dla braci Wydryckich nie było. Już od czasu wkroczenia Armii Czerwonej byli poszukiwani przez NKWD. Po powrocie do domu musieli się ukrywać. Przebywali w kryjówe podziemnej, jak naliczyli, przez 101 dni. W żywność byli zapatrywani przez matkę. Taki tryb życia był niemożliwy i bezcelowy. Podjęli decyzję o powrocie na tereny augustowskie. W owym czasie takowa podróż była bardzo niebezpieczna. Nie tylko zresztą dla nich, z powodu poszukiwania przez NKWD. Wszyscy młodzi ludzie z tamtych terenów, podległych administracji sowieckiej, penetrowanych w szczególności przez NKWD, byli narażeni na niebezpieczeństwo. Podróż „Rymwida”, „Granita” i „Żbika” trwała dwa tygodnie. Kiedy dotarli do naszego rejonu, próbowali nawiązać ze mną kontakt. Znajac mój adres, zapukali pewnej nocy do drzwi mego domu. Otworzyła im moja matka. Parę miesięcy później, kiedy spotkałem się z rodzicami, zainteresowana losom braci Wydryckich, zrelacjonowała to wydarzenie. Po otwarciu drzwi, zrozumiała, co to są za ludzie. Byli godni pożałowania, wyczerpani, zakurzeni, z mozolami na nogach. Wiedziała, że nie tylko ich spotkał taki los. Mówiła, że ja stałem jej przed oczami i nie mogła zrozumieć, dlaczego młodzi ludzie, w okresie młodości siły i rozkwitu, stają się tułaczami. Nie ma dla nich miejsca ani spokoju, tylko dlatego, że byli dobrymi synami Ojczyzny. Wydryccy zapytali, czy mogą spotkać się z Józefem. Matka odpowiedziała, że obecnie Józefa nie ma. Na pytanie: „Gdzie jest?”, nie wiedząc, jak się wyrazić, odpowiedziała: „Zapewne tam, gdzie i wy... na tułaczce. Ale skoro już jesteście, to przy pomocy Bożej, może nie zginiacie”.

Przy szczelnie zawieszonych oknach kazała im się umyć i podała posiłek. Na odpoczynek przeznaczyła miejsce nad oborą, w sianie. Wskazał im je Stasiek (służący). Rano została zorganizowana łączność z „Leszczyną”, „Figlem” i jego siostrą „Krysią” z Wołkusa, tak, że wieczorem tego samego dnia zostali przeprowadzeni przez granicę na odcinku Wołkusz. Spotkałem się z braćmi Wydryckimi na punkcie kontaktowym po stronie polskiej w Bartnikach, u kol. „Cichej - Jaskółki”.

Doręczyli przesłaną mi korespondencję i opowiedzieli o swoich przeżyciach.

Po pewnym czasie „Cycero-Granit” (Aleksander Wydrycki) został ulokowany we wsi Bartniki, zatrudniając się jako nauczyciel w tamtejszej szkole. W 1945 r. został przeniesiony do Lipska, gdzie pracował jako nauczyciel – kierownik szkoły. „Rymwid” (Jan Wydrycki) zatrzymał się na Suwalszczyźnie, nawiązując łączność z kolegami z byłych oddziałów leśnych AK. Najmłodszy „Żbik” (Władysław) został ulokowany w Białymstoku.



Omawiając losy poszczególnych ludzi, wyprzedziłem kolejność wydarzeń, własne działania i przeżycia. Wcześniej, w lutym 1945 r., przy organizowaniu trasy przerzutu grupy członków AK, udałem się do wsi Bohatery Leśne Nowe, do braci Nieścierów, w celu ustalenia czujek obserwacyjnych ruchu i czasu zmian patroli granicznych pod planowany przerzut. Był to najbliższy od linii granicznej punkt, położony w

odległości 300 m. Po omówieniu spraw z „Sokołem” natknąłem się w drodze powrotnej na patrol sowieckich strażników. Zostałem przez nich zatrzymany z powodu naruszenia strefy granicznej w godzinach nocnych. Doprowadzono mnie na strażnicę w Sołojewszczyźnie. Następnego dnia zostałem odtransportowany na przesłuchanie do miejscowości Radziwiłki za Sopoćkiniami. W zabudowaniach tegoż majątku stacjonował sztab wojsk NKGB (Narodnyj Komitet Gosudarstwiennoj Bezopasnosti). Z ochroną i oddziałami specjalnymi stacjonowało tam ok. tysiąc osób. Po dwudniowych przesłuchaniach jeden z oficerów w stopniu majora (o nazwisku Michajłow) orzekł: „Niczewo, maładoj czeławiek, pajdziosz wajewać w sztrafnyje bataliony. Swaju winu krowju zmażesz albo pajdziosz rabotać w szachty” (Nic to, młody człowieku, pójdziesz walczyć na front w karnych batalionach, swoją winę zmażesz krwią albo pójdziesz pracować do kopalni).

Z Radziwiłk pod eskortą sześciu „automatczyków” odprawiono mnie do Rejonu Sopoćkinie. Droga w tym dniu była silnie zaśnieżona i obfita w zasy. Odległość do rejonu wynosiła 6 km. Podróż trwała ponad dwie godziny. Po dwóch dniach zostałem odtransportowany do Grodna. W Grodnie ulokowano mnie w punkcie zbiorczym przy ulicy Artyleryjskiej, gdzie już było ponad 100 osób. Przez cały czas byli doprowadzani młodzi ludzie z okolic Grodzieńszczyzny. Całe zgromadzenie było silnie strzeżone w dzień i w nocy. Od strony ulicy Artyleryjskiej obiekt był otoczony wysokim murem. Na murze rozprowadzono zaskieki z kolczastego drutu. Z innych stron stały szopy-magazyny. W obrębie obiektu były dwie bramy: wjazdowa i wyjazdowa, strzeżone przez wartowników w dzień i w nocy. Pośrodku placu znajdował się piętrowy, murowany budynek. Na klatkach schodowych stali wartownicy, nie wpuszczając nikogo na plac.

Sam byłem zakwaterowany na drugim piętrze. Okna drugiego piętra nie były okratowane, kraty metalowe wmurowano na dole i na pierwszym piętrze. Z najbliższych znajomych spotkałem kolegę Dobrowolskiego z Sołojewszczyzny, kilku mniej znanych z V Rejonu, z okolic wsi Adamowicze. Wszyscy cze-

kaliśmy w ogromnym napięciu, nie będąc pewni zamiarów władz sowieckich: czy zostaliśmy skierowani do wojska, czy przeznaczeni do transportów syberyjskich. Przez cały czas pobytu zawsze zgłaszałem się na ochotnika do prac na placu i pod szopami, takich jak rąbanie drewna, pomoc przy pracy w kuchniach. Zależało mi na rozpoznaniu terenu oraz na opracowaniu planu ucieczki. Wyczuł to kol. Dobrowolski i zwrócił się z prośbą, abym przy planowaniu ucieczki w żadnym wypadku jego nie pominął. Każda noc, pomimo zmęczenia, była bezsenna. Sen absolutnie nie brał, przez trzy doby wcale nie spałem. Dziś nie mogę zrozumieć, jak człowiek przez tyle czasu może nie spać.

Czwartego dnia rano, podobnie jak i w dniu poprzednie, poszedłem pod szopy do pracy przy rąbaniu drewna i przy kotłach. Przechodząc obok muru od strony ul. Artyleryjskiej, zauważyłem leżący na śniegu kłębek kabla o średnicy około 15 cm. Takie kable – stalowe, cienkie druty, pokryte czerwoną masą izolacyjną – były używane w wojsku do budowy linii łączności telefonicznej. Korzystając z nieuwagi żołnierzy kabel ten skrętnie schowałem pod kurtkę. Do dzisiejszego dnia nie mogę pojąć, jakim cudem znalazł się on na śniegu. Należy przypuszczać, że został przerzucony przez mur od strony zewnętrznej. Ktoś zapewne liczył na to, że może się on przydać po drugiej stronie muru. Kabel ten przeniosłem do pomieszczeń noclegowych, wtajemniczając kol. Dobrowolskiego w plany ucieczki.

Była to już czwarta noc pobytu w Grodnie i czwarta z kolei niespana. Cisza nocna obowiązywała od godz. 22.00. Czekaliśmy w napięciu, udając, że śpimy. Część kolegów rzeczywiście spała, chrapiąc, część może nie spała, udając, jak my. W pomieszczeniu było dwunastu ludzi. Przystąpiliśmy około godz. 12-tej do działania. Starając się jak najciszej uchylić okno na wysokości drugiego piętra, rozwinęliśmy kabel z kłębka, opuszczając koniec do ziemi. Po dokładnym wyczuciu, że drut sięga ziemi, zabezpieczyliśmy kabel zahaczając o framugę i metalowe rygle do zamykania okien, po czym kłębek został rzucony w dół i samoczynnie się rozwinął.

Drut ponownie sięgnął do ziemi, było go nawet więcej niż trzeba. Ustaliliśmy, że pierwszy będę się opuszczał ja, ponieważ lepiej znałem teren i plan działania. Po moim oparciu się o ziemię, zacznie kolega Dobrowolski. Wytrzymałość kabla była pewna, ryzykowne było jedynie utrzymanie kabla bez rękawic lub pokaleczenie rąk. Rękawice zastąpiły częściowo poły kurtki. Bez najmniejszej trudności wylądowałem na śniegu pod blokiem. W ślad za mną kolega Dobrowolski. Teraz pozostało przeskoczyć ok. 50 m do muru tak, aby wartownicy od strony bram nas nie spostrzegli. Jednym susem skoczyliśmy pod mur. Kolega Dobrowolski posłużył mi za drabinę. Stojąc na jego ramionach, chwyciłem metalowy słupek do rozciągania drutu kolczastego i błyskawicznie znalazłem się na murze. Trzymając się lewą ręką słupka, nachylając się, ciągnąłem prawą ręką kolegę do góry. Dobrowolski, opierając się butami o mur, spowodował szmer, który musiał dotrzeć do uszu wartownika od strony wjazdowej. Wartownik wystrzelił, odpowiedział mu drugi wartownik. Strzały były z pocisków fosforyzujących, widocznych w nocy. Nie były one jednak kierowane w naszą stronę, przelatowały na dużej wysokości wzdłuż placu. Wyglądały bardziej na ostrzegawcze niż celowane. Gdy znaleźliśmy się po stronie zewnętrznej muru, żadne strzały z bram już nam nie zagrażały.

Po drugiej stronie ulicy Artyleryjskiej był cmentarz. Poruszanie się ulicą w nocy było w tym czasie niebezpieczne. Należało przeforsować drugi mur, cmentarny, znacznie niższy, przejść przez cały cmentarz, dojść do ul. Prawobrzeżnej, położonej równolegle z biegiem Niemna na środkowym odcinku między mostem kołowym im. Józefa Piłsudskiego a mostem kolejowym. Następnie dostać się na były punkt kontaktowy do kolegi „Borki” i zatrzymać się w jego schronie przeciwlotniczym, położonym w pobliżu jego domku.

Założenia tego planu były przemyślane podczas trzech nieprzespanych nocy. Realizacja stała się możliwa dzięki dobrej znajomości Grodna, a szczególnie tej dzielnicy. Kolega „Borka” (Borys) miał własny domek jednorodzinny przy ul. Prawobrzeżnej, w pobliżu mostu kolejowego nad Niemnem.

Teren ten był ciągłym obiektem bombardowań, poczynając już od 1939 r., od chwili wybuchu wojny oraz później, w okresie zmieniających się władców. Wszystkim przeciwnikom zależało na zniszczeniu mostu, zaś wszystkim użytkownikom na jego obronie. Na brzegu Niemna zawsze strzegła go silna obrona przeciwlotnicza. Most ten był położony w wąwozie koryta rzeki ponad 20 m od poziomu wody, na ważnej trasie kolejowej: Grodno – Wilno, Grodno – Białystok – Warszawa. Podczas okupacji niemieckiej parokrotnie na tym punkcie przebywałem, „Borka” pokazywał mi swój schron, a nawet byłem wewnątrz. Bez większego kłopotu udało mi się go odnaleźć, mimo nocy. Była to lutowa, niezbyt mroźna i śnieżna noc. Kiedy po otwarciu klapy drzwiowej, na skutek zmiany temperatury, wyłoniła się ciepła para, podziałała na mnie niczym narkoza. Znajdował się tam siennik – większy worek wypchany słomą. Po tylu nieprzespanych nocach i napięciach nerwowych ogarnęło mnie dziwne uczucie – jak gdyby był to jeden z najszcześniejszych dni mego dotychczasowego życia. Momentalnie zaczęła mnie morzyć senność. Koledze Dobrowolskiemu przykazałem: „Teraz śpię, ty zaś czuwaj! Z chwilą nastania świtu masz mnie zbudzić”.

Zgodnie z zaleceniem, kiedy świtało, zostałem obudzony. Obliczam, że sen mój mógł trwać około 4 godzin. Poczuję się znacznie lepiej. Zostawiając kolegę w schronie, sam poszedłem do domu „Borki”. Odległość od schronu nie przekraczała 70 m. Zapukałem do drzwi, po kilku minutach odezwał się męski głos: „Kto tam?” Odpowiedziałem: „Borka, nie pytaj, lecz otwieraj, dowiesz się, jak otworzysz!” Otworzył bez wahania. Zdziwienie było wielkie: „Skąd się znalazłeś o tej porze?” Zanim opowiedziałem, „Borka” porozmawiał z żoną, która zaczęła się krzątać w kuchni, mnie zaś zaproponował przyrzędy do golenia. Poinformowałem go, że nie jestem sam, w schronie pozostał kolega Dobrowolski. „Borka” poszedł do schronu i przyprowadził Dobrowolskiego, który również skorzystał z przyborów toaletowych. Żona podała posiłek z gorącą kawą zbożową. Po jego spożyciu przystąpiliśmy do omawiania dalszego planu działania. Chodziło o to, by w miarę możliwości jak najszybciej dostać się

na drugą stronę Niemna w IV Rejon organizacyjny (Lewy Niemen), nawiązać kontakt, następnie przejść w swoje tereny przygraniczne i przejść granicę do Polski. Ponadto nie byliśmy pewni, czy koledzy sprzątnęli nasze urządzenia, względnie zachowali do dalszego użytku i jaką reakcję wywołała nasza ucieczka wśród personelu nadzorującego.

Bezpośrednie przejście przez Niemen było niemożliwe. Była to druga połowa lutego, Niemen już środkiem płynął. Most kołowy był zburzony na skutek działań wojennych. Wojska sowieckie zbudowały opodal prowizoryczny most pontonowy, strzeżony przez patrole wojskowe. „Borka” i jego żona uprzedzili nas, że czasem przechodnie na moście są kontrolowani. W chwili obecnej nie mieliśmy żadnych dokumentów. „Borka” pocieszał, że kontrole nie są często dokonywane, poza tym zdarza się, że przy zmianie patroli bywają luki, nie zawsze zmiana następuje na moście. Czasami patrole zmieniają się na ulicy Mostowej, przekroczenie mostu w tym czasie jest bezpieczne. Wczesnym rankiem „Borka” zorganizował sieć obserwacyjną, angażując szwagierki i żonę. Wszyscy ustawili się na ul. Prawobrzeżnej w odległości wzrokowej, niemalże do ul. Mostowej, która przecinała prawobrzeżną. Na odchodne żona „Borki” zrobiła nam skromne kanapki i poinformowała, żeby je włożyć do kieszeni tak, aby były widoczne. W ten sposób wyglądaliśmy jak robotnicy idący do pracy. Jednak zatrudnieni robotnicy posiadali w większości tzw. branirowki czyli zaświadczenia. Przy zatrzymaniu po pokazaniu ich byli zwalniani.

Jak się okazało, ten ranek był szczęśliwy dla nas. Patroli w tym czasie na moście nie było. Na podany znak przeszliśmy bez żadnych trudności, trzymając się od siebie w odległości ok. 20 m. Po przejściu na drugą stronę Niemna przeszliśmy ul. Lewobrzeżną do ul. Łososiańskiej i następnie kierując się na lasek Łososiański w kierunku Trycz boczną drogą po byłym torze kolejowym. Tak dotarliśmy do wsi Koniuchy, a potem do Bohater Polnych. W tej wsi znałem kilku kolegów z konspiracji, z którymi miałem kontakt przy przekazywaniu meldunków z IV Rejonu do dowódcy V Rejonu ds. łączności z Grodnem ppor. „Pszczelarza” (Pniewskiego) oraz „Młota” (punkt kon-

taktowy „Kuznia” przy ul. Łososiańskiej). Liczyłem również na możliwość spotkania się z „Wielorybem” (Stanisławem Synbułą) lub z „Żołnierczykiem” (Janem Michalukiem).

Mimo, że nie zastaliśmy kolegi w domu, to jednak zostaliśmy przez jego rodzinę serdecznie przyjęci. Zaproszono nas na suty obiad, nawet częściowo zakrapiany żytniówką własnej produkcji. Po obiedzie skorzystaliśmy z odpoczynku. Siostra bądź bratowa kolegi, dość uroczą i uprzejmą, naściagała nam na siano w stodole „piernatów” (pierzyn i poduszek). Z przyjemnością, uzupełniłem snem niedospane poprzednio noce.

O dobrym zmroku podjechały sanie z parokonnym zaprzęgiem i z eskortą czterech chłopaków uzbrojonych w MP i pepesze, i odwieziono nas na wskazane miejsce. Był to najbliższy punkt kontaktowy przy strefie granicznej kolonii Hołynka w sąsiedztwie kolonii Prolejki. Następnego dnia skontaktowałem się przez gońca z rodzicami, zaś już wieczorem spotkałem się z ojcem i „Leszczyną”. Po omówieniu spraw rodzinnych, omówiłem z „Leszczyną” sprawy organizacyjne. Zwiększyłem zadania dla kolegów „Leszczyny – Figła” i „Borówki” w celu utrzymania łączności po moim odejściu, gdyż musiałem opuścić tamtejsze tereny, okupowane przez władze sowieckie. Po ucieczce z Grodna przebywanie w strefie przygranicznej było zbyt niebezpieczne. Należało się liczyć z tym, że powiadomione o ucieczce organy NKWD wzmogą penetrację, zaś wojska pogranicza stacjonujące w Sołojewszczyźnie będą obserwować mój dom rodzinny.

Pomimo, że moja ucieczka była utrzymana w ścisłej tajemnicy, dały się zauważyć pewne „przecieki”. Do rodziców i do koleżanki „Borówki” zaczęli zgłaszać się ludzie z prośbą, abym – kiedy będę przekraczał granicę do Polski – zabrał ich ze sobą. Najbardziej i usilnie zabiegała o to mieszkanka naszej wsi panna Weronika Gużewicz. Chciała koniecznie dostać się do Polski, ponieważ miała możliwość zamieszkania u swojej siostry Janiny, która wcześniej wyszła za mąż i mieszkała w kolonii Żabickie. Miejsce to po ustaleniu granic znalazła się poza linią Curzona po stronie polskiej.

Pomimo niesprzyjających warunków klimatycznych z przekroczeniem granicy nie należało zwlekać. Był to już marzec 1945 r. Jak uprzednio wspominałem, Niemen z końcem lutego ruszył zimowe lody. Nasze małe rzeczki, jak Perstunka i Wołkuszanka podczas roztopów były burzliwe. Śniegi topniejące z pobliskich tzw. gór Osockich powodowały wylewy z koryt tych rzek. Władze sowieckie zniszczyły wszystkie przejścia przez rzeki, takie jak kładki, mostki itp. Most na głównej drodze w Wołkuszku został do połowy rozebrany po raz drugi. Po raz pierwszy był rozebrany w 1939 r. przy podziale terenów Polski między zaborcami: Niemcami i ZSRR. Odbudowany został przez Niemców i wykorzystany w czasie napaści na ZSRR 22 czerwca 1941 r. Po kapitulacji Niemiec i ponownej okupacji naszych terenów przez ZSRR znowu został rozebrany przy ustalaniu granic PRL, gdyż rzeka Wołkuszanka stanowiła granicę.

Pomimo trudniejszych warunków fizycznych, przejście przez granicę w czasie wylewu rzek było bezpieczniejsze ze względu na mniejsze niebezpieczeństwo ze strony patroli granicznych. Postanowiłem to wykorzystać. Przekroczenie granicy zaplanowałem na odcinku między wsią Bohatery Stare a wsią Bartniki, przez tzw. Gaj. Były to łąki rolników ze wsi Bohatery i po części ze wsi Bartniki, pięknie położone, równoległe z biegiem rzeki Perstunki. Łąki te były pokryte gdzieś tam grupkami olszyn, a nawet krzakami czerechwy. Ze względu na urok tych łąk, szczególnie w okresie wiosenno-letnim, przyjęła się nazwa: Gaj. Po obu stronach rzeki rosły olchy. Na działce Marcina Dadury tuż nad samym brzegiem rzeki rosła stara olcha. Na skutek podmycia korzeni przez wodę nachyliła się tak, że wierzchołkiem sięgała prawie na drugi brzeg. Sam jej wierzchołek nie wznosił się wyżej niż dwa metry nad ziemią. Przy takim stopniu nachylenia można było posłużyć się nią jak kładką.

Podczas pobytu po stronie sowieckiej, utrzymywałem przez cały czas kontakt z rodzicami, kol. „Leszczyną” i łączniczką „Borówką”, która stale przedkładała prośby panny Gużewicz o umożliwienie jej przekroczenia granicy razem ze

mną. Na tak usilne prośby wyraziłem zgodę, prosząc jednocześnie o poinformowanie jej, jakie podejmuje ryzyko w razie wpadki oraz przedstawienie fizycznych trudności przy tak skomplikowanym planie przejścia przez granicę. Poza tym zaleciłem przekazać, aby nie obciążała się zbyt ciężkimi pakunkami, natomiast musi być w każdej chwili gotowa do podróży. Nie podałem jednak ani dnia, ani godziny, informując, że zgłosi się osoba, która ją doprowadzi na punkt zbiorczy, towarzysząc aż do przekroczenia granicy. W tym celu zaangażowałem Janka Dadurę „Leszczynę”, podając mu datę przejścia i prosząc, aby pomógł jej się zebrać oraz uczestniczył w obstawie aż do przekroczenia granicy.

Wieczór z końcem marca był cichy, lekko przychmurzony, słychać było jedynie szum spienionych wód rzeki. Wyruszyliśmy o godz. 22 z ustalonego miejsca, czyli ze stodoły Krawczyka. Po półgodzinnym ostrożnym marszu szczęśliwie dotarliśmy nad rzekę do punktu zaplanowanego przejścia i przeprawy. Wezbrane wody już częściowo opadały i niemalże mieściły się w pełnym korycie rzeki. Wykorzystując starą olchę jako kładkę wszedłem pierwszy do połowy jej długości i przerzuciłem swój pakunek (trochę bielizny i odzieży) oraz obydwie pakunki panny Weroniki, które podawał „Leszczyna”. Podtrzymując się gałęzi niczym poręczy, posuwałem się dalej ku wierzchołkowi, informując jednocześnie, jak ma postępować Weronika. Dochodząc do czubka, który częściowo był przyschnięty i mniej ogałęziony, odbiłem się z pozycji lekko przykurczonych nóg i znalazłem się na drugim brzegu rzeki.

Przyszła kolej na Weronikę. Martwiłem się trochę, czy sobie poradzi, gdyż przejście po drzewie wymagało pewnej sprawności fizycznej. Początkowo wyglądało, że wszystko też pójdzie sprawnie. Niestety, w końcowej czynności, tj. skoku wybiecie okazało się za mało prężne i skok był o pół metra za krótki. Tuż przed samym brzegiem wpadła panna Weronika do wody, zanurzając się aż po ramiona. Ledwie łapiąc oddech, chwyciła się rękami brzegu. Podskoczyłem i nachylając się, podałem jej rękę, aby wyciągnąć na brzeg. Nie było to radosne wydarzenie, lecz nie mogliśmy się z Jankiem powstrzymać od

śmiechu. Weronika była ubrana w krótki kożuszek. Po wyciągnięciu z wody wyglądała jak skapana owca, śmiesznie i żałośnie. Należało od razu coś zdziałać.

Podziękowałem Jankowi za pomoc, ostrzegając jednocześnie, aby miał się na baczności. Pożegnaliśmy się: „Czołem! – Cześć!” i Janek poszedł w stronę wsi Bohatery po stronie ZSRR. Przejąłem cięższy pakunek Weroniki i ruszyliśmy marszem w dalszą drogę. Weronika, pomimo wypadku, nie załamywała się. Była nawet zadowolona, że jest już po drugiej stronie granicy. Powiedziała, że woli być mokra na terenie Polski niż sucha i przymknięta na sowieckiej strażnicy, a następnie przesłuchiwana przez NKWD. Ja natomiast martwiłem się, gdyż temperatura w nocy zaczęła spadać poniżej zera. Tworzył się szron na trasie i odczuwaliśmy skrzyp pod butami. Należało niezwłocznie ulokować Weronikę w ciepłym pomieszczeniu i zmienić jej ubranie, aby się nie rozchorowała. Taka możliwość była jedynie u najbliższego członka siatki organizacyjnej na kolonii wsi Starożyńce (w Jasionówce) u Jana Wilczyńskiego. Zagroda ta była jednak oddalona o ponad 2 km. Szczęśliwie, udało się nam tę przestrzeń pokonać. Weronika dzielnie dawała sobie radę. Znalazłszy się u państwa Wilczyńskich, została otoczona troskliwą opieką kolegi i jego rodziny. Jak się później okazało, po dwóch dniach dotarła ona szczęśliwie do swojej siostry Janiny. Ja sam zatrzymałem się u państwa Krzywickich, kuzynów, mieszkających na kolonii Kurianka. Po parodniowym pobycie na terenie PRL, nawiązałem kontakt z „Głazem” i por. „Osą”, którzy w tym czasie przebywali we wsi Rogożyn oraz z dowódcą placówki na tamtejszym terenie kol. „Dziewanowski”.

Przebywając po stronie polskiej, nadal utrzymywałem łączność z terenem IV i V rejonu po obu stronach granicy bezpośrednio ją przekraczając, bądź też przez punkty łączności. Od czasu do czasu zmieniałem miejsce pobytu na terenie gminy Lipsk. Pewnego pogodnego, majowego dnia dotarł do mnie goniec. Powiedział, że poszukuje mnie już pod drugim adresem i przekazał, że powinienem natychmiast stawić się na punkcie kontaktowym u kol. Loni – „Jaskółki”. Po dotarciu

tam spotkałem grupę chłopaków z 8-mej kompanii, którzy zostali przetrzuceni przez granicę z terenów okupowanych przez ZSRR, przez „Leszczynę” oraz Czygiera (ps. „Sączek”), który w późniejszym czasie tj. w grudniu 1945 r. był świadkiem w procesie A. Jarmusika („Olchy”) m.in. nawet i na tę okoliczność.

Jak się okazało, żądaniem tej grupy było dokonanie przetrzutu broni z byłego oddziału partyzanckiego „Góry” (K. Okulicza). Wspomniany oddział był rozlokowany na terenie Puszczy Augustowskiej w okolicy wsi Gruszki. Uzbrojenie oddziału po uprzednim zakonserwowaniu było zmagazynowane w lasach po stronie polskiej. Zgodnie z rozkazem dowództwa obwodu Prawy Niemen broń powyższą należało przetrzucić w dany rejon po stronie ZSRR. Nie przypominam obecnie, kto wówczas reprezentował tę grupę chłopaków. Wydaje mi się, że mogli to być „Wieloryb” (S. Synbuła) i „Żołnierczyk” (J. Michaluk), zaś miejsce kryjówki miał wskazać „Dąb” (gajowy Bagieński z gajówki Wołkusz). Był też w tamtej grupie „Leszczyna” i „Głaz”, wszyscy oczekiwali na mnie.

Kiedy przybyłem, przystąpiono do omówienia planu działania: ustalenia trasy przetrzutu broni i zabezpieczenia akcji. Akcja wymagała szczegółowego zabezpieczenia, które to zadanie mnie powierzono. Termin był krótki, gdyż następnego wieczoru należało z powrotem przekroczyć granicę na tereny okupowane przez Sowietów. Przypadająca mi tak poważna rola i zadanie trochę mnie zaniepokoiły. Jednak musiał się ktoś tego zadania podjąć. Przedłożyłem swój plan do konsultacji, ustalając, że najbardziej sprzyjające warunki przekroczenia granicy będą na odcinku między Wołkuszem a kolonią zabudowań Bohater Nowych, w pobliżu zagród państwa Makowskich i Dąbrowskich. Ponadto odcinek ten wchodzi w rejon kontroli strażnicy w Sołojewszczyźnie, a tym samym istnieje możliwość śledzenia ruchów patroli przygranicznych przez członków naszej grupy na punkcie łącznościowym w Wołkuszu – braci Wilczyńskich tj. „Figla – Łozy” i „Poniatowski-go”. Brałem również pod uwagę fakt, że na tym odcinku po stronie sowieckiej, nie dalej, jak 100 m od rzeki stanowiącej

granicę, znajdują się młodniaki leśne, ułatwiające ochronę w czasie ewentualnego wypadku. Zadecydowałem, że kol. „Leszczyna” pozostaje ze mną dla nawiązania łączności z kolegą „Figlem” i jego braćmi w celu ustalenia sygnału dla bezpiecznego przekroczenia granicy. Kolega „Głaz” będzie towarzyszył razem z grupą w wyprawie po broń i po przejściu zmagazynowanej broni doprowadzi oddział o zmroku, o wyznaczonej godzinie na wskazany punkt, tzn. na polanę łąk tzw. Burowszczyzny w trójkącie łączenia się rzek Wołkuszanki z Perstunką. Tam będę czekał w celu przejścia oddziału i poprowadzenia na ustalony punkt przeprawy przez rzekę i przejścia granicy. W tym punkcie po stronie polskiej kolega „Leszczyna” jeszcze za dnia zajmie stanowisko obserwacyjne. Do tak ustalonego planu nikt nie miał zastrzeżeń.

Jeszcze tego samego wieczoru został nawiązany kontakt na punkcie w Wołkuszu oraz ustalony sygnał bezpiecznego przekroczenia granicy. Gospodarstwo braci Wilczyńskich było położone nie dalej niż 100 m od granicy. Brat „Figła” Franciszek był ślusarzem i miał warsztat kowalsko-ślusarski. Ustalenia polegały na tym, że w umówionych godzinach Jan i Stanisław będą obserwować strażników, a kiedy przejście będzie bezpieczne, Franciszek będzie kuł lemiesz (raczej uderzał młotem w kowadło). Brak odgłosu uderzania oznacza zagrożenie. „Leszczyna” po ustaleniu sygnałów jeszcze tej samej nocy powrócił od braci Wilczyńskich na tereny polskie.

Około południa spotkaliśmy się w Bartnikach u kol. „Cichej – Jaskółki”. Wczesnym podwieczorkiem wyszliśmy w stronę ustalonego odcinka przekraczania granicy. Zgodnie z planem „Leszczyna” zostaje w punkcie przejścia w celu dalszej obserwacji. Ja udaję się na umówione miejsce spotkania z oddziałem. Czas mi się dłużył w oczekiwaniu na nadejście chłopaków. Wyglądało na to, że mogło coś się wydarzyć. Chłopcy mogli też być niezdyscyplinowani i zlekceważyć ustaloną godzinę, która właśnie mijała. Oddziału nie było, nasuwały mi się różne przypuszczenia na temat możliwych przeszkód. Byłem podenerwowany, gdyż słyszałem już sygnał, wskazujący możliwość bezpiecznego przekraczania granicy.

Wreszcie ukazała się grupka chłopaków, obładowanych i spoconych. Niezwłocznie podążyłem na spotkanie, przejmując jednocześnie prowadzenie, gdyż sygnał był podawany w dalszym ciągu. W tym momencie odległość do punktu przekraczania granicy wynosiła ok. 800 m. Przyspieszonym krokiem staraliśmy się dotrzeć do granicy, dopóki był podawany sygnał. Niemal w momencie dotarcia do celu, sygnał zamilkł. Znaczyło to, że pojawił się patrol graniczny. Pomimo naszej ostrożności różne szmery, tupot, pobrzękiwanie pojemników z amunicją, podejrzliwe zachowanie się psa musiały zwrócić uwagę pograniczników. Patrol zatrzymał się naprzeciw nas po drugiej stronie rzeki, tuż obok gospodarstwa Sidorowicza. Obserwując granicę w tym punkcie, żołnierze zaprzestali kontroli dalszego odcinka. Czekałem około pół godziny, patrol nie zmieniał pozycji. Sygnał nadal nie występował. W tych okolicznościach nie wolno było ryzykować, tym bardziej, że od strażnicy w Sołojewszczyźnie byliśmy oddaleni o niecałe 2 km. W razie alarmu strażnicy mogli szybko otrzymać pomoc. Podjąłem decyzję zmiany planu. Postanowiłem dokonać przejścia na odcinku strzeżonym przez patrol strażnicy Hołynka obok wsi Bartniki, tam, gdzie się kończy odcinek strażnicy Sołojewszczyzna. Należało więc wykonać marsz w kierunku południowo-wschodnim na odległość ok. 2 km.

Gdy przypomnę sobie to wydarzenie, to nie tylko wtedy współczułem tym chłopakom, ale nawet dziś. Widząc zagrożenie, stali się bardziej zdyscyplinowani. Jeśli któryś z uczestników żyje, to na pewno nie raz wspomina tę przeprawę. Ja sam, mając 184 cm wzrostu, uruchomiłem swoje „chody na metr dwadzieścia”, gdyż bardzo nam zależało na czasie. Natomiast chłopaki, obładowani, nie nadążali. Co najmniej 50% tego przemarszu pokonywali biegiem.

W nowym punkcie przekraczania granicy, tam, gdzie kończy się odcinek patroli strażnicy Sołojewszczyzna, a zaczyna odcinek strażnicy Hołynka, naprzeciw rozpoczynającej się wsi Bartniki, pas kontrolny nie biegł przy samej rzeczce, jak w Wołkuszu. Prostował zakole rzeki, wskutek czego był w tym miejscu oddalony od niej o ok. 200 m. Najpierw dla zabezpie-

czenia akcji ustanowiłem stanowiska skrzydłowe – po dwóch chłopaków z bronią maszynową na prawe i na lewe skrzydło tuż przed samym pasem kontrolnym. Z najbliższej zabudowy wsi Bartniki, z zagrody po Zujku, zabraliśmy drabiny i deski wozowe układając kładkę przez rzekę. Po przejściu rzeki, kiedy zbliżaliśmy się do pasa kontrolnego, zaleciłem zmianę kierunku: tj. w tył zwrot i w tej pozycji – tyłem - przejść przez pas kontrolny, następnie poza pasem ok. pięciu kroków w prawo, raz jeszcze przejść do przodu i ponowny powrót tyłem, tak, aby ślady wskazywały przejście na teren PRL, a ich liczba była trzykrotnie wyższa. Po szczęśliwym przejściu granicy został obrany kierunek na Wzgórza Osokie w stronę kolonii Prolejki. W przemarszu pierwszych kilometrów trasy po stronie ZSRR uczestniczył Janek Dadura „Leszczyna”, odłączając się po wyprowadzeniu oddziału ze strefy granicznej. Ja sam i „Głaz” zatrzymaliśmy się po stronie polskiej. Należało rozebrać kładki, poodnosić rolnikowi drabiny i deski. Nasłuchiwaaliśmy, czy przypadkiem nie rozlegnie się strzelanina. Na szczęście tym razem akcja objęta kryptonimem części „Wschód”, związana z przerzutem broni, została wykonana bez ryzyka i zakłóceń, dzięki dobrej znajomości terenu.

Po północy udałem się do zagrody łączniczki „Cichej-Jaskółki” na parogodzinny odpoczynek na sianie w stodole. Zatrzymałem się celowo blisko granicy, aby obserwować, jaka będzie reakcja po stronie sowieckiej. Po stronie polskiej strażnica była w Lubinowie, a straż graniczna nie była strażą wartowniczą, raczej „objezdną” i nawet nie pojawiała się każdego dnia.

Po stronie sowieckiej już przed szóstą rano dał się zaobserwować pewien ruch. Wynikało z tego, że spostrzeżone zostały ślady i zaalarmowana strażnica w Hołyncie. Pojawił się naczelnik strażnicy w towarzystwie kilku żołnierzy. Przy pasie kontrolnym w miejscu przekroczenia granicy przyglądał się nachylony, jak gdyby liczył ślady. Po paru dniach z drugiej strony granicy, od pana Citki doszła wiadomość, że strażnicy sowieccy powiedzieli, że na stronę polską przeszły przez pas krowy i dlatego naczelnik zalecił go przebronować.

Wiadomości nadchodzące z terenu Grodzieńszczyzny budziły niepokój. NKWD nieustannie penetrowało teren, starając się rozszyfrowywać sieć konspiracyjną AK, jej struktury, dokonując ciągle nowych aresztowań. Jak już wspomniałem, poza aresztowaniami z placówki Sopoćkinie, we wrześniu 1945 r., zostaje aresztowany Jan Wilczyński ps. „Figiel”, zastrzelony w czasie konwoju przez żołnierza sowieckiego. Był to jeden z najbardziej aktywnych łączników naszej grupy – punktu przerzutowego na odcinku Wołkusz. Pomimo aresztowań przez NKWD spora część młodzieży pozostawała na terenie Grodzieńszczyzny, ukrywając się. W tym samym czasie apelowano do dowódcy rejonu IV-go placówki przygranicznej gm. Lipsk o zorganizowanie przerzutu oraz utrzymanie ściślejszej łączności z Grodnem. Plutonowy d/s łączności z Grodnem, Stanisław Gowin, ps. „Osa” dwukrotnie próbował przekroczyć granicę i za każdym razem wycofywał się, napotykając patrole sowieckiej straży granicznej. Raz nawet musiał się wycofywać z rannym kolegą, postrzelonym przez pograniczników sowieckich. Sprawa łączności była pilna. Wiadomość o moim przejściu z zagranicy na teren PRL, w rejon placówki Lipsk nie była dla dowództwa tajemnicą, podobnie jak i moje przejścia na terenach okupowanych przez ZSRR po ucieczce z Grodna. Pomimo to polecono „Dziewanowskiemu” skontaktowanie się ze mną w sprawie łączności.

Do spotkania doszło w pierwszych dniach czerwca 1945 r. „Dziewanowski” zaproponował mi przekroczenie granicy, nawiązanie łączności z terenem Grodzieńszczyzny, z którego dopiero w marcu powróciłem. Należało ponownie dotrzeć w V rejon (placówki Łabno – Balla – Łosośna) z wymianą pilnej korespondencji, nawiązać kontakt z porucznikiem „Zaleskim” (Bolesławem Burakiewiczem), który nadal tam przebywał. Przedstawione propozycje nie zachwyciły mnie, ponieważ po niedawnych tarapatkach po drugiej stronie granicy chciałem trochę odpocząć. Po paru dniach „Dziewanowski” zgłosił się ponownie z por. „Osą”, usiłując za wszelką cenę nakłonić mnie do podjęcia zadania, obiecując jednocześnie, jak to się mówi „złote góry”, zapewniając eskortę. Nie mobilizowały



mnie żadne obiecanki, natomiast chcąc pomóc chłopakom, którzy znaleźli się w sytuacji bez wyjścia, wyraziłem zgodę. Odmówiłem korzystania z obstawy, ustaliłem, że moja grupa nie może być większa niż trzy osoby. Zaproponowałem kolegę „Głaza” oraz jedną koleżankę. „Głaz” wyraził zgodę. Opracowałem plan przekroczenia granicy przy najbliższym punkcie granicznym obok wsi Bohatery Nowe. Rzekę Perstunkę, stanowiącą granicę między PRL a ZSRR, należało przejść przy „kolanie” załamującego się koryta, tj. naprzeciw Nowej Wsi, przy wpadającym rowie melioracyjnym. Punkt zbiorczy był w Bartnikach u kol. Loni („Cichej-Jaskółki”).

Było to z 13-ego na 14-ty czerwca 1945 r. Noc była pogodna i ciepła. Po pożegnaniu się wyszliśmy ok. godz. 22-giej. W niespełną godzinę byliśmy w punkcie przekroczenia granicy na lewym brzegu rzeki po stronie polskiej. Po półgodzinnym nasłuchiowaniu i obserwacji, które nie przyniosły nic podejrzanego, przeszliśmy rzekę. Nie była ona w tym miejscu zbyt głęboka, jedynie trochę szersza. Woda sięgała powyżej kolan. Do sforsowania starczyło zdjąć buty i garderobę do kąpielówek. Koleżanka miała z tym jeszcze mniej kłopotu. Po sforsowaniu rzeki – moment obserwacji, nałożenie spodni i butów. Po wysmarowaniu podeszew naftą ruszyliśmy schyleni rowem biegnącym do głównej drogi. Rów, który latem był suchy, znajdował się między wsią Nową a Starą, przecinając drogę i dzieląc polne miedze. Tak doszliśmy do wsi Bohatery Stare. Znalazłem się o dwieście metrów od domu rodziców. Koleżanka miała zatrzymać się u państwa Szerelów. Po ulokowaniu jej tam, postanowiłem odwiedzić rodziców, posilić się, a przede wszystkim ugasić pragnienie. Mimo nocy byliśmy zgrzani i spoceni. Zarówno pistolet vis jak i pepesza trochę obciążały, kolega „Głaz” miał kbk i granaty. Okupacja niemiecka i sowiecka sprawiła, że w prawie każdym domu były potajemne wejścia i wyjścia. Korzystając z nich, znalazłem się w mieszkaniu. Po powitaniu z rodzicami przeszliśmy do spiżarki, aby się trochę posilić i zaspokoić pragnienie zimnym mlekiem, gdyż jeszcze czekała nas droga ok. 10 km. Po zasłonięciu małego okienka-wietrznika zapaliliśmy lampę, przystę-

pując do posiłku. Nie zdążyliśmy go zakończyć, aż tu nagle dobijanie się do drzwi! Mamusia zerwała się z łóżka, biegnąc do spiżarki, a ja wychodząc z niej, spotkałem się z nią w sieni (korytarzu). Matka wystraszona, cichym głosem powiada: „Dziateczki kochane, przepadliście, rusaki otoczyli dom”. Panując nad sobą i całując ją w rękę, poprosiłem: „Niech mamusia się nie przejmuj, idzie i położy się do łóżka”.

Błyskawiczna narada, jak mamy postępować. Sowietci dobijają się coraz silniej, nawołując: „Odkroj!” (otwórz). Trudno było określić, ilu ich jest, dobijają się do drzwi i okien. Jeśli stoczyć potyczkę, to taką, żeby żaden żywy nie uszedł i nie zeznał: „Z etawo doma” (Z tego domu). Podjąłem decyzję i mówię krótko do kolegi: „Cofamy się. Chodź za mną!” Podjąłem decyzję o wycofaniu się ze względu na możliwe odwetowe konsekwencje wobec rodziców i służącego Stanisława Mackiewicza, który po kilkunastu latach stał się niemal członkiem rodziny. Poza tym w naszych założeniach nie było zabijania żołnierzy sowieckich. Prowadziłem kolegę po omacku na poddasze-strych, skąd przez ukryte ruchome deski szczytu przeszliśmy nad oborę, następnie z obory przez drzwiczki służące do podawania siana schodzimy na ziemię. W tym momencie żołnierze sowieccy wystrzelili raketę, oświetlając teren i jednocześnie alarmując strażnicę w Sołojewszczyźnie. Całe szczęście, że obora była nieco węższa od domu mieszkalnego, nie byłem więc w prostej linii z żołnierzami sowieckimi. Przytulony do ściany obory oczekuję momentu, kiedy opadnie rakietę i zastanawiam się, czy nie zostałem zauważony i czy nie posypie się seria strzałów z pepesz. Rakietę pada na ziemię, daję susa przez bramkę podwórka, kolega z drugiej strony i zdążamy w kierunku dalszych zabudowań, tj. stodoł. Sowietci sięją ciągłą serią z pepesz w naszym kierunku. Rakiety są wystrzeliwane jedna za drugą. Jeden ze śmiałków puszcza się w pogoń w kierunku stodoł. Krótki ostrzał zza stodoły onieśmiela go, zaprzestaje pogoni. O ile bezbłędne było przekroczenie granicy, to decyzja odwiedzenia rodziców, czego właściwie w planie nie było, okazała się błędna. Po mojej ucieczce z Grodna dom rodzinny był pod stałą obserwacją.

Pomimo opisanego zajścia, dalszy plan nie uległ zmianie. Podążaliśmy na punkt kontaktowy w Raciczach. Trasę skracaaliśmy przez pola i łąki. Przechodziliśmy przez bagienka i kałuże wodne dla zatarcia śladów, gdyż na pewno sowioci zorganizowali pościg. Gdy dotarliśmy do Racicz, okazało się, że na wskazanym punkcie por. „Zaleskiego” nie było. Miał być w folwarku obok wsi Ginowicze. Mimo przemęczenia dotarliśmy do tej wsi. Do spotkania tam również nie doszło. Zostawiliśmy meldunek z wyznaczeniem miejsca spotkania i wróciliśmy na punkt w Raciczach. W niespełna trzy godziny zgłosił się por. „Zaleski”. Po przekazaniu korespondencji kierowanej do dowódcy V rejonu przystąpiliśmy do omawiania spraw związanych z przerzutem chłopaków. W tym czasie wpada kolega „Leszczyna”, informując o nadciągającej obławie oraz o poczynaniach sowietów w domu moich rodziców. Z relacji tej wynikało, że ok. godz. 3 nad ranem podjechały dwa samochody z żołnierzami NKWD z Radziwiłek. Dokonano w zabudowaniach rewizji, zabierając przy tym to, co się podobało i ładując na samochody. Aresztowano ojca. Matkę i Mackiewicza po przesłuchaniu zostawiono. Do sztabu NKWD w Radziwiłkach został zabrany tylko ojciec.

Dochodziła godz. 12 w południe, gdy przejeżdżający z żołnierzami samochód zatrzymał się w odległości trzystu metrów od zagrody A. Kuczyńskiego, w której przebywaliśmy. Janka, siostra gospodarza, przeprowadziła rozpoznanie. Okazało się, że był to wóz łączności z zainstalowaną radiostacją. Podobna, jak dowiedzieliśmy się później, była ulokowana w Hołynce. Potwierdził się meldunek „Leszczyny” o wszczętej obławie. Zaczęły ukazywać się pierwsze czujki patroli sowieckich. Wszyscy opuściliśmy mieszkanie państwa Kuczyńskich, udając się do sadu, w obrębie którego była zamaskowana kryjówka. W niespełna pół godziny zaczęli pojawiać się żołnierze sowieccy, posuwając się niczym tyraliera przez pole i wieś. Spotykanych mieszkańców legitymowali i wypytywali, czy nie ma w okolicy obcych ludzi. Zachodzili też do niektórych mieszkań. Szacuje się, że w obławie brało udział ponad tysiąc osób. Żołnierze sowieccy szli w naszym kierunku. Nie wiem,

czym się kierowali. Czy może w pierwszej fazie psy im wskazały drogę, gdyż ze strażnicy w Sołojewszczyźnie zostali zaangażowani niemal wszyscy strażnicy z psami, podobnie jak ze strażnicy ze wsi Lipszczany. Terenem obławy objęto przestrzeń w kwadracie ok. 10 km, zaczynając od wsi i kolonii Bohater, kolonii i wsi Prolejki, Hołynki, Perstuń, Racicz i Ginowicz, po szosie Sopoćkinie – Grodno i Grodno – Augustów od rozgałęzienia się szosy w kierunku Hołynki. Cała ta enklawa była przeszukiwana.

Według mojej oceny obława miała potrójny system. Pierwsze patrole były szybsze, obejmowały drogi i wsie. Druga tura polegała na myszkowaniu na polach i w zagajnikach. Następne patrole zdejmowały punkty obserwacyjne. W czasie tyraliery najbliższy nas żołnierz przechodził w odległości nie większej niż 80-100 m. Żaden z nas nie miał zamiaru oddać się w ręce NKWD. Około godz. 16-tej wyglądało, że patrole w miejscu gdzie przebywaliśmy, przeszły. Natomiast radiostacja samochodowa pozostała, utrzymując łączność z radiostacją w Hołynce oraz ze sztabem w majątku Świack w Radziwiłkach. Kryjówka nie była zbyt obszerna i zbyt wygodna, postanowiliśmy przenieść się do stodoły, natomiast Janka cały czas miała być na obserwacji, wykonując rzekomo prace w ogródku. W stodole palacze zabrali się za papierosy, każdy starał się jakoś odprężyć. Porucznik Burakiewicz („Zaleski”) próbował odłożyć swój MP, niestety tak niefortunnie, że w czasie zawieszania spadł, uderzając kolbą o klepisko i spowodował samowystzał. Całe szczęście, że był to strzał pojedynczy, a nie seryjny. Pocisk przeszył środek prawej ręki porucznika, między dłonią a łokciem. Wszyscy byliśmy zaskoczeni, jak to mogło się stać. Porucznik „Zaleski” zrobił się błydy, na czoło wystąpił mu pot, następnie ręka zaczęła silnie krwawić. Na odgłos strzału wpadła z ogródka Janka. Zaleciliśmy jej natychmiast przyniesienie jakichś materiałów do zahamowania upływu krwi. W biegu przyniosła jakieś ręczniki, którymi staraliśmy się zatamować krew.

W swoim życiu przechodziłem kilkadziesiąt razy granicę sowiecko-niemiecką i sowiecko-polską, nigdy takiego pecha,

jak właśnie tym razem nie miałem. Pech za pechem – czyżby z powodu daty – trzynastki?

Poprosiłem porucznika Burakiewicza, aby usiłował poruszyć palcami prawej ręki. Ruch ten wykonał bez trudności, po czym oznajmiłem mu, że ma szczęście w nieszczęściu, gdyż kość jest nienaruszona. Do dziś pamiętam, jak się na to obraził. Podniesionym głosem, być może trochę z bólu, może też z powodu wyższej ode mnie rangi, powiedział: "Co wy, kolego, pieprzycie? Przecież ręka jest przeszyta na wylot, samym środkiem!" Nie usiłowałem dalej przekonywać, gdyż nie był to czas na różne domniemywania i sprzeczki. Należało niezwłocznie działać. Położenie nasze nie było wesołe. Byliśmy w rejonie obławy, poszukiwani, do tego jeszcze jeden członek grupy ranny. W tej sytuacji byliśmy zmuszeni wtajemniczyć szersze grono ludzi – rezerwowych członków AK. Za pośrednictwem Janki zawezwaliśmy kol. Jana Burzyńskiego, Władysława Ignatowicza, no i oczywiście gospodarza – Adolfa Kuczyńskiego. Po krótkiej naradzie został ustalony plan działania.

W rodzinie Jana Burzyńskiego nie było dzieci. Janek mieszkał z matką. Ustaliliśmy, że pani Burzyńska nagle zachoruje na atak serca z koniecznością dowozu lekarza. Pan Ignatowicz („Brzoska”, „Śmigły”) zorganizuje furmankę i o zmroku dowiezie doktora Stępińskiego, rzekomo do pani Burzyńskiej, tak, aby nie wzbudzać podejrzeń, zaś lekarz opatrzy ranego. Skreśliliśmy króciutki meldunek do doktora Stępińskiego. Resztę miał przekazać i wyjaśnić doręczający i dowożący.

Miasteczko Sopoćkinie jest położone od wsi Racicze ok. 6 km. W niespełna półtorej godziny doktor był dowieziony na miejsce. Odwiedzając panią Burzyńską, poprosił ubolewającą nad nią sąsiadki, aby przeszły do innego pomieszczenia i zostały chorą w spokoju. Zbadał ją, manipulował strzykawkami, po wyjściu oznajmił, że chorej powinno się polepszyć, zaś za jakąś godzinę zbada ją jeszcze raz i w razie potrzeby dokona dalszych zabiegów. Należy chorą zostawić w spokoju, aby godzinkę mogła się przespać. Raz jeszcze podkreślił, że idzie do furmana, a za godzinę dokona powtórnego badania. Faktycznie wpadł do nas, do zagrody Kuczyńskich. Miał cały zestaw leków

potrzebnych przy postrzale: przeciwbólowe, przeciw zakażeniu i opatrunki. Potwierdził również moje wcześniejsze przypuszczenia o nienaruszeniu kości. Kula postrzałowa cudem przeszła w miejscu rozdwojenia się kości. Dokonał wszelkich zabiegów i przekazał leki do dalszego leczenia. W międzyczasie państwo Kuczyńscy przygotowali wspólny poczęstunek, łącznie z żywnością własnej produkcji. Doktor zezwolił nawet rannemu na pięćdziesiątkę. W tak szczerej i serdecznej przyjaźni rozstaliśmy się z doktorem. Odjeżdżając wstąpił raz jeszcze, symbolicznie, do pani Burzyńskiej.

Doktor Witold Stępiński zasługuje na miano dobrego Polaka i patrioty. Przez cały czas, mimo podejrzeń, z narażeniem swojej wolności, współpracował z organizacją AK. Udzielał pomocy lekarskiej zarówno za okupacji niemieckiej, jak i po wkroczeniu wojsk sowieckich.

Historia tego wypadku była przez cały czas utrzymywana w tajemnicy, aż do chwili wyjazdu z terenów ZSRR do PRL doktora Stępińskiego oraz mieszkańców wioski Racicze, uczestniczących w akcji. Tajemnica była konieczna ze względu na prześladowania, jakie mogły ich spotkać na terenach zajętych przez ZSRR, a później, w pewnych okresach, ze strony władz PRL. Wszyscy oni opuścili swoje strony, rezygnując z „dobrodziejstw” okupanta sowieckiego i przenosząc się do Polski. Doktor Stępiński, ostatnio jako emeryt, mieszkał w Gdańsku. Kol. Jan Burzyński pracował na stanowisku dyrektora NBP w Białymstoku, przeszedł na emeryturę i nadal mieszka w Białymstoku. Władysław Ignatowicz (ojciec doktora rehabilitacji Leona Ignatowicza) mieszkał przy ul. Staszica 5 w Giżycku, obecnie już nie żyje. Janina Kuczyńska-Pawłowska mieszka w Giżycku, ul. Górna 2 obok straży pożarnej. Porucznik Burakiewicz osiedlił się w Słupsku. Jan Dadura 1 czerwca 1946 r. został zastrzelony przez milicjantów z posterunku MO w Lipsku i funkcjonariuszy UB z Augustowa, którzy urządzili obławę na młodzież wsi Starożyńce podczas zabawy weselnej. Obławą kierował komendant posterunku MO w Lipsku J. Łebek. Młodzież na wieść o obławie zaczęła uciekać. Do wszystkich uciekających strzelano niczym do kaczek. Razem z

„Leszczyną” (Janem Dadurą) został zastrzelony młody chłopak, mieszkaniec wsi Starożyńce Józef Snarski, kilku innych zostało rannych. Dadura i Snarski są pochowani na cmentarzu parafii Lipsk w kwaterze dla wojskowych. Kol. „Głaz” Adolf Krawczyk osiedlił się w Węgorzewie, obecnie już nie żyje. Adolf Kuczyński mieszka w Ełku, ul. Wojska Polskiego 63. Ja osiedliłem się w Pozezdrzu, zamieszkałem przy ul. Kościelnej 28, przemianowanej przez władze PRL na ul. 1 Maja.

Natomiast cel akcji – zorganizowanie przerzutu chłopaków na teren PRL – okazał się niemożliwy do osiągnięcia w zaistniałych warunkach. Przerzut postanowiono przełożyć na późniejszy termin. Nasz dalszy pobyt po drugiej stronie granicy był bezcelowy i narażał na niebezpieczeństwo ludzi utrzymujących z nami kontakt. Należało niezwłocznie powrócić na tereny PRL. Sam wprawdzie obwieszczenia nie widziałem, ale informowano mnie, że za pojmanie lub za wskazanie miejsca mego pobytu organy sowieckie wyznaczyły nagrodę. Dano mi przydomek: „bolszoi bandyt” (wielki bandyta). Ojca po aresztowaniu przetrzymywano przez trzy tygodnie w sztabie NKGB w Radziwiłkach. Zarzucano mu, że syn „bolszoi bandyt chodził z orężem” (wielki bandyta chodzi z bronią). Ojciec temu nie zaprzeczył, a posłużył się jako furtek do obrony. Zeznał, że faktycznie syn był z bronią w domu, dodając: „Przecież wyście jego zatrzymali w lutym i nigdy nie powiedzieli, gdzie on jest. Obecne pretensje z tego tytułu są niesłuszne. Zatrzymanemu nie trzeba było dawać przepustki. Jak się zgłosił do domu, powiedział, że jest w wojsku i dom rodzinny odwiedza, korzystając z przepustki”. Po trzech tygodniach przesłuchań ojciec został zwolniony.

Od momentu przejścia granicy upłynęły już trzy dni naszego pobytu na terenie ZSRR, objętym oblawą i poszukiwaniem. Pomimo wzmocnionych patroli granicznych należało wracać. Zaplanowaliśmy powrót w nocy z 16-go na 17-go czerwca. Mój projekt przewidywał przekroczenie granicy na odcinku Hołynki między tzw. Wałem Kowalickiego a mostkiem-kładką na rzece Perstunce w kierunku wsi Bartniki. Patrole straży granicznych na tym odcinku zatrzymywały się dla obserwacji albo na wspomnianym wzgórzu, albo na mostku rzeczki (jak to miało miejsce

przy przerzucie „Modrzewia”). Ponadto na tym odcinku nie przewidziano drugiej linii posterunków granicznych, gdyż były tam zaskoki z drutu kolczastego. Podkreśliłem, że ten punkt jest możliwy do przekroczenia w obecnych warunkach. Kolega „Głaz” (A. Krawczyk) podając swoją wersję powiedział, że będzie się kierował instynktem i wyczuciem. Kolega Janek Leszczyna zdecydował, że gdzie wszyscy, tam i on. Był to akurat 16 czerwca – wigilia imienin Adolfa. Gospodarz punktu miał na imię Adolf, „Głaz” też Adolf – dwa Adolfy. Zatrzymanie się na 17-go mogłoby być trudne dla gospodarza, bo ktoś ze znajomych lub z sąsiadów mógłby przyjść z życzeniami. Należało opuścić punkt przed 17 czerwca.

Pod wieczór 16-go Kuczyński zorganizował pożegnalny i jednocześnie imieninowy poczęstunek. Trwało to do dobrej szarówki. Po czym po serdecznych i przyjacielskich uściskach pożegnaliśmy się, dziękując i przepraszając za wszelkie kłopoty z naszej przyczyny. Przy pełnej szarówce ruszyliśmy w drogę. Zaakceptowany został mój plan, jako najbardziej realny. Trasę do granicy wybrałem na przełaj przez pola, łąki i pastwiska. Posuwaliśmy się ostrożnie, zgodnie z moim planem. Szedłem jak zwykle pierwszy, za mną Janek, a następnie Adolf. Wyglądało, że wszystko pójdzie pomyślnie. Aż tu znowu pech! Będąc w odległości ok. 1 km od granicy przechodzimy przez ogrodzenie pastwiska, zresztą na tej trasie już nie pierwsze. Zwykle, podchodząc do ogrodzenia i mając pistolet w rękę, aby nie skaleczyć dłoni, przyciskałem drut pistoletem, obniżając go, przekładając kolejno nogi na drugą stronę. Tak samo, podobno, robili następni. Za mną przechodził Janek. Nie mogę zrozumieć, jakim cudem przyciskany przez niego pistoletem drut spowodował strzał tuż pod same moje nogi. Na szczęście nie zostałem ranny, ale strzał wśród nocy w takim punkcie to wielkie zagrożenie. Może zbyt się uniosłem, ale zbeształem kolegę, co go trochę onieśmieliło. Lekko podenerwowany ruszyłem dalej. W pewnym momencie dopędził mnie Janek z informacją, że Adolf nie idzie i że gdzieś się przyczaił. Odpowiedziałem również dość szorstko: „Nie idzie, bo chce żyć!” Szedłem dalej, licząc na to, że mimo wszystko będą szli

za mną, być może ostrożniej, lecz zgodnie z przyjętym planem. Dotarłem do punktu, z którego mieliśmy dokonać obserwacji i nasłuchu. Była to łąka graniczna, uprzednio użytkowana przez rolnika z naszej wsi – Gryszkę. Łąka jest położona niecałe 200m od linii granicznej. Obserwowałem, nasłuchując przy ziemi, co najmniej ze 20 minut. Nikogo w pobliżu nie było. Zdecydowałem, że dalsze czekanie jest bezcelowe, powinienem niezwłocznie przechodzić sam. Szczęśliwie przekroczyłem przedpole linii granicznej nie zważając o żaden sznur min rakietowych. Pozostało natomiast przeforsować kopertowy zasiek drutu kolczastego. Wybrany do przekroczenia odcinek granicy był o wiele bezpieczniejszy ze względu na patrole graniczne, nie był przeorany pasem kontrolnym, ale był trudniejszy do przebycia, za względu na ustawiony zasiek. Poza dokładną znajomością terenu pomógł mi szczęśliwy zbieg okoliczności. Akurat w miejscu przekraczania zasieku natrafiłem na wnekę z powodu nierównego poziomu gruntu. Po nieznacznym uniesieniu drutu do góry ułatwiło mi to przecięnięcie się w pozycji leżącej, bez jakichkolwiek zaczepień i zdraśnień. Jakkolwiek po sforsowaniu zasieku poczułem się bezpieczniej, to jednak teren ten zaliczał się do ZSRR. Należało jeszcze przejść przez łąkę w kierunku zachodnim ok. 200 m, zbliżając się do zabudowań gospodarczych państwa Witkowskich. Dopiero znajdując się poza granicą ZSRR odetchnąłem z ulgą. Rozmyślając o kolegach „Głazie” i „Leszczynie” uszedłem ok. 1 km, zbliżając się do wsi Bartniki. W tym momencie rozległa się strzelanina po stronie sowieckiej. Ostrzał z pepeszy wskazywał na kolegę Janka, Adolf posiadał kbk. Strzały rozległy się w odległości ok. kilometra, zatem w strefie granicznej. Nie upłynęło pół godziny, gdy na odcinku Citki, tuż przy samej granicy została wystrzelona rakietka. Zanim opadła na ziemię dał się słyszeć strzał z kbk. Byłem pewny, że to był strzał Adolfa. Nasłuchiwałem jeszcze około godziny. Żadnych więcej strzałów nie było. Była jedynie wystrzelona jeszcze jedna rakietka po stronie ZSRR, która miała oznaczać wzywanie pomocy ze strony strażnicy. Z tego wynikało, według moich przypuszczeń, że strzał z kbk był celny.

Czując się przemęczony, udałem się do zagrody Jarmusików, do „Cichej-Jaskółki”, żeby odpocząć i pospać parę godzin na sianku w stodole. Pomimo zmęczenia sen nie brał. Nasłuchiwałem nadal ewentualnych strzałów na granicy, pograżony jednocześnie w rozmyślaniach o losach kolegów. Zasnąłem nad ranem. Obudziłem się ok. godz. 10-tej. Po umyciu się zostałem zaproszony na posiłek. Zagroda państwa Jarmusików położona była trochę na uboczu, na skraju wsi. Panna Lonia pod pseudonimem „Cicha-Jaskółka” pełniła funkcje łączniczki AK. Punkt ten był ważny ze względu na położenie w czasach okupacji niemieckiej i później, jako punkt przygraniczny po stronie polskiej, oddalony od granicy o niecałe 800 m i położony blisko lasów augustowskich. Przez zagrodę Jarmusików przeszły przy przerzutach granicznych dziesiątki członków AK. Pan Jarmusik był przez pewien czas w latach przedwojennych wójtem gminy Hołynka. Po wkroczeniu władzy sowieckiej został wywieziony na Syberię. Pani Leonarda („Cicha-Jaskółka”) była najstarsza z rodzeństwa, miała młodszego brata, dwie małoletnie siostry, wszyscy mieszkali z matką. Miejscowa społeczność uważała mnie i Lonię za narzeczonych, co było korzystne dla celów organizacyjnych, gdyż mniej budziło podejrzeń.

Pod wieczór tego dnia udałem się na kolonię Kurianki na spotkanie z kolegą „Dziewanowskim”. Przedstawiłem przebieg wydarzeń, spotkanie z por. „Zaleskim”, wypadek przestrzału ręki, zajścia po przekroczeniu granicy w domu moich rodziców. Pomimo trudnej sytuacji chłopaków pozostających po drugiej stronie granicy, ze względu na nieustanne zagrożenie ze strony NKWD, misja nasza nie została spełniona. Przerzut chłopaków przez granicę, z terenów w owym czasie objętych obławą, był niemożliwy. Poza tym dowódca tego rejonu – „Zaleski” nie miał możliwości poruszania się w terenie po przestrzale ręki. Przed odejściem przedłożyłem por. „Zaleskiemu” projekt do realizacji w późniejszym terminie. Najbardziej bezpiecznym odcinkiem przekraczania granicy pozostał odcinek na Markowce. W przypadku podjęcia decyzji, należało przekazać meldunek przez koleżankę „Borówkę” (Cz. Masiejczyk)

kierowany na mnie z podaniem przybliżonej daty, w celu udzielenia pomocy po stronie polskiej.

Na trzeci dzień po moim przejściu granicy, tj. 20 czerwca 1945 r. spotkałem się z kolegą „Leszczyna”, zaś około dwóch tygodni później doszło do spotkania z „Głazem”. Potwierdziły się moje przypuszczenia, co do przebiegu zejść na granicy. Kolega „Leszczyna” natknął się na patrol. Ostrzelali się nawzajem. Granicę przeszedł następnego ranka na odcinku Bohater Nowych, włączając się do pędzenia bydła na pastwisko w kierunku granicy, przebrany za kobietę. „Głaz” natknął się na patrol na odcinku Citki (naprzeciw Bartnik). Strzał z kbk był jego. Był zmuszony cofnąć się poza strefę graniczną. Zatrzymał się na kolonii Prolejki w zagrodzie pana Rajkowskiego. Po parodniowym pobycie u państwa Rajkowskich przeniósł się na odcinek graniczny strażnicy Lipszczany i tam dokonał przekroczenia granicy, powracając na tereny polskie. Po stronie polskiej zatrzymał się u swoich kuzynów we wsi Rogożyn. Ustaliliśmy, że w wypadku pilnej konieczności tam się spotkamy. Jako swój adres podałem kolonię wsi Kurianki u państwa Krzywickich.

Niedzielnny poranek trzeciej dekady czerwca był pogodny. Poruszałem się wolnym krokiem wzdłuż granicy, równoległe z biegiem rzeki Perstunki. Tereny prawej strony rzeki zaliczane były do terenów ZSRR, lewej do PRL. Wychodząc od strony wsi Bartniki po stronie polskiej, zbliżyłem się do przygranicznych gospodarstw kolonii Bohater Starych, położonych tuż nad samą rzeką po stronie ZSRR. Zagrody Władysława Dadury i Jadwigi Dadury przylegały podwórkami niemal do samej rzeki stanowiącej granicę. Był to jeden z umówionych punktów przekazywania korespondencji w niedzielne poranki. Obserwując wieś Bohatery Stare, czy przypadkiem nie nadchodzi łączniczka „Borówka” lub siostra Janina, w pewnym momencie zauważyłem siostrę z wiernym psem Murzynem, podążającą do zabudowy Jadwigi Dadury. Odwiedzanie sąsiadów nad samą granicą zawsze musiało być po stronie sowieckiej uzasadnione. Najczęściej „potrzebowano” coś pożyczyć lub odnieść. Tak było i tym razem. Siostra, nie patrząc w stronę granicy, weszła do domu pani Jadwigi, zostawiając Murzyna na podwórku. Ja zaś przy-

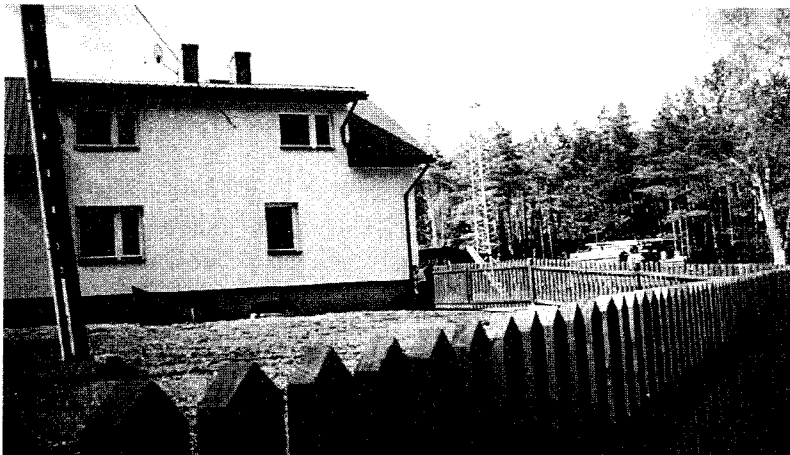
kucnąłem nad samą rzeką po stronie PRL, obserwując zza krzaków młodych olszyn. Nie widząc strażników po stronie sowieckiej, gwizdnałem. Murzyn, stojąc pod drzwiami Jadwigi, gdzie była siostra, uniósł uszy. Zawołałem: „Murzyn! Do mnie!” Dzieliło nas niecałe 80 m. Murzyn dał susa przez rzeczkę i za parę sekund skomłał u nóg swego gospodarza. Sprawdziłem podwójną obrożę, zabierając korespondencję. Po półgodzinnym pobycie siostra wyszła od pani Jadwigi. W tym momencie przebiegłem Murzyna, każąc wracać z panią do domu.

Pies był wychowany w naszym gospodarstwie od szczeniaka. Miał bardzo rozwinięty instynkt. Podczas okupacji niemieckiej potrafił wyczuć Niemców co najmniej na kilometr, szczególnie w nocy. Za każdym razem, gdy pojawiało się w wsi niemieckie wojsko, żandarmeria lub Niemcy przejeżdżali opodal, stawał na tylne łapy i walił do drzwi przednimi, starając się otworzyć i w ogóle nie szczekając. Początkowo był karcony za takie zachowanie, gdyż przeszkadzał w spaniu i niszczył drzwi, zostawiając rysy. Dopiero po pewnym czasie odkryliśmy przyczynę jego dobijania się do drzwi. Występowało to wtedy, gdy Niemcy pojawiali się we wsi lub przejeżdżali w pobliżu. Zastanawiając się nad zachowaniem się psa, doszedłem do wniosku, że zostało ono wywołane lękiem. Miejscowość nasza położona była półtora km od granicy sowiecko-niemieckiej. W dniu 22 czerwca 1941 r. nad ranem zadrżała ziemia. Tysiące pocisków przelatywało nad nami skierowanych w pobudowane i budowane bunkry w pobliżu naszej wsi. Był to jednolity zły huk. Obudzeni ze snu mieszkańcy kryli się, gdzie kto mógł. Wszyscy biegiem udaliśmy się do schronu, który wybudowała nasza rodzina razem z sąsiadem Marcinem. Eksplozjami i hukiem musiał być również wystraszony pies. Też wciskał się do schronu, pilnując się nóg swoich gospodarzy. Po – bodajże – dwudziestu minutach niczym trzęsienia ziemi, ukazali się niemieccy żołnierze z zakasnymi rękawami, siejąc z broni maszynowej oraz z miotaczy ognia po bunkrach. Po wyjściu ze schronu pies nie odstępował od nóg gospodarzy. Z budy swej również uciekał, usiłując dostać się do domu. Widocznie to tak zadziało na jego psychikę i instynkt, że później potrafił wyczuć na odległość

zbliżających się Niemców. Późną jesienią 1945 r. Murzyn został zastrzelony w strefie przygranicznej przez strażników ze strażnicy w Sołojewszczyźnie.

Należy dodać, że położone najbliżej rzeki granicznej gospodarstwo Władysława Dadury zostało zlikwidowane przez władze sowieckie. Gospodarz wraz z rodziną został przesiedlony.

Z otrzymanej korespondencji wynikało, że za dwa dni grupa chłopaków będzie przekraczała granicę na odcinku Markowce. We wtorek rano wyszedłem ponownie tą samą trasą wzdłuż granicy, tym razem aż do rzeki Wołkuszanki, po stronie polskiej na odcinku naprzeciw wsi Wołkusz. Należało na wszelki wypadek nawiązać kontakt w przygranicznych punktach kontaktowych po stronie polskiej – z gajówką Bagieńskiego („Dęba” II – nie kojarzyć z „Dębem” z placówki Lipsk) oraz z punktem Laski-Lubinowo, z kolegą Stanisławem Dzietczykiem. Gajówka Bagieńskiego oddalona była o niecały kilometr od granicy. Otoczona lasem, położona była przy drodze prowadzącej na kolonię Laski, dalej w tym samym kierunku do wsi Gruszki i po rozgałęzieniu się do wsi Rubcowo.



Wołkusz – tak dziś wygląda gajówka Józefa Bagieńskiego ps. „Dąb II”

Z informacji „Dęba” wynikało, że granica musiała być naruszona, gdyż – jak twierdził – przed dwoma godzinami myszkował w pobliżu patrol sowiecki z za granicy. Żołnierze sowieccy interesowali się drogą na Rudawkę. Pomimo uprzedzenia o niebezpieczeństwie, postanowiłem skontaktować się z punktem Laski, z kolegą Dzietczykiem. Podążałem obrzeżem lasu równoległe do drogi, prowadzącej przez las do kolonii Laski-Lubinowo. Po przemarszu około kilometra wyszedłem na skraj lasu, mając przed sobą rozległą polanę nazywaną Laski-Lubinowo. W odległości około 300 m od ściany lasu, przy dalej biegnącej drodze, znajdowały się zabudowania rolników tejże kolonii. Większość zabudowań stała po prawej stronie drogi. Po lewej była tylko jedna zabudowa państwa Dzietczyków. Odległość między sąsiadującymi zagrodami wynosiła ok. 50-80 m. Obserwowałem przez pewien czas zagrody i teren, i nic nie budziło moich podejrzeń. Ruszyłem wolnym krokiem w kierunku zagród. Gdy uszedłem pół drogi, ze stodoły Dzietczyka wyszła cała grupa żołnierzy zajmując przy zagrodowym płocie stanowiska celownicze w moim kierunku. Pani Gienia Dzietczyk otworzyła okno od strony szczytowej domu i machając białymi chustami dawała znak cofania się. Widząc to wszystko, zrozumiałem, że grozi niebezpieczeństwo. Ostrzeżenie było jednak zbyt późne. Najmniejsza próba ucieczki w kierunku lasu oznaczała pewną śmierć. Byłem namierzony co najmniej na sześciu celownikach, zaś odległość do lasu wynosiła ponad 150 m. W moim umyśle zaczęły snuć się błyskawicznie plany wyjścia z tej niemalże beznadziejnej sytuacji. W pierwszej kolejności umysł jak gdyby nakazywał mi zachować absolutny spokój, nie wpaść w panikę. Dokumenty miałem odpowiednie – mieszkańca PRL, chociaż nie na swoje nazwisko. Istniała jednak obawa, że jeśli patrol jest ze strażnicy w Sołojewszczyźnie, to mogą być znajomi strażnicy, gdyż po stronie sowieckiej byłem przecież poszukiwany. Posiadali mój dokładny rysopis. Poza tym podczas aresztowania w lutym, początkowo byłem przetrzymywany w tejże strażnicy. Należy przypuszczać, że wszyscy strażnicy mnie w tym czasie widzieli. Przez nich byłem konwojowany do sztabu wojsk NKGB w majątku Radziwiłki. Któryś z nich

mógłby mnie z łatwością zidentyfikować. Gdybym nawet nie został rozpoznany, co by było, gdyby dokonując rewizji znaleźli za moim pasem pistolet vis? Upuścić go przez nogawkę, folgując pas, nie mogłem, gdyż byłoby to zaobserwowane – żołnierze nie spuszczały oczu z celowników, całą uwagę skierowali na mnie. Poza tym żal mi było z nim się rozstać. Rodzina Dzietczyków, a szczególnie pani Gienia dwoiła się i troiła, stojąc w głębi okna, dając znaki o niebezpieczeństwie i myśląc: „Czy ten człowiek zwariował? Czy kompletnie stracił głowę? Czy on tego nie rozumie, że mu dają znaki?”



Lubinowo-Laski – budynek Genowefy i Stanisława Dzietczyków

To, że tak właśnie myślała, opowiedziała mi przy późniejszym spotkaniu. Sam w owym czasie myślałem inaczej. Wiedziałem, że w tym właśnie momencie nie ma mowy o ucieczce w kierunku lasu, na odległość ponad 150 m. Należy tak się przybliżyć, żeby strzelcy nie mieli bezpośredniego pola ostrzału i dopiero wtedy coś zdziałać. Przez cały czas byłem obserwowany. Zachowałem spokój, udając, że wycelowana broń nie mnie dotyczy. Zbliżyłem się niemal na odległość dwukrotnej

szerokości drogi i w tej pozycji zostałem zasłonięty od strzelców domem mieszkalnym z lewej strony zagrody Dzietczyków. W tym momencie na moje spotkanie wyszedł prawdopodobnie dowódca patrolu, otwierając bramkę z podwórka do wyjścia na drogę. Na pierwszy rzut oka ucieszyłem się, widząc, że jest sam i z krótką bronią. Dał znak gestem ręki w kierunku lewej strony podwórka Dzietczyków i powiedział: „Chadzi siuda!” (Chodź tutaj). W tym czasie ja dochodziłem do zabudowy znajdującej się po prawej stronie i nadal spokojnie, bez najmniejszego pośpiechu, udając, że nie słyszę i nie zrozumiałem, skierowałem się na podwórko zagrody z prawej strony. W tej pozycji byłem kryty – zasłonięty domem mieszkalnym gospodarza Haponika i dopiero wtedy dałem susa przez podwórko i pod osłoną zabudowy – obór i stodoły, podążałem na skos do lasu. Wybierając kierunek na skos, miałem drogę dłuższą o 200 m niż w linii prostej, lecz nie byłem bezpośrednio na linii ostrzału ze stanowisk zajmowanych przez żołnierzy. Podoficer, jak się później okazało, najpierw wpadł do mieszkania, gdyż wejście było od strony podwórza. Zorientował się, że nikt nie wchodził, zarządził pościg w kierunku lasu. Wykorzystując ten moment zamieszania i mylnego tropu, zanim patrol wszczął pościg, znalazłem się niemal na skraju lasu. Żołnierze, dopadając do obrzeży lasu, najprawdopodobniej w obawie, czy ktoś nie kryje się na obrzeżu, wrzucili w zarośla dwa granaty. W chwili ich wybuchu byłem już w takiej odległości, że ani granaty, ani ostrzał z broni maszynowej nie zagrażały mi.

Zastanawiając się dziś nad sytuacją, w jakiej się wówczas znalazłem, dochodzę do wniosku, że tym razem dzięki Opatrzności Bożej i zimnej krwi udało mi się ująć z pułapki. Być może też dzięki modlitwie pani Dzietczyk, która – jak później powiedziała – modliła się w duchu o moje ocalenie, gdyż godzinę wcześniej, zanim się pojawiłem, pytano o mnie, podając moje nazwisko. Upłynęły dziesiątki lat od tego wydarzenia, mimo to przy każdym spotkaniu, rzucając się wzajemnie w przyjacielskie uściski, wracamy do tych przeżyć.

W chwili pisania tych wspomnień ś. p. Stanisław, mąż pani Gieni już nie żyje. Był uczciwym człowiekiem, dobrym Pola-



kiem i patriotą. Współpracował w walce z okupantami już od 1940 r. Był w stałym kontakcie z naszą grupą bohaterską, udzielał pomocy osobom przetrzucanym przez granicę, m.in. osadnikowi Zarzeckiemu z kolonii Prolejki. W pewnych momentach wspierał rodzinę Kłosowskich w Lubinowie, wspomagał przy przetrzuceniu z terenów okupowanych przez Niemców na tereny okupowane przez ZSRR uciekinierów narodowości żydowskiej.

### Oblawa lipcowa

Po tak niebezpiecznych wydarzeniach i bezustannych napięciach w krótkim czasie, postanowiłem – dla odprężenia – przebiec się na placówki Obwodu Suwalskiego. O powziętej decyzji poinformowałem łączniczkę na punkcie kontaktowym w Bartnikach, podając adres, gdzie w sprawach pilnych można było się ze mną kontaktować. Opuszczając IV rejon Obwodu Augustowskiego strefy przygranicznych placówek Kurianki i Lipska, zatrzymałem się w Obwodzie Suwalskim w rejonie placówek miasta.

Niestety, spokoju tam nie zastałem. Po parodniowym pobycie w Suwałkach, u wujenki Sztukowskiej przy ulicy Gałaja, w pierwszej połowie lipca dotarła do mnie łączniczka, zawiadamiając o rozpoczętej przez sowieckie wojska oblawie. Informacje potwierdziły się. W mieście zaczęły się pokazywać sowieckie samochody załadowane żołnierzami, zwiększył się ruch przy Powiatowym UB. Zaczęły się szerzyć pogłoski – potwierdzone – o sprawdzaniu mieszkańców Suwałk w oparciu o meldunki, przy współudziale MO i UB. Występowały liczne aresztowania mieszkańców miasta. Zostało potwierdzone, że były członek AK Marecki ps. „Kluska”, który był oddelegowany wcześniej na przewodnika zwiadu grupy „Orłowa” w rejon Kowna i w swoim czasie nie wrócił, obecnie uczestniczy w oblawie, paradując w mundurze sowieckiego lejtnanta z orderem Czerwonego Sztandaru, nadanym przez władze sowieckie. Organizacja AK przypisała mu za te czyny zdradę. Zapomniał, że nie tak dawno, kiedy był aresztowany przez Niemców i przetrzymywany w suwalskim szpitalu, koledzy z

oddziału „Romana”, narażając swoje życie, zorganizowali akcję, aby go ratować. Po przebraniu się w mundury SS uprowadzili go ze szpitala. Obecnie jego zachowanie budziło duże zastrzeżenia. Po pierwsze – Marecki nie powrócił do swego oddziału po wykonaniu zadania, po drugie – uczestniczył wraz z wojskami sowieckimi w obławie i aresztowaniach. Takie zarzuty zostały mu postawione przy wykonaniu wyroku. Niektóre osoby z jego najbliższego otoczenia komentowały, że Marecki zginął jakoby na skutek porachunków sąsiedzkich. Większość jednak potwierdza, że jedynie jego postępowanie było podstawą tego, co zaistniało. Do tego doszły ówczesne okoliczności, tj. masowe aresztowania przez sowieków mieszkańców Suwalszczyzny i Augustowszczyzny.

Reasumując fakty i opierając się na własnym instynkcie, zdecydowałem się Suwałki opuścić. Wyjechaliśmy razem z łączniczką rowerami ok. godz. 10-tej. Niestety, nie ujechaliśmy zbyt daleko, zaledwie ok. 5 km. W okolicy Płociczna zostaliśmy zatrzymani. W pierwszej kolejności zabezpieczono nam rowery tak, że więcej ich nie oglądaliśmy. Pod eskortą doprowadzono nas do miejscowości Strzelcowizna. Na skraju lasu, na uboczu, był tam ulokowany polowy sztab wojsk sowieckich. Było tam już kilka osób zatrzymanych. Po przekazaniu nas i złożeniu meldunku o miejscu zatrzymania poproszono mnie na przesłuchanie. Przesłuchania dokonywał oficer w stopniu majora, z tęgim brzuszkiem i niemającym, „przychylnym” nosem. Na żądanie pokazania dokumentów przedłożyłem im sowiecki paszport z 1940 r., wydany przez władze „grodzieńskiej oblasti”. Na widok tego dokumentu „bojcy”, którzy mnie konwojowali i żołnierze z najbliższego otoczenia zbiegli się: „Smotri, smotri, imiejiet ruski dokument!” (Patrz, patrz, posiada rosyjski dokument!). Padło pytanie: „Otkuda jewo imiejesz?” (Skąd go masz?). Odpowiedziałem, że w 1940r. ich władza go wydała – „paszportnyj stoł grodzieńskiej oblasti”. Na twierdzenie, że „germańcy zabirali” odpowiedziałem, że Niemcom nie oddałem. „Wiedziałem, że wy Niemców zwyciężycie i powrócicie na te tereny”. Dobry fachowiec mógłby się dopatrzeć, że mój dokument jest sfalszowany. Przy

pieczęci wyciskanej przy zdjęciu była drobna usterka. Dokument był wydany na nazwisko Wilczyński.

Po tej rozmowie kazano mi siadać. Major sięgnął po leżącą w pobliżu książkę w ciemnobrazowej skórzanej oprawie, grubości i rozmiarów segregatora. Okazało się, że był to skorowidz. Zorientowałem się, że zawiera spis nazwisk ułożonych alfabetycznie w dwóch kolumnach. Sprawdzanie trwało według mojej oceny co najmniej półtorej godziny. Po sprawdzeniu skorowidza wybrano trójkę z nas i pod eskortą dwóch „automatczyków” ruszyliśmy w dalszą drogę. Cały czas szliśmy przez las. Dokąd byliśmy prowadzeni, nie powiedziano nam.

Był z nami jeden człowiek zatrzymany również przed paroma godzinami. W porównaniu z moim ówczesnym wiekiem był starszy i wyglądał na gajowego. Wskazywało na to też jego ubranie. Obserwując go, zauważyłem, że coś kombinuje. Parokrotnie spojrzał na mnie jakby porozumiewawczym wzrokiem. Nie wiedziałem, co planuje, ale przypuszczałem, że zależy mu na ucieczce. Żadnych rozmów nie było nam wolno prowadzić. Ja sam nie miałem zamiaru uciekać, łudząc się, że nie ma podstaw do naszego zatrzymania i że powinni nas zwolnić. Tym niemniej myślałem, jak temu człowiekowi ułatwić ucieczkę. Droga w dalszym ciągu prowadziła przez las. Szliśmy przeważnie prawą stroną koleiny. W pewnym momencie, kiedy las był bardziej zagęszczony, lekko zwolniłem, zbaczając parę kroków w lewo i twierdząc, że muszę zatrzymać się „za potrzebą”. Żołnierze zwrócili na mnie uwagę, nieznajomy kolega niedoli wykorzystał to, dał raptem susa w las po prawej stronie. Jeden z żołnierzy posłał krótką serię z pepeszy w kierunku uciekającego, krzycząc „Stój!”. Uciekający nie zatrzymał się jednak. Żołnierz zaprzestał dalszej pogoni i niezwłocznie wrócił do nas. Nie wiem, czy uciekinier został trafiony, najprawdopodobniej nie. Czy nie wpadł ponownie. Nie było możliwości wymienić nazwisk. Ciekaw jestem, czy żyje. Chętnie bym się z nim spotkał.

W końcu wyszliśmy z leśnej drogi do szosy. Zorientowałem się, że jest to szosa łącząca Augustów i Sejny. Po pewnym czasie zaczęły ukazywać się wiejskie zabudowania. Zboczyliśmy w prawo i znaleźliśmy się we wsi Frącki. Ulokowano nas

w stodole. Jak się okazało była to zagroda L. Sztabińskiego. W obrębie zabudowań mieścił się sztab NKWD. W stodole było pełno ludzi. Wartownicy-żołnierze stali w drzwiach i dookoła zagrody, ze stodoły nikogo nie wypuszczano. Stale byliśmy pod eskortą nadzorującą, jedynie co jakiś czas żołnierze przyprowadzali ludzi z przesłuchań, zabierając innych i doprowadzając do domu mieszkalnego tego gospodarstwa, w celu składania zeznań. Wszystko wskazywało, że gospodarze domu musieli być przesiedleni. Mną w tym dniu nikt się nie interesował. Zbliżał się wieczór, żołnierze przynieśli wiadra z gorącą kawą. Zgłaszającym się podawali ją w aluminiowych kubkach. Większość ludzi nie piła, byli to mieszkańcy pobliskich okolic. Ja sam skorzystałem. Przemarsz pieszo w jednym dniu z Płociczna pod Suwałkami do Strzelcowizny, a następnie do Frącek, zaostriżył apetyt, szczególnie do picia. Czułem się zmęczony.

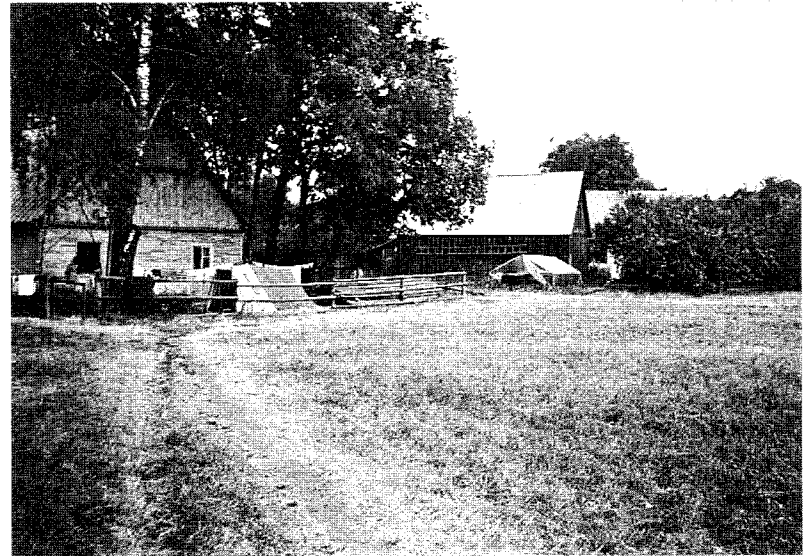
Lipcowy dzień był słoneczny, pogodny i ciepły. Frącki są położone ok. 6 km od Gib, od Sejn ok. 14 km. Wieczorem zaczęliśmy się zaznajamiać i opowiadać kto, skąd i w jakich okolicznościach został zatrzymany. Według obecnych tam ludzi każda wieś została (i jest nadal) otoczona przez wojska sowieckie. Wszyscy mężczyźni i niektóre kobiety są zatrzymywani i przesłuchiwani na okoliczność współpracy z organizacją i oddziałami AK.

Po przenocowaniu w stodole, następnego dnia i ja również zostałem doprowadzony na przesłuchanie przez oficerów. Było ono krótsze niż czekanie na sprawdzenie skorowidza w Strzelcowiznie. Tak jak i uprzednio podałem okoliczności, w jakich znalazłem się w zasięgu obławy. Przypuszczalnie gdzieś po trzech kwadransach zostałem odprowadzony do stodoły i zabrano następnych na przesłuchanie. Z terenu doprowadzano coraz to nowych ludzi. Obserwując to wszystko, zauważyłem, że nie wszyscy po przesłuchaniu wracają do stodoły. Część była kierowana do innych pomieszczeń, w tym niektórzy do obory. Zaczęły nawet szerzyć się pogłoski, że niektórzy są zamykani w piwnicy. Wyraźnie więc zatrzymanych segregowano. Następnego dnia byłem ponownie przesłuchiwany i ponownie odprowa-

dzony do stodoły. Nie traciłem nadziei. Dochodziło coraz więcej zatrzymanych ludzi, liczba osób w stodole wzrastała. Wśród zatrzymanych było kilku rzemieślników: krawcy, szewcy. Zarzucano im współpracę z oddziałami AK, ponieważ czasem świadczyli swoje usługi partyzantom. Sowieccy żołnierze mieli dobre rozeznanie, co do tej sprawy. Rzemieślnicy tłumaczyli, że musieli wykonywać swoje usługi dla wszystkich, wykonywali je też dla sowieckich partyzantów z oddziału „Orłowa”.

Przed zagrodę przychodziły przeważnie starsze kobiety, matki, a nawet i dzieci z paczkami żywnościowymi dla zatrzymanych. Nie dla wszystkich były przyjmowane. Trzeciego dnia mego pobytu w stodole, z samego rana, zaczęto wzywać na krótsze przesłuchania, szczególnie tych, których zwalniano. W tej grupie i ja się znalazłem. Razem ze mną został zwolniony jeden mieszkaniec Płaskiej i parę osób z sąsiednich wsi. Nazwiska mieszkańca wsi Płaskiej nie pamiętam, jego żona, która tam przebywała od kilku dni miała na imię Helena. Przy zwolnieniach żadnych przepustek nie wydawano. Zdarzały się wypadki, że niektórzy po zwolnieniu nie uszli nawet kilometra i ponownie byli zatrzymywani. Sam trzymałem się grupy z okolic Płaskiej i Górczycy, gdyż to był mój kierunek. Szedłem w tym towarzystwie, razem z kobietami i jakoś ponownie nas nie zatrzymano.

Wychodząc z Frącek, tuż prawie na moście, spotkałem dwóch żołnierzy sowieckich prowadzących młodego człowieka. Był boso, bez czapki, w zielonych spodniach, z mundurem w rękę. Na widok ten niemal znieruchomiałem. Opuściłem głowę, lekko zwracając w drugą stronę, niby do pani Heleny w obawie, aby ten młody człowiek nie powiedział przypadkiem: „Cześć, Palma!”, jak to zwykł był czynić przy spotkaniach. Był to kolega „Rymwid” – Jan Wydrycki z Okręgu Nowogrodzkiego, którego razem z bratem Aleksandrem Wydryckim „Granitem” przeczuciliśmy do oddziałów leśnych Okręgu Augustowskiego. Było to ostatnie spotkanie z „Rymwidem”. Do dnia dzisiejszego nikt ze znajomych i z rodziny nigdy go nie widział.



Frącki – w tym budynku mieścił się sztab NKWD. Tu dokonywano przesłuchań



Frącki – stodoła, w której więziono osoby zatrzymane przez NKWD w czasie obławy

Potwierdził to jego brat Aleksander parę lat później, gdy spotkałem się z nim po wyjściu z więzienia. Aleksander Wydrycki był skazany w 1946 r. przez władze PRL za przynależność organizacyjną do AK jako organizacji nielegalnej, mającej na celu obalenie demokratycznego ustroju PRL. Został skazany wyrokiem Rejonowego Sądu Wojskowego w Białymstoku (nr akt: R. 261/46) z art. 87 na 6 lat więzienia, z art. 4 dekretu z 1944 r. na 5 lat i z art. 259 KK na karę 7 lat – wymierzono mu łącznie karę 8 lat więzienia i 5 lat pozbawienia praw obywatelskich. Karę odbywał w więzieniu we Wronkach. Spotkanie z Aleksandrem odbyło się w Białymstoku. Z jego wypowiedzi wynikało, że wszelkie kontakty z Janem ps. „Rymwid” zostały przerwane w 1945 r. po lipcowej obławie wojsk sowieckich.

Według naszych przypuszczeń, w oparciu o moją relację z tego, w jakiej sytuacji widziałem ostatni raz Jana Wydryckiego, został on zatrzymany podczas obławy i doprowadzony na punkt śledczy NKWD we Frąckach. Potwierdza się, że stał się jeszcze jedną ofiarą obławy i należy go zaliczyć do straconych mieszkańców Suwalszczyzny. Na liście ofiar Komitetu Poszukiwanych nie ujęto jego nazwiska.

Opuściwszy Frącki, podążaliśmy w obranym kierunku. Zależało mi, aby dostać się do wsi Mikaszówka, poza kanał Augustowski w okolice wsi Gruszki, gdzie mi już niemal wszystkie dróżki leśne były znane. W Mikaszówce, jak się okazało, nadal było sporo żołnierzy sowieckich. Patrole stały wzdłuż kanału i na moście w Mikaszówce. W dalszym ciągu nie wolno było przechodzić poza strzeżoną linię na drugi brzeg kanału. Linia zaplecza stopniowo była zwalniana dopiero po przeprowadzeniu penetracji terenu i wówczas zezwalało mieszkańcom Suwalszczyzny na swobodniejsze poruszanie się. Zasada ta była mi znana, ale udając, że o niczym nie wiem, szedłem wprost na most, próbując przedostać się na drugą stronę, poza linię obławy. Zostałem jednak zatrzymany przez patrol. Moje wyjaśnienia, że byłem zwolniony w Strzelcowiźnie i we Frąckach, nie przekonały patroli sowieckich. Zostałem skierowany do sołtysa w celu zakwaterowania do chwili, aż

linia kontrolna zaplecza obławy przesunie się dalej. Gdy wyjaśniłem sołtysowi, że zostałem do niego wysłany, odrzekł: „Nie jest pan pierwszy” i zaproponował, że mogę zostać u niego. Nie wiem, dlaczego mnie tak potraktował. Nie wyglądało na to, aby mnie znał lub ja jego. Z przyjemnością wyraziłem zgodę, dodając, że nie będę dokuczliwy i o ile można – wolałbym w stodole na sianku zaczekać, aż teren zostanie odblokowany.

Przebywałem u sołtysa przez dwa dni. Jego rodzina częstowała posiłkami, miałem całkowite wyżywienie. Posiadałem parę złotych w zapasie i chciałem zapłacić, jednak nie przyjęto ode mnie ani grosza. Do dnia dzisiejszego czuję się zobowiązany wobec sołtysa i jego rodziny. Przed paroma laty postanowiłem ich odwiedzić i wynagrodzić. Niestety, jak się okazało, za późno. Sołtys zmarł, rodzina wyprowadziła się z Mikaszówki.

Gdy tylko patrole zeszły z zajmowanych stanowisk, co umożliwiło mieszkańcom swobodniejsze poruszanie się, postanowiłem wykorzystać ten moment. Niezwłocznie opuściłem Mikaszówkę, udając się w kierunku wsi Gruszki, poza zaplecze obławy. Jeszcze tego samego dnia późnym wieczorem dotarłem do strefy przygranicznej w rejonie wsi Starożyńce – strefy poza obławą. Po pewnym czasie dotarła do mnie wiadomość, że podczas pobytu we wsi Mikaszówka, pomimo, że tylko raz wyszedłem od sołtysa, najprawdopodobniej zostałem rozpoznany. Musiał mnie zobaczyć jakiś szpicel i zameldować sowietom, gdyż w Mikaszówce, jak to się pospolicie mówi, przewracano wszystko do góry nogami. Część żołnierzy sowieckich cofnęła się z powrotem do wsi. W każdym domu została przeprowadzona rewizja, nawet na plebanii. Gdyby moje wyjście było opóźnione o godzinę, spotkałby mnie zapewne taki sam los jak kolegę „Rymwida” i setki innych mieszkańców tych terenów.

Z pierwszych obserwacji wynikało, że obławy dokonały wojska III-go Frontu Białoruskiego, cofające się spod Berlina po kapitulacji Niemiec, przy współudziale grup kontrwywiadu „Smiersz”. Obławę tę nazywano pospolicie „lipcową”. Zostały nią objęte tereny od granicy polsko-sowieckiej, równoległe z szosą biegnącą z Grodna na Dąbrowę (zwaną uprzednio Gro-

dzieńską, obecnie Białostocką), zaczynając tuż od Nowego Dworu poprzez Sztabin – Kolnicę – Białobrzegi po Augustów. Równocześnie z biegiem szosy Grodno – Augustów przez Kuriankę na Lipsk, zaczynając od przygranicznych miejscowości takich jak Lipszczany, Rygałówka, Kopczany do obrzeży Puszczy Augustowskiej. Z rejonu Augustowa kierowano się na północ w rejon Suwałk i przez okoliczne tereny aż po Wiżajny. Obława objęła więc całą połąć terenów północno-wschodnich, przylegających do granicy ZSRR, łącznie z całą Puszcza Augustowską. Penetrowano teren dokonując licznych aresztowań we wszystkich wsiach, położonych na wyżej określonym terenie. Aresztowania nie ominęły też mieszkańców Suwałk i Augustowa.

Wszystko wskazuje na to, że lipcowa obława nie była przypadkowa, jak wstępnie przypuszczano. Ze względu na zasięg i podejmowane działania, była starannie zaplanowana i rozpracowana w szczegółach. Opisany zasięg potwierdzony został przez rodziny, zgłaszające swoich bliskich i znajomych, którzy w owym czasie byli aresztowani, do Obywatelskiego Komitetu Poszukiwanych Mieszkańców Suwalszczyzny. Komitet Poszukiwanych oficjalną działalność rozpoczął dopiero w 1987 r. Wcześniej sprawa ta przez władze PRL była traktowana jak „tabu”. Rodziny, interesujące się losem aresztowanych krewnych, były szykanowane przez UB. Z napływających do Komitetu danych wynika, że podczas aresztowań i przesłuchań zatrzymano ponad 600 osób, które zaginęły bez wieści<sup>31</sup>. Opracowana przez Komitet lista osób zaginionych nie jest pełna. W czasie obławy zatrzymano wiele osób samotnych

<sup>31</sup> Sporą część zatrzymanych zwolniono, ale lista ofiar tej tragicznej obławy i miejsce ich wiecznego spoczynku nie są do dziś znane. Strona rosyjska przyznała oficjalnie, że aresztowano wtedy 592 obywateli polskich, po których ślad zaginął. W piśmie do Ambasady RP w Moskwie z 4 I 1995 r. Główna Prokuratura Wojskowa Federacji Rosyjskiej stwierdziła: „Tak więc z powodu braku niezbędnej dokumentacji, nie jest możliwe obiektywne ustalenie dalszych losów i środków przedsięwziętych wobec 592 obywateli polskich aresztowanych w czasie operacji wojskowej, przeprowadzonej przez jednostki i pododdziały 3 Frontu Białoruskiego w okresie od 12 do 19 lipca 1945 r. na terytorium województwa białostockiego” („Sybirak” 1995, nr 13, s. 23-25).

i pochodzących spoza terenów Suwalszczyzny, których zaginięcia nie miał i nie ma kto zgłosić. Przykładem może być wspomniany tu Jan Wydrycki, ps. „Rymwid” z Okręgu Nowogródzkiego. Jego brat Aleksander zmarł w 1983 r., a więc przed rozpoczęciem oficjalnej działalności Komitetu Poszukiwanych. Reszta rodziny mieszka do dziś w okolicach miejscowości Stołpce i Mińsk, na obecnej Białorusi. Na terenie Puszczy Augustowskiej, w oddziałach leśnych, byli liczni partyzanci z terenów okupowanych przez sowietów, z Grodzieńszczyzny i z Okręgu Wileńskiego, których zaginięcia nikt nie zgłosił.

Według mojej oceny decyzję o zorganizowaniu obławy podjęto na wysokim szczeblu władz sowieckich, obławę dokładnie zaplanowano i przygotowano. Dowodem tego jest chociażby sam fakt sporządzenia skorowidza nazwisk w elegancznej, skórzanej oprawie, którym posługiwał się major NKWD w sztabie polowym w lipcu 1945 r. we wsi Strzelcowizna, co widziałem na własne oczy podczas przesłuchania<sup>32</sup>. Jestem święcie przekonany, że moje prawdziwe nazwisko figurowało w skorowidzu, gdyż po ucieczce z Grodna byłem przez NKWD poszukiwany. Paszport (dowód osobisty) wydany przez władze sowieckie na nazwisko Wilczyński (syn Kazimierza, były „predsiedatiel” wsi Bohatery), którym się posługiwałem, być może uratował mi życie, gdyż żołnierze sowieccy byli zaskoczeni tym, że go zachowałem. Natomiast skorowidz musiał na pewno być sporządzony na wysokim szczeblu sowieckiej władzy i to nie w jednym egzemplarzu. Opracowane wówczas dokumenty na pewno znajdują się w archiwach NKWD, a widziany przeze mnie skorowidz mógłby wiele wyjaśnić na temat losów osób zaginionych w lipcu 1945 r.

Relacjonując przeżycia z okresu obławy nie sposób pominąć jeszcze jednego faktu. Podczas mojego pobytu we Frąckach przyjechał tam oficer polski, który mówił po polsku i był w polskim mundurze. Cel jego przyjazdu oraz jego nazwisko

<sup>32</sup> Rozpracowywaniem polskiego podziemia zajmował się m.in. wspomniany wcześniej oddział „Orłowa” i inne grupy partyzantki sowieckiej, a później NKWD i UB.

nie są mi znane do dzisiejszego dnia. Natomiast mogę stwierdzić z całą pewnością, że był we Frąckach w otoczeniu oficerów sowieckich, gdyż widziałem to na własne oczy.

Natomiast co do losów mieszkańców Suwalszczyzny, którzy w lipcu 1945 r. zaginęli bez wieści i nic o nich nie wiadomo do dzisiejszego dnia, sądzę, że zostali oni zamordowani, ale ich ciała nie znajdują się ani na Suwalszczyźnie, ani nawet na obecnych terenach Polski. W zbiorowych mogiłach odkrytych koło Gib nie spoczywają ludzie zabrani podczas oblawy (choć społeczeństwo nadal temu nie dowierza). Mogą to być jedynie pojedyncze osoby zabite podczas konwoju do punktów zbiorczych lub przy próbach ucieczki. Pozostaje niewyjaśniona sprawa znalezionych w kwietniu 1946 r., w lesie w pobliżu Sajenka, przeszło 20 zwłok z rękami powiązanych kablem, z postrzałami w głowę i w piersi. W grupie rozpoznani zostali przez kuzynkę Sabinę A. bracia Karpowie z Jasionowa k/Krasnegoboru. Byli oni aresztowani w lipcu 1945 r. i przetrzymywani w PUBP w Augustowie przy ul. 3-go Maja 16 (w gmachu „Turka”) – Antoni i Jan, zaś Edward był przetrzymywany przy ul. Nadbrzeżnej w prowizorycznym areszcie NKWD. I właśnie zwłok Edwarda w lesie w pobliżu Sajenka nie znaleziono. Ciała Antoniego i Jana zostały pochowane przez kuzynkę Sabinę A.

Sądzę natomiast, że te osoby, które były aresztowane w czasie oblawy i przetrzymywane przez NKWD w stodołach, oborach, piwnicach itp. zostały załadowane na samochody i wywiezione poza teren Polski. Wystarczy przyjrzeć się oblawie i obranemu kierunkowi jej wszczenia. Wiadomo, że była ona starannie zaplanowana. Tym samym zaplanowany został los skazańców i ich docelowa baza. Bazą koncentracji jednostek zaplecza było Grodno. Baza zaopatrzeniowa – paliw itp. również miała powiązanie z Grodnem. Odległość z miejscowości przygranicznych po stronie polskiej, takich jak Lipszczany-Rygałówka, od Grodna po szosie Grodno-Augustów – to niecałe 20 km. Słynne z powodu morderstw forty Naumowicze koło Grodna są położone jeszcze bliżej, jeśli jechać z terenu Suwalszczyzny przez Sopoćkinie. Na fortach Naumowicze Niemcy dokonywali masowych morderstw. 13 lipca 1943 r. Niemcy

dokonali tam egzekucji 50 mieszkańców gminy Lipsk, o której już wcześniej pisałem. Przez cały czas okupacji niemieckiej w Naumowiczach byli rozstrzeliwani zakładnicy więzieni przez gestapo grodzieńskie oraz zakładnicy z innych terenów. Należy przypuszczać, że istniejące tam groby zostały powiększone o mieszkańców Suwalszczyzny zatrzymanych przez NKWD podczas oblawy w lipcu 1945 r. W owym czasie i niemal do ostatnich lat forty Naumowicze były obiektem strzeżonym, objętym tajemnicą. Według relacji znajomych, którzy odwiedzali rodziny na Grodzieńszczyźnie, byli oni uprzedzani przez krewnych, aby podczas przejazdu autobusem po trasie Grodno-Sopoćkinie na odcinku Naumowicze nie kierowali wzroku w kierunku fortów. Zdarzały się wypadki, że pasażerowie nic nie wiedząc i gapiąc się w tym kierunku byli legitymowani podczas wysiadania przez tajne służby, które dokonywały obserwacji pasażerów podczas podróży. Niektórzy mieszkańcy tamtych terenów twierdzili, że w tej okolicy była rozmieszczana broń raketowa. Mogło być jedno i drugie.

Obecnie tereny te, w części „wałów grobowych” czyli w miejscu dokonywanych morderstw, rzekomo tylko przez Niemców, można zwiedzać. Został tam nawet wzniesiony pomnik z napisami informującymi o masowych morderstwach dokonywanych na ludności cywilnej przez faszystów niemieckich. Według moich informacji i oceny czas powrotu samochodów odwożących ludzi po ich rozładowaniu, odpowiadałby odległości do Naumowicz. Na przykład samochody, powracające po rozładowaniu ludzi przetrzymywanych w chlewku w zagrodzie państwa Fimowiczów w miejscowości Giby i wywiezionych tuż przed świtem pewnego lipcowego dnia, wskazują tą właśnie odległość.

Wobec powyższych faktów należałoby przyjąć, że mieszkańcy Suwalszczyzny aresztowani podczas oblawy w lipcu 1945 r. spoczywają w masowych grobach w fortach na terenie Naumowicz koło Grodna, powiększając liczbę Polaków pomordowanych przez gestapo w latach okupacji niemieckiej. Według oceny Obywatelskiego Komitetu Poszukiwanych, z aresztowanych w czasie oblawy lipcowej kilku tysięcy osób nie powróciło do swych rodzin ponad 800; zaginęli też ludzie

spoza Suwalszczyzny. Pomimo licznych interwencji społeczeństwa oraz Komitetu Obywatelskiego, sprawa mieszkańców Suwalszczyzny aresztowanych przez NKWD nadal nie jest wyjaśniona. Okryta jest tajemnicą, gdyż zapewne wiąże się z czymś najgorszym, czyli z mordem.



Golgota Gibiańska

Mieszkańcy Suwalszczyzny dla upamiętnienia zaginionych, których groby nie są znane, założyli cmentarzysko w miejscowości Giby, nazwane „Golgotą Gibiańską”. Na wzgórzu postawiono wysoki krzyż. Członkowie rodzin osób zaginionych ułożyli wokół krzyża głazy. Każdy kamień symbolizuje osobę zaginioną w czasie masowych aresztowań przez NKWD w lipcu 1945 r. Na kamiennej tablicy wyryto napis: „Zginęli bo byli Polakami. Męczennikom za wiarę i Ojczyznę”.

### Nielegalne rekwizycje

Po nieomal cudownym wyjściu z oblawy (dziś to tak należy ocenić) zatrzymałem się w rejonie miejscowości Kurianki – Lipsk z zamiarem uporządkowania moich spraw osobistych. Planowałem przenieść się na tzw. Ziemie Odzyskane. Gdybym pozostał w strefie granicznej, w obrębie placówek IV Rejonu, położonych na terenie PRL i ZSRR, ze względu na profil mojej działalności (specjalna grupa do spraw łączności i zwiadu), będę narażony podobnie, jak dotychczas. Problemy, z którymi się zetknąłem, jako z zadaniami dla mojej grupy, będą nadal występować, może w nieco mniejszym zakresie. Natomiast jest mi wiadomo, że zaliczam się do tzw. „spalonych”. Po różnych zajściach na terenach okupowanych przez ZSRR, po ucieczce z Grodna i oblawie, NKWD poszukuje mnie na całej Grodzieńszczyźnie. Powiatowemu UB w Augustowie zlecono poszukiwania na terenach PRL. Tu należy dodać, że przy każdym Powiatowym Urzędzie Bezpieczeństwa był doradca sowiecki wywodzący się ze służb NKWD. Pełnili oni przeważnie funkcję zastępców szefów bezpieczeństwa. Doradcy sowieccy byli też oczywiście w UB w Augustowie i w Suwałkach.

Brałem również pod uwagę fakt, że w czerwcu 1945 r. podczas aresztowania i przesłuchania ojca po mojej ucieczce z otoczonego domu w Bohaterach, funkcjonariusze NKWD w sztabie w Radziwiłkach zapowiedzieli: „On nam nie ujdzie, kuda on by nie był”. Wszczęta wówczas oblawa, w której brało udział ponad 1500 żołnierzy różnych formacji, nie przyniosła

rezultatu, ale NKWD nie zrezygnowało. W sierpniu 1945 r. dotarła do mnie korespondencja z Bohater, przekazana przez siostrę Janinę. Ostrzeżono mnie, abym miał się na baczności, gdyż sowietci planują przejść granicę na teren PRL, aby mnie uprowadzić do ZSRR. O tych zamiarach siostra została poinformowana przez strażnika pogranicza o nazwisku Pietrow. Pietrow doniósł, że w przygranicznej wsi Kopczany, po stronie polskiej, ma się odbyć „swadźba” (wesele), na którą ma być zaproszona moja „uchażorka” (narzeczona). NKWD przypuszcza więc, że i ja tam mogę być. Planuje więc wysłać tam patrol pod dowództwem przedstawiciela NKWD z rejonu.

Meldunek zdążył dotrzeć przed zapowiedzianą datą. Po przejrzeniu go doszedłem do wniosku, że jeśli dane pochodzą od Pietrowa, mogą być wiarygodne. Przed moim pierwszym aresztowaniem byłem parokrotnie uprzedzany przez Pietrowa, co zawsze okazywało się prawdą. Postanowiłem więc i tym razem zorientować się, co do wiarygodności informacji. Wstępne rozpoznanie wykazało, że faktycznie w Kopczanach ma być wesele z ogólną zabawą dla młodzieży, i że przez pannę młodą Marię Danilczyk zaproszona została jako drużna kol. „Cicha”. W tej miejscowości miałem znajomych, którzy już uprzednio zapraszali mnie parokrotnie w odwiedziny. Między innymi państwo M., którzy mieli ładną pasiekę, zapraszali na miód. Zamierzałem więc wykorzystać tę okoliczność w czasie wesela. Wtajemniczyłem kilku kolegów. Wyjechaliśmy tak, aby być na miejscu o zachodzie słońca. Odjeżdżając, na wszelki wypadek wcisnąłem za pas visa. Po przyjeździe do Kopczan uprzedziłem kilku miejscowych kolegów o mającym nastąpić przybyciu sowietów z zagranicy. Należy się więc mieć na baczności podczas zabawy. Na wszelki wypadek zostały więc ustawione czujki w celu obserwacji – dwóch chłopaków tuż przed domem zabaw, dwóch opodal, na drodze, w zasięgu wzroku. Po niespełna godzinnym pobycie, przybył znajomy M. zapraszając mnie z kilkoma kolegami na kolację. Odchodząc do państwa M. powiedziałem kol. „Cichej”, gdzie będzie kolacja i poprosiłem, aby mnie powiadomić w wypadku przybycia patrolu sowieckiego.

Kolacja u państwa M. przy suto zastawionym stole, z żytniówką zaprawioną miodem, przeciągała się. Ok. godz. 23-jej wpadły zadyszane i spocone koleżanki, informując o przybyciu patrolu sowieckich pograniczników. Z ich relacji wynikało, że na razie nikogo nie legitymowali. Dało się jednak zauważyć, że prowadzą obserwację wzrokową obecnych, nie wypuszczając nikogo na zewnątrz, gdyż przy drzwiach ustawili wartownika. Koleżanki miały kłopot z wyjściem. Tylko dzięki stanowczemu żądaniu, że bezwzględnie potrzebują wyjść za swoją potrzebą – „Jeżeli towarzyszc nie puszczajet, puść dajot swój szlom, takda nie pajdziom” (Jeśli towarzysze nas nie chce puścić, to niech da swoją czapkę, wtedy nie będziemy wychodzić). Przy tak postawionej sprawie wartownik wypuścił je – były to „Cicha” i jej koleżanka.

Po przekazaniu informacji powróciły na salę zabaw. Zanim skończyła się kolacja, minęła północ. Towarzystwo stopniowo zaczęło się rozchodzić. Żytniówka z miodem odniosła swoje skutki. Ja sam wystrzegałem się, aby nie przebrać miarki. Korciła mnie sprawa sowieckiego patrolu i postępowania żołnierzy. Skoro nikogo nie legitymowali, musiał być między nimi strażnik, który mnie znał. Albo też po stronie polskiej był szpicel, który mógłby mnie wskazać i zdekonspirować. Podjąłem decyzję, aby pójść do domu, gdzie była zabawa i sprawdzić bezpośrednio. Nie wiem, jaki byłby efekt tej decyzji. Dochodząc do zagrody w pobliżu domu zabaw, spotkałem koleżanki (siostrzyczki Marię i Felicję Danilczyk, z przydomkiem „Szustowe”), które wracały, zawracając jednocześnie i mnie. Twierdziły, że wszyscy się rozeszli, one wyszły ostatnie, sala została pusta. Z chwilą umożliwienia przez sowietów swobodnego wychodzenia z domu, młodzież rozeszła się, rezygnując z zabawy pod okiem sowieckich strażników. Nie wiem, czym się one kierowały, gdyż, mimo że nie wspominałem o noclegu, zaprosiły mnie do siebie. Ze względu na późną porę wyraziłem zgodę, chociaż nie łączyła mnie bliższa znajomość ani z nimi, ani z ich rodziną. Okazano mi jednak serdeczną życzliwość. Po przespaniu nocy, zaproszono mnie następnego dnia na śniadaku.



nie. Około godz. 9-tej pożegnałem się, dziękując serdecznie za miłą i bezinteresowną gościnność.

Potwierdziły się więc fakty ostrzegawcze. Patrol sowiecki rzeczywiście przekroczył granicę. Wszystko wskazywało na to, że NKWD nie zrezygnowało z planów aresztowania mnie, nawet na terenie Polski. Przebywanie w strefie granicznej niosło więc podwójne zagrożenie – ze strony służb UB i ze strony funkcjonariuszy NKWD. W związku z tym należało tereny przygraniczne niezwłocznie opuścić. Tym bardziej, że większość ludzi, którym groziło niebezpieczeństwo z przyczyn przynależności do AK z IV i V-go rejonu, została z terenów okupowanych przez ZSRR już przerzucona na tereny polskie. Postanowiłem nie zwlekać z opuszczeniem terenów przygranicznych, byłem już zresztą do odejścia przygotowany.

Niestety, wyłoniła się nowa przeszkoda. Zostałem zaproszony do uczestniczenia w naradzie, która odbyła się na kolonii Kurianki u kolegi „Dziewanowskiego”. Uczestniczyli w niej dowódcy plutonów, członkowie kedywu, dowódcy drużyn placówek przygranicznych z części IV rejonu. Głównym zagadnieniem była sprawa „rekwizycji”. Pomimo rozwiązania oddziałów partyzanckich AK w terenie nadal pojawiały się rekwizycje na rzecz partyzantów. Do kierownictwa placówek terenowych, m.in. do kolegi „Dziewanowskiego”, napływały skargi od mieszkańców na bezustanne rekwizycje przeradzające się niemal w rabunki. Część mieszkańców przekazywała meldunki na posterunek MO w Lipsku. Milicjanci nie przejmowali się w owym czasie za wiele takimi sprawami, wychodząc z założenia: im gorzej, tym lepiej. Należało temu zapobiec we własnym zakresie, wzmóc dyscyplinę wśród członków AK, podjąć wszelkie możliwe wysiłki w celu wyeliminowania grup działających nielegalnie, posuwając się nawet do egzekucji. Wypowiadając swoje zdanie na ten temat oświadczyłem: „Działajcie beze mnie, gdyż opuszczam te tereny w związku z wyjazdem na Ziemię Odzyskaną”. Pomimo prośby kol. „Dziewanowskiego” o odłożenie terminu wyjazdu i włączenie się w akcje, byłem zdecydowany nie przedłużać swego pobytu na terenie przygranicznym.

Tak by się stało, gdyby nie to, że przed odjazdem poszedłem pożegnać się z ciotką Stefanią (siostra mojej matki, zamężna za Czulewiczem, zamieszkała na kolonii Kurianki w sąsiedztwie „Dziewanowskiego” – Jana Biedula). Na mój widok ciotka Stefania niemalże od samego progu przywitała mnie słowami: „Józefku! Chyba cię Anioł Stróż tu skierował! Nie ma bodajże tygodnia, czasem częściej, przychodzą uzbrojeni ludzie, zabierają żywność i inne rzeczy. Ostatnio zabrali dywan. Przyglądali się maszynie do szycia, ciągle mówię mężowi, że trzeba ją schować, bo następnym razem mogą zabrać”.

Sluchając tego wszystkiego, postanowiłem zmienić plan, pozostać przez jakiś czas i obserwować. Do obiadu, na który zaprosiła mnie ciotka Stefania, było jeszcze parę godzin. Korzystając z tej okazji, starałem się uzyskać jak najwięcej informacji: wyglądu osób, uzbrojenia, tego, czy powtarzają się te same osoby, czy używają furmanki, jaki jest zaprzęg i maść konia itp. Wstępne dane wskazywały, że najprawdopodobniej działa tu grupa rabusiów podających się za partyzantów. Działają przeważnie na koloniach. Twarze nie zawsze były dobrze widziane, natomiast wzrost i liczba osób świadczyła o działającej grupie.

Następnego dnia zgłosiłem się do „Dziewanowskiego”, powiadamiając o zmianie decyzji i o włączeniu się do akcji rozpracowania nielegalnych „rabusiowych” rekwizycji. Korzystając z listy rolników, którzy zgłaszali rabunki, przeprowadziłem z nimi rozmowy. Okazało się, że tylko w nielicznych wypadkach można było wskazać ludzi z oddziałów partyzanckich. Pozostałe potwierdzały opisy osób, które były u ciotki Stefanii.

Nawiązując kontakty w terenie z członkami sieci organizacyjnej, którym można było zaufać, wszczęto obserwację. Ja sam zacząłem zmieniać miejsca pobytu w terenie. Po parodniowym, czasem tygodniowym, pobycie przenosiłem się do innej miejscowości w strefie przygranicznej, gdzie występowały rekwizycje; na koloniach Kurianki, Kopczany, Dulkowszczyzna, Bartniki, Starożyńce, Skieblewo itp.

Pewnego wieczoru, będąc we wsi Bartniki, przechodziłem obok zagrody, w której mieszkał na kawalerce trochę mi zna-

jomy Antoś Rakus. Poprosiłem, czy nie mógłby zorganizować na mój rachunek ćwiartki żytniówki. Znalazło się i pół litra, które do spółki skonsumowaliśmy. Po czym Antoni zaproponował mi nocleg, na co z przyjemnością wyraziłem zgodę. Kiedy przechodziłem obok tego domu, już korciło mnie, aby tam zanocować. Gospodarz przeznaczył pokój obok kuchni. Drzwi do kuchni były zasłonięte jakąś „kurtyną” – kocem. Sam poszedł spać do sąsiedniego pokoju. Zaledwie zdążyłem zasnąć, gdyż było to parę minut po północy, gdy wystraszony gospodarz zaczął mnie budzić przyciszonym głosem: „Panie, jacyś ludzie dobijają się do drzwi! Każą otwierać. Wygląda na to, że są uzbrojeni. Co robić?” Spytałem, ilu ich jest. Odpowiedział, że chyba dwóch. Poleciałem otworzyć. Na wszelki wypadek wprowadziłem do komory visa nabój, aby w każdej chwili był gotowy do strzału.

Antoni zapalił lampę na kuchni, odryglował drzwi od korytarza, zapraszając do środka. Samo zachowanie przybyszów było nienaganne. Nie wskazywało na rabusiów. „Dobry wieczór” – przywitali gospodarza i zwrócili się z pytaniem, czy nie mogliby się u niego posilić. Mieli słoninę, żytniówkę, prosili o chleb i szklaneczki, zapraszając jednocześnie gospodarza do współudziału. Po paru głębszych rozpoczęła się pogawędka. Zwrócili się do Antoniego z pytaniem, czy przypadkiem nie zna niejakiego Pawluczuka „Palmy” z Bohater Starych. Antoni znalazł się w niezręcznej sytuacji. Starając się z niej wybrnąć powiedział, że może zna z widzenia, ale po nazwisku to nie, tym bardziej po pseudonimie. Z chwilą zmniejszania się w manierce płynu ognistego pogawędka i różne tematy rozwinęły się na dobre. Przybysze ośmielili się przedstawić jako członkowie kedywu AK „Lampart” i „Orlicz”. Powiedzieli jednocześnie, że Pawluczyk interesuje się nimi i ich śledzi, podejrzewając o rekwizycje. Dodali, że jeśli gospodarz go spotka, może śmiało powiedzieć, że byli u niego: „Pawluczuka o nic pytać nie będziemy, jak zajdzie potrzeba, to zarekwirujemy, co nam będzie potrzebne”.

Był to dla mnie punkt kulminacyjny. Podniosłem się z kanapy odbezpieczając visa, odsłoniłem koc i z odległości nie

dalszej niż dwa metry z wymierzonym do strzału pistoletem podałem rozkaz: „Ręce do góry!” Zaskoczeni takim obrotem sprawy nie wiedzieli, jak się mają zachować i od czego zacząć. Zabezpieczyłem pepesze, które były odstawione i poleciłem, aby to, co mają przekazać „Palmie” referowali bezpośrednio, nie posługując się mieszkańcami. Zaczęli od słów: „Panie kolego...”. Przerwałem im, mówiąc, że byłem kolegą, ale w takich okolicznościach nie ma koleżeństwa, kolega może stać się sędzią i wykonawcą wyroku. Zbesztalem ich, przypominając o obowiązku zgłoszenia się i podporządkowania dowódcy danej placówki, jeśli znaleźli się na jej terenie. Może być przecież tak, że to, co im potrzebne, zostało zmagazynowane i mogą to otrzymać bez zabierania mieszkańcom. Poinformowałem ich o odbytej u „Dziewanowskiego” naradzie, zalecając jednocześnie włączenie się do akcji w celu wyeliminowania rabunków, dokonywanych pod pretekstem akcji partyzanckich. Uzyskane informacje należy przekazywać na punkt placówki Kurianki kol. „Dziewanowskiemu”, względnie mnie, aczkolwiek ze mną może być trudniejsze spotkanie. W takich to nieprzyjemnych okolicznościach rozstałem się z „Orliczem” i „Lampartem”, którzy żegnając gospodarza przeprosili za najście, dziękując jednocześnie za kolację.

Parę dni później spotkałem się z kol. „Dziewanowskim”, przekazując dotychczas uzyskane informacje i relację o spotkaniu z „Orliczem” i „Lampartem”, którzy – jak się okazało – wywodzili się z siódmej sopoćkińskiej kompanii.

Do następnego spotkania z kol. „Lampartem” – Wojciechem Siergiejem, doszło latem 1949 r. na Ziemiach Odzyskanych, w Pozezdrzu. „Lampart” w 1946 r. osiedlił się wraz z rodziną na terenie gminy Ryn, pow. Giżycko, zajmując gospodarstwo rolne. W 1947 r. w PUBP w Giżycku ujawnił swą działalność w AK. Po ujawnieniu się pozostaje, jak wszyscy członkowie AK, pod ścisłą obserwacją służb UB. W lipcu 1949 r. dochodzi do prowokacji zorganizowanej przez PUBP w Giżycku, w której brał udział gminny sekretarz PPR, w celu zdobycia pretekstu do aresztowania. Aby go uniknąć „Lampart” opuszcza swoje gospodarstwo i ukrywa się, a następnie

zgłasza się do mnie, licząc na pomoc w wyrobieniu dokumentów na przybrane nazwisko. Pomogłem mu. Pod nazwiskiem Stanisław Makowski przenosi się na tereny woj. szczecińskiego i podejmuje pracę w PGR-ach. Jednak mając świadomość, że jest ścigany przez UB, postanawia opuścić PRL. Przy drugiej próbie udaje mu się przejść granicę i przez Czechosłowację udaje się na Zachód. Osiedla się w Kanadzie. Po uzyskaniu obywatelstwa kanadyjskiego w 1960 r. odwiedza Polskę. Zawiera związek małżeński z Janiną Prolejko z Lipska. Pomimo przesłuchań przez SB z Giżycka, nie było podstaw do zatrzymania obywatela kanadyjskiego. Ponownie wyjechał do Kanady, a na stare lata powrócił wraz z żoną do Polski. Osiedlił się w Wilkasach koło Giżycka i tam zmarł. Pochowany jest na cmentarzu w Lipsku.

Opisując losy „Lamparta” wybiegłem daleko w przyszłość. Tymczasem, w owym 1945 r., dalej rozpracowywaliśmy działalność grup „rabuśniczych”. Czas nieubłaganie upływał, a wyniki były znikome. Napływające z siatek organizacyjno-konspiracyjnych meldunki nie wskazywały niczego konkretnego, z wyjątkiem rozpoznania osób, które posiadają broń oraz wojskowe umundurowanie. Między innymi ustalono, że kilku mieszkańców kolonii Kopczany – m.in. Jan Sulejko i Adolf Waszkiewicz – posiada karabiny i wojskowe ubranie. Obserwując ich nie stwierdzono, aby mogli je wykorzystywać do rabunku. W porozumieniu z dowódcą tamtejszego terenu kol. „Dziwanowskim” ustaliliśmy, że broń i umundurowanie należy jednak zarekwirować. Z końcem maja 1945 r. pięcioosobowy patrol – ja, „Głaz”, „Granit”, „Leszczyna” i „Wilk”, przeprowadził akcję w celu konfiskaty broni i umundurowania. Jedynie Jan Sulejko przekazał dobrowolnie posiadaną broń, natomiast Adolf Waszkiewicz wszystkiemu zaprzeczył. Przeprowadzona po bieżnie rewizja nie dała rezultatu, zarekwirowano jedynie umundurowanie wojskowe: płaszcz, mundur i bluzę.

W 1946 r. Adolf Waszkiewicz na procesie „Granita” i innych członków AK był głównym świadkiem oskarżenia. Określił wspomnianą akcję jako napad w celu rabunkowym, co nie było prawdą, bo akcja dotyczyła wyłącznie likwidacji broni.

Jeśli dobrowolnie tak zeznawał, to oskarżenia były niesłuszne. Natomiast Jan Sulejko zeznał zgodnie z prawdą, że chodziło o rekwizycję broni, którą dobrowolnie przekazał. Nie określił akcji jako napadu rabunkowego, tak jak to zrobił Waszkiewicz. Być może w toku przesłuchań przez służby UB podyktowano Waszkiewiczowi zeznania. Przesłuchania odbywały się w PUBP w Augustowie. Służyły oskarżeniu członków AK aresztowanych 17 grudnia 1945 i 12 stycznia 1946 r. Zawarte są m.in. w aktach sprawy Aleksandra Wydryckiego „Granita” (R-261/46) z dn. 7 maja 1946 r.

Co do dalszych działań – ustalono, że należy bacznie obserwować wieś i kolonię Starożyńce. Z tej miejscowości nie było meldunków o rabunkach i rekwizycjach. Kierując się starym przysłowiem: „Gdzie wilk się gnieździ, tam szkody nie robi”, postanowiono wzmocnić obserwacje w tym kierunku. Od pewnego czasu mieszkała tam moja kuzynka Kazimiera Kozłowska z miejscowości Markowce, która przeniosła się z terenów zajętych przez ZSRR do PRL, do swojej siostry Marii. Maria wyszła wcześniej za mąż za Stanisława Krzywickiego. W 1943 r. S. Krzywicki został rozstrzelany przez Niemców za współpracę z AK. Obie siostry mieszkały samotnie. Poza Kazimierą zaangażowałem również mieszkańców wsi Starożyńce – Piotra K. ps. „Kryśka” i Tadeusza Pankiewicza. Informacje od nich były przekazywane do mnie lub do „Głaza”. Na spotkaniu z wymienioną trójką, na podstawie obserwacji i domniemań, padły podejrzenia na braci Sobolewskich, pospolicie zwanych „Sobole”. Odpowiadał rysopis oraz wcześniej znane fakty złośliwego w wykonaniu tej rodziny. Należało wzmocnić obserwację. Sam nie mogłem tego dokonać, aby nie wzbudzać podejrzeń i nie wypłoszyć przedwcześnie. Ze wstępnych informacji wynikało, że Sobolewscy nie zawsze są uchwytni, gdyż mają tzw. „meliny” poza swoimi zabudowaniami. Należało więc wprowadzić w ich otoczenie tzw. „wtyczkę”. Za pośrednictwem Kazi udało mi się nawiązać kontakt z młodym chłopakiem ze wsi Starożyńce, który podjął się tego zadania. Informacje miał przekazywać przede wszystkim Kazi, gdyż spotkania młodej dziewczyny z młodym chłopakiem nie wzbudzały podejrzeń. Udzieli-

łem mu instruktażu, zaleciłem nawiązać koleżeńskie stosunki, od czasu do czasu nawet zaproponować kielicha.

Przypuszczenia były trafne. Po pewnym czasie zaproponowano mu udział w wypadzie, na co wyraził zgodę. Relację z przebiegu akcji przekazał Kazi, a ona z kolei przekazała ją mnie. Wynikało z niej, że w napadach biorą udział bracia „Sobole” i ich szwagier Krysiuk, który służył furmanką. Ujęcie grupy rabusiów było jednak trudne, ze względu na zmiany miejsca pobytu. Omawiając plan działania z kol. „Dziewanowskim” zaproponowałem, aby likwidacji bandy dokonać w toku akcji, na „gorącym uczynku”, ale tak, aby nie zagroziło to życiu kolegi „wtyczki”. Pankiewicz został poinformowany, że kiedykolwiek w czasie napadu padnie komenda „Stój!”, powinien paść na ziemię. Patrol egzekucyjny był stale w pogotowiu, ale meldunki, jakie otrzymywałem, docierały zawsze po przeprowadzonej akcji rabunkowej (a było ich w międzyczasie aż trzy). Zacząłem się zastanawiać, czy kolega „wtyczka” nie włączył się na dobre do spółki, ale po przeprowadzeniu z nim rozmowy okazało się, że podejrzenia były niesłuszne. Nie był on wtajemniczany w planowane akcje. Zawsze któryś z braci „Sobolów” zgłaszał się w ostatniej chwili i od razu podejmowano działania. Nie był mu znany ani punkt zbiorczy-wyjściowy, ani docelowy. Widocznie wciąż jeszcze mu nie dowierzano. Należało więc uzbroić się w cierpliwość i czekać nadal.

Po upływie około dziesięciu dni od rozmowy z „wtyczką” dotarł do mnie kol. „Kryśka” przekazując informacje od Kazi (do dziś pamiętam, że była to sobota), że rabusie o zmroku wyruszają na kolonię wsi Dulkowszczyzna z zamiarem zarekwirowania tuczniaka. Ustalono punkt zbiorczy w starych zabudowaniach obory „Sobolów” w Starożyńcach obok zagrody Baranowskiego. Należało niezwłocznie działać. Ustaliliśmy, że kol. „Głaz” przejmie przed zmrokiem obserwację stodoły. Przekazując informację „Dziewanowskiemu”, zaproponowałem, aby ujęto rabusiów w punkcie wyjścia. „Dziewanowski” przyjął tę sugestię i zmobilizował patrol do wykonania zadania. Ja sam udałem się przed zmrokiem do kuzynki Kazi, aby zorientować się na miejscu co do przebiegu tak długo przygotowywanej akcji.

Niestety, nie przebiegła ona zgodnie z moim planem, nie bez winy, jak sądzę, patrolu zorganizowanego przez „Dziewanowskiego”. Patrol spóźnił się – dwieście metrów dzieliło go od punktu zbiorczego w chwili, gdy rabusie zaczęli schodzić z poddasza obory. W tej sytuacji „Głaz” podjął decyzję samodzielnego działania, sądząc, że rabusie mogą umknąć w nieznanym kierunku. Zgodnie z ustaleniami działał tak, aby nie pozbawić życia „wtyczki”. Ale na komendę „Stój!” padł nie tylko kolega, lecz popadali wszyscy, jak gdyby zostali pociągnięci za jeden sznurek. „Głaz” posłał więc serię z pepeszy górą. W tym momencie nadbiegł patrol, oświetlono teren rakietami, niestety rabusie rozpełzli się poza płoty. Żaden nie został pochwycony w toku tej akcji.

Następnie patrol skierował się do szwagra rabusiów, który – jak się okazało – właśnie szykował się do wyjazdu. Na widok patrolu bardzo się wystraszył. Najpierw zaprzeczał postawionym zarzutom. Kiedy jednak przedstawiono mu fakty – gdzie i kiedy brał udział w rabunkach, informując, że tak zeznali szwagrowie, którzy się przyznali – zrozumiał, że nie dowiedzie swojej niewinności. Zaczął „sypać”, usprawiedliwiając się, że on nie winien, że został zmuszony pod groźbą pozbawienia życia. Na polecenie zwrotu zabranych przedmiotów tłumaczył, że otrzymywał same „ochłapy”, że wszystko, co lepsze zabierali oni. Wskazał kryjówkę, która była w stodole. Wyciągnął kilka ciuchów, między innymi dywan mojej ciotki Stefanii, który następnego dnia został przekazany właścicielce.

Chociaż rabusie nie zostali ujęci, po naszej akcji zorientowano się co do jej powodów. Rozeszła się wiadomość nie tylko wśród okolicznych mieszkańców, ale dotarła również do funkcjonariuszy UB i MO w Lipsku. Bracia „Sobole” zaczęli się od tej pory całkowicie ukrywać. Poczuli się potrójnie zagrożeni: od miejscowego społeczeństwa, organizacji AK i od władz PRL.

Po pewnym czasie „myszkujący” patrol dowodzony przez „Orlicza”, w obrębie młodniaków leśnych w pobliżu wsi Starożyńce, napotkał dwóch podejrzanych osobników podobnych z rysopisów do „Soboli”, którzy na widok patrolu zaczęli ucie-

kać. Komendy: „Stój!”, „Stać!” nie skutkowały. Seria strzałów pozbawiła ich życia. Niestety, jak się okazało, jeden z nich nie był „Sobolem”, nie był skazany wyrokiem, poniósł śmierć przypadkowo.

Innych członków grupy, w tym głównego przywódcy, dalej poszukiwano. Furman, szwagier „Soboli” otrzymał ostateczne upomnienie, że w przypadku podobnej sprawy zostanie skazany.

Po tych zajęciach ustały rabunki, tym niemniej herszt bandy był nieuchwytny. Wszystko wskazywało na to, że wyjechał na Ziemię Odzyskane. Dopiero po paru miesiącach udało się go zlokalizować i zidentyfikować jako funkcjonariusza MO jednego z gminnych posterunków w pow. Giżycko. Przesłany do prokuratury meldunek, podający fakty, spowodował, że zatrzymano go. Śledztwo przeprowadzone przez prokuraturę potwierdziło doniesienia. Wyrokiem sądu PRL herszt bandy został skazany na 7 lat więzienia.

Zlikwidowanie grupy rabusiów przez AK, które odbiło się w terenie głośnym echem, najwyraźniej zdenerwowało służby PUBP w Augustowie i posterunek MO w Lipsku z komendantem Łebkiem na czele. W naszym rejonie dało się zauważyć wzmożone zainteresowanie służb bezpieczeństwa młodzieżą miejscową, a szczególnie napływową, z terenów okupowanych przez ZSRR. Wzmogły się aresztowania i poszukiwania osób dotychczas nie aresztowanych. Na liście poszukiwanych występowałem i ja, jak również kol. „Leszczyna” (Jan Dadura), i wielu innych. Przeprowadzono dwukrotne próby aresztowania kol. „Dziewanowskiego” (Jana Biedula, dowódcy placówki Kurianka). Dotarły „przecieki”, że UB, wzorem sowieckiego NKWD, planuje przeprowadzić masowe aresztowania w rejonie naszej gminy. I to nie tylko członków AK, którzy walczyli w oddziałach i wrócili do swoich rodzin po kapitulacji Niemiec, ale także tych, którzy wchodzili w skład siatki organizacyjnej oraz sympatyków, którzy współpracowali w ramach łączności i zaopatrzenia z byłymi oddziałami AK. 90% młodych ludzi było więc zagrożonych aresztowaniem.

W tym celu, już w drugiej połowie 1945 r. dało się zaobserwować wzmożone wysiłki służb UB – penetrację terenu,

poszczególnych wsi, angażowanie do współpracy donosicieli, a także nieświadomych młodych panienek pod pretekstem romansu. Niektórzy funkcjonariusze UB „pod płaszczykiem” sympatii usiłowali na spotkaniach uzyskać jak najwięcej informacji do przeprowadzenia planowanej akcji. Zamierzenia te zostały rozszyfrowane również dzięki kol. „Cichej-Jaskółce”. Udało się ustalić, które osoby (panienki) współpracują. Postanowiono wprowadzić kontrolę ich korespondencji – otrzymywanej i wysyłanej. Tę sprawę omówiłem osobiście z naczelnikiem poczty w Lipsku Karolem B. W wyniku tych działań, z jednego z listów do panienci ze wsi Bartniki, udało się dowiedzieć, że UB w Augustowie planuje ostateczne „uporządkowanie” jeszcze przed Świętami Bożego Narodzenia. Powiadomiłem o tym „Dziewanowskiego”, aby ostrzegł swoich ludzi. Należy mieć się na baczności, szczególnie przed Świętami.

W dniu 17 grudnia 1945 r. udałem się na punkt kontaktowy w Bartnikach, aby uprzedzić kolegów przez łączniczkę „Cichą-Jaskółkę”. Dotarłem tam ok. godz. 22-giej. Po „hasłowym” zapukaniu otworzono mi. Przekazałem informacje, ostrzegając kol. „Cichą-Jaskółkę”, aby sama miała się na baczności i ostrzegła kolegów ze swojej wsi. Zaproponowano mi posiłek i nocleg, ze względu na późną porę. Z posiłku skorzystałem, noclegu kategorycznie odmówiłem, twierdząc, że jest zbyt ryzykowny, bo są donosy, że bywam w domu Jarmusików. Nie uległem, mimo perswazji, i pożegnałem się ok. godz. 23-ej, udając się na nocleg do zagrody państwa Hećmanów, położonej niecałe 200 m od zagrody Jarmusików. Około godziny wpół do trzeciej obudziły nas krzyki sąsiadów oraz łuna płonącej zagrody państwa Jarmusików. Ludzie biegnący na ratunek byli zatrzymywani przez funkcjonariuszy UB i MO, nie pozwalających ratować płonącej zagrody. Wskutek tego jej część – stodoła z wszystkimi zapasami żywności dla inwentarza – spłonęła doszczętnie. Jak się okazało, funkcjonariusze UB i MO z posterunku w Lipsku z komendantem Łebkiem na czele, po wtargnięciu do mieszkania aresztowali kol. Leonardę Jarmusik („Cichą-Jaskółkę”) oraz jej młodszego brata Alfonsa, dokonując jednocześnie podpalenia stodoły. W rodzinie pań-

stwa Jarmusików pozostała tylko matka z dwojgiem małych dzieci i zgłiszcza spalonej stodoły. Mąż pani Jarmusik przed 1939 r. był wójtem gminy Hołynka. Po wkroczeniu wojsk sowieckich został wywieziony na Syberię. Więziony w obozach w Ostaszkowie i Riazaniu. Powrócił schorowany w listopadzie 1946 r. Zmarł w Bartnikach w czerwcu 1967 r.

Tej samej nocy, z 17 na 18 grudnia 1945 r. na terenach wsi Kopczany, Bartniki, Starożyńce, ci sami funkcjonariusze dokonali aresztowania 15 osób. Na kolonii wsi Bartniki-Jasionówka, podczas aresztowania Jana Wilczyńskiego również usiłowali podpalić stodołę, która jednak została ugaszona. Poza „Cichą-Jaskółką” i jej bratem Alfonsem w tej samej wsi zostaje aresztowany między innymi Krzysztopowicz, który po tygodniu śledztwa prowadzonego w celach piwnicznych augustowskiego UB ginie bez wieści i śladu do dzisiaj, oczywiście bez żadnych rozpraw sądowych. Miejsce pochówku zamordowanego także nie jest znane. Podobny los spotkał Zygmunta Strzałkowskiego ze wsi Chorużowce, który również został w owym czasie aresztowany przez augustowski UB. Bez żadnych rozpraw sądowych ślad po Strzałkowskim ginie. Po latach spotykałem się z więźniami z tego samego okresu, już po odbyciu przez nich długoletnich kar w więzieniu we Wronkach. Opowiadali, że byli świadkami, jak w Powiatowym Urzędzie Bezpieczeństwa w Augustowie zostało rozstrzelanych dwóch ludzi i zakopanych w miejscu, gdzie powstał śmietnik. Można przypuszczać, że mogli to być Krzysztopowicz i Strzałkowski.

W tych latach funkcjonariuszy UB nie obowiązywały żadne normy prawne. Uważali się jednocześnie za sędziów i wykonawców kary śmierci, bywali podpalaczami zagród. W dniu 12 stycznia 1946 r. zostaje aresztowany przez funkcjonariuszy UB z Augustowa nauczyciel szkoły w Lipsku (uprzednio nauczyciel w Bartnikach) Aleksander Wydrycki („Granit-Cycero”), brat Jana Wydryckiego („Rymwida”). Jak już wspominałem, bracia Wydryccy przybyli z Okręgu Nowogródzkiego AK. W oddziałach Obwodu Augustowskiego znaleźli się w 1944 roku.

W czasie śledztw stosowano wobec aresztowanych nieludzkie metody. Niektórzy zeznawali tak, jak im po prostu podyktowano. Następnie posługiwano się nimi jako świadkami oskarżenia wobec innych zatrzymanych. Taką rolę odegrał na przykład młody chłopak ze wsi Wołkusz Józef Czygier w procesie Alfonsa Jarmusika i innych osób aresztowanych w grudniu 1945 i w styczniu 1946 r. Główną rolę w opracowaniu aktów oskarżenia osób z terenu gminy Lipsk odegrali oficerowie śledczy UB w Augustowie. W sprawie Aleksandra Wydryckiego – oficer Piotr Malczewski i Czesław Pyrko. W stosunku do pozostałych czynności śledcze były wykonywane przez oficerów śledczych w Augustowie pod nadzorem szefa PUBP Aleksandra Kuczyńskiego. Aktywnością wyróżniali się Piotr Czyżewski, Józef Marszałek, Jan Szostak, Piotr Malczewski, Czesław Pyrko. W późniejszym czasie doszedł por. Felczak. Natomiast wyróżniający się aktywnością w skazywaniu i wydawaniu wyroków skład sędziowski Rejonowego Sądu Wojskowego w Białymstoku to zespół w następującym składzie:

Przewodniczący – major Józef Popowski; plutonowy Henryk Rogowski z I Kom. MO – ławnik; kapral Michał Charewicz z I Kom. MO – ławnik. Ppor. Tadeusz Gliksman był protokolantem.

Zespół ten wydał m.in. następujące wyroki:

7 maja 1946 r. zostaje skazany Aleksander Wydrycki („Granit-Cycero”), nr kolejny wyroku 261.

8 maja 1946 r., w dniu następnym, zostaje skazany przez tenże sam skład Alfons Jarmusik - nr kolejny wyroku 290.

Z powyższego wynika, że w ciągu niespełna dwóch dni skład rozpatrzył przynajmniej 29 spraw i wydał 29 wyroków.

Najwyższy Sąd Wojskowy w Warszawie, który również nie odznaczał się pobłażliwością w stosunku do skarg rewizyjnych i odwołań, obradował w składzie:

Płk Kazimierz Drohomirecki – przewodniczący; mjr Antoni Czarnowski – sędzia sprawozdawca; mjr Józef Warecki – sę-



Sędziowski III.Ko.1778)92

ODPI

POSTANOWIENIE

Dnia 17 grudnia 1993 r.

Sąd Wojewódzki w Białymstoku w składzie:

Przewodniczący-Sędzia\*) Sędzi - Jan Sidoruk - ref.

Sędziowie Sędzi - Marian Korciako

del.SSR - Alina Kamfińska

Protokolant Barbara Cąsowska

przy udziale Prokuratora Przesyłałana Sabata po rozpoznaniu

w sprawie ~~XXXXXXXX~~ ALEKSANDRA WYDRYCKIEGO

oskarżonemu \*) o przestępstwo

wniosku \*) Leokadii Wydryckiej z ~~XXXXXX~~

w przedmiocie unieważnienia orzeczenia

na podst. art. 1 ust.1 ustawy z 23 lutego 1991 r. (Dz.U.Nr 34 poz.145)

postanawia

1. uznać za nieważny wyrok Wojewódzkiego Sądu Rejonowego w Białymstoku z 7 maja 1945 r. w sprawie R.261/45 wydany wobec Aleksandra Wydryckiego s. Adama.
2. kosztami postępowania obciążyć Skarb Państwa.

Uzasadnienie

wyrokiem Wojewódzkiego Sądu Rejonowego w Białymstoku Aleksander Wydrycki został skazany na karę łączną 5 lat więzienia za to, że:

- 1) od wyzwolenia województwa białostockiego spod okupacji niemieckiej do 12 stycznia 1945 brał czynny udział w zbrojnej organizacji AK mającej na celu obalenie pryncypalnie demokratycznego ustroju Państwa Polskiego tj. za przestępstwo z art. 2731 w zw. z art. 8533 kkWP;
- 2) od połowy czerwca 1945 r. do drugiej połowy sierpnia 1945 r. we wsi Lipsko

\*) Złoto skradzione  
WS / K. pod. 1. - Postanowienie (zgodnie z art. 1 ustawy)

prosiła straż z powodu braku rękopisów  
okupacji niemieckiej. Prosił o  
skazanie i wzięcie odpowiedzialności  
wobec strażnicy wsi Lipsko  
Ludowej Długostrajowej Przemysłu Państwa P.

Prezydium Gminnej Rady Narodowej  
w Lipsku  
Lipsko



moje gminy

Prośba Prezydium Gminnej Rady Narodowej w Lipsku do Bolesława Bieruta o ułaskawienie – załatwiona odmownie



posiadał bez wyrażonego zezwolenia zdolną do użytku broń palną tj. o przestępstwo z art. 491 lit. "a" dekretu o ochronie państwa;

3. w drugiej połowie czerwca 1945 r. brał udział w zaborze cudzego mienia ruchomego na szkodę Adolfa Waszkiewicza, używając gwałtu i grożąc mu przemocą tj. za przestępstwo z art. 209 KK;

4. jako poborowy rocznika 1923 nie uczynił zadość publicznemu wezwaniu nie zgłaszając się do rejestracji poborowych w celu dłuższego uchylania się od odbycia służby wojskowej tj. za przestępstwo z art. 118§1 w zw. z art. 117§1 i 2 KKMP.

Z wnioskiem o unieważnienie tego wyroku wystąpił skazany Leonarda Wydryka.

Wniosek ten jest zasadny, albowiem czyni za które został skazany Aleksander Wydrycki miał ścisły związek z działalnością na rzecz niepodległego bytu Państwa Polskiego. Z tego względu wniosek uznano za zasadny i wyrok sądu wojakowego uznano za nieważny.

W. Wydryka  
1993

Kasacja wyroku Aleksandra Wydryckiego – postanowienie Sądu Wojewódzkiego w Białymstoku z dn. 17 grudnia 1993 r. – dziesięć lat po jego śmierci

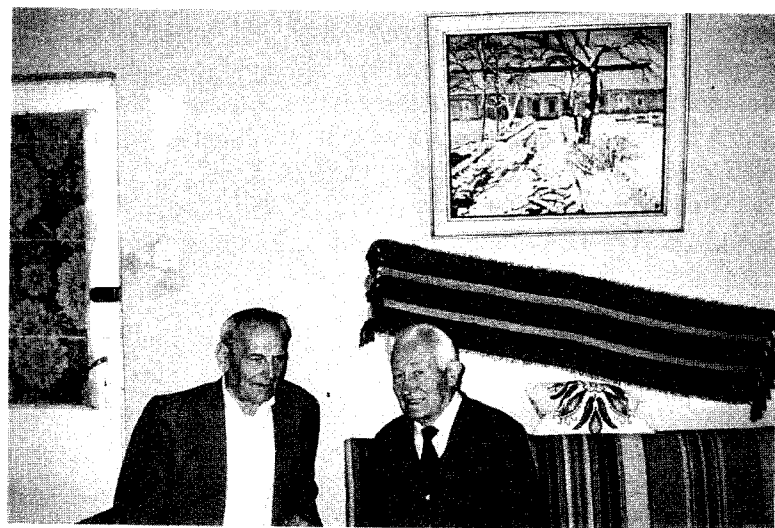
Natomiast Leonarda Jarmusik po kilkumiesięcznym śledztwie została zwolniona z PUB w Augustowie w celu nawiązania ze mną kontaktu. Pomimo ryzyka doszło do naszego spotkania, bez informowania służb UB. Omówiliśmy wówczas zarzuty oraz sposób i przebieg śledztwa, mimo że kol. „Cicha-Jaskółka” podpisała zobowiązanie zachowania tajemnicy.

Nakłaniano ją do pomocy w ustaleniu miejsca mego pobytu i ułatwienia aresztowania mnie i ludzi z organizacji. Powiedziała, że nigdy do tego nie dojdzie, natomiast oświadczyła, że należy bezzwłocznie wyłączyć jej zagrodę w Bartnikach. Jako punkt kontaktowo-łącznościowy należy go uznać za „spalony”, zarówno dla tutejszych członków organizacji, jak i kierowanych z terenów ZSRR. Należy zaniechać kierowania korespondencji, jak i bezpośrednich spotkań. Zarówno ona sama, jak i jej zagroda jest pod stałą obserwacją. Jeśli nawiązałaby jakiegokolwiek kontakty i nie poinformowała UB, grozi jej powrót tam, gdzie była, na dłuższy czas.

Zbliżał się rok 1946. Dalszy mój pobyt w strefie przygranicznej w IV Rejonie Obwodu Augustowskiego był nieuzasadniony. Większość młodzieży z części Lewy i Prawy Niemien, której groziły aresztowania, została przerzucona na teren PRL. Część tych ludzi osiedliła się na tzw. Ziemiach Odzyskanych. Po likwidacji grup „rabuśniczych”, a zwłaszcza Sobolów, rabunki już nie występowały. Natomiast ja sam byłem w dalszym ciągu poszukiwany po obu stronach granicy – na terenie Grodzieńszczyzny przez NKWD, po stronie PRL przez UB. Z różnych, sprzyjających mi źródeł otrzymywałem wiadomości i ostrzeżenia, abym miał się na baczności. Otrzymałem m.in. bardzo smutną wiadomość o śmierci mojej matki z jednocześnie ostrzeżeniem, abym nie próbował odwiedzić domu w czasie pogrzebu ani po nim, gdyż pogrzeb będzie nadzorowany przez tajniaków NKWD. Nawet przez jakiś czas grób mojej matki na cmentarzu w Hołynce ma być pod obserwacją. Wiadomość tę otrzymałem w dniu pogrzebu, kiedy przebywałem na terenie PRL w odległości czterech kilometrów od domu. Nie mogłem wziąć udziału w ostatniej ziemskiej drodze tak kochającej i dzielnej Matki. Smutna to była wiadomość, nasuwająca wiele refleksji nad losem i życiem ludzkim.

W pierwszej dekadzie stycznia 1946 r. podjąłem ostateczną decyzję, aby dłużej nie czekać i nie ryzykować, a także nie narażać znajomych i przyjaciół swoim pobytem. Należy tu wspomnieć, że nawet w ówczesnej prasie – „Gazecie Białostockiej” – ukazał się dość obszerny artykuł na mój temat. Trzeba było niezwłocznie wyjechać na Ziemię Odzyskaną. Postanowiłem wykorzystać ostatnią kartę repatriacyjną *in blanco*, którą zostawiłem sobie na wszelki wypadek. Wypełniłem ją jako repatriant z miejscowości Łosośna koło Grodna, ujmując jeszcze jedną osobę dodatkowo, jako siostrę. Przybrałem nazwisko Albin Łapiński, ur. w 1914 r. Nazwisko to wpadło mi do głowy na skutek zaistniałych okoliczności. Zmieniłem już własne nazwisko – Pawluczyk na nazwisko panińskie matki – Sztukowski, które również było już znane funkcjonariuszom UB. Podczas oblawy lipcowej w 1945 r. na Suwalszczyźnie, przeprowadzonej przez oddziały NKWD, przy za-

trzymaniu w Płocicznie koło Suwałk legitymowałem się sowieckim dowodem z 1940 r. na nazwisko Wilczyński. Na obu poprzednich nazwiskach: Pawluczyk i Sztukowski byłem poszukiwany (łapany). Skoro tak wciąż jestem łapany, niech zostanie Łapińskim. Pod tym nazwiskiem wyruszyłem w nieznaną, opuszczając tereny czteroletniego działania w strukturach organizacyjnych AK Grodzieńszczyzny i IV i V rejonu Obwodu Augustowskiego oraz po części Suwalskiego, wchodzących w skład Białostockiego Okręgu AK pod dowództwem „Mściśława” – płk. Władysława Liniarskiego.



Józef Pawluczyk ps. „Palma” i Jan Biedul ps. „Dziewanowski”  
– spotkanie po latach. Giżycko, lipiec 2000 r.

## ROZDZIAŁ V

### Ziemie Odzyskane

Opuszczając tereny powiatu augustowskiego znalazłem się na Ziemach Odzyskanych w styczniu 1946 r. Nie chciałem wyjeżdżać na tzw. Dziki Zachód, tak jak zdecydował „Dziewanowski”, wyjeżdżając do Prudnika. Wolałem zatrzymać się na terenach bliższych naszych stron, wybrałem miasto Olsztyn. Liczyłem na to, że w większym mieście łatwiej będzie się zaaklimatyzować. Zamieszkałem w pobliżu Dworca Głównego, w bloku kolejarskim nr 17, nazwy ulicy już dziś nie pamiętam. W owym czasie wystarczyło przejść tory kolejowe, naprzeciw dworca iść w prawą stronę do ulicy równoległej do torów, przejść przez wypiloną kratę żelaznego płotu i można było znaleźć się przy bloku nr 17. Odległość od dworca tą drogą nie przekraczała 400 m.

W tym samym bloku zamieszkiwali też dwaj chłopcy z Okręgu Białostockiego AK, pracujący jako kolejarze. Za ich pośrednictwem często angażowałem się do prac rozładunkowych przy bardziej opłacalnych cenach, gdyż z czegoś należało żyć. Czasem trzeba było zahandlować, lecz wówczas handel nie zawsze był opłacalny. Nie chciałem angażować się do stałej pracy, co mogłem w kolejnictwie zrobić bez kłopotu - była to jednak praca ciężka i nisko płatna. W owym czasie na kolei trwał okres natężonego ruchu. Po kapitulacji Niemiec w maju 1945 r. sowieci przystąpili do intensywnego demontażu fabryk, zakładów produkcyjnych, magazynów itp. w zajętych terenach. Rekwirowano nawet inwentarz. Całe stada krów pędzono z Prus Wschodnich ku granicom ZSRR. Z końcem 1945 r. ruszyły całą parą transporty wywozu wszelkich urządzeń fabrycznych i zapasów magazynowych. Przez stację Olsztyn ciągnęły transporty wadłowe - transport za transportem do stacji Korsze-Skandawy, przez granicę do Królewca, do szerokich torów kolejowych transportu sowieckiego. Te wywozy często były przedmiotem naszych roz-

mów. Rozważaliśmy, czy coś z wywożonych rzeczy nie przydałoby się w kraju. Koledzy omówili ten temat z zawiadowcą stacji, który też, jak się wyraził, „często o tym myślał”.

Z początkiem kwietnia 1946 r. nadszedł transport z urządzeniami warsztatowo-fabrycznymi. Musiały zostać zarekwirowane duże magazyny fabryczne, gdyż w większości urządzenia były zupełnie nowe – silniki elektryczne różnej mocy, tokarki, frezarki, wiertarki, prądnice, imadła, wszelkiego rodzaju pilniki, raszple itp. Drobne rzeczy można było kupić za wódkę u żołnierzy obsługujących transport. Musieli oni mieć jakiś dostęp do urządzeń albo też przygotowali sobie różne rzeczy podczas załadowania wagonów. Koledzy kolejarze, w porozumieniu z zawiadowcą stacji, postanowili wykorzystać czas postoju w Olsztynie. Postój został zresztą przedłużony, rzekomo z powodu uszkodzonych torów kolejowych na trasie do Korsz. Aby czas prędeż „zleciał”, zaproponowano kierownikowi transportu i części obsługi posiłek u „Marysieńki”. Pod szyldem „Marysieńka” była mała knajpka. Mieściła się w przerobionych pomieszczeniach barakowych opodal stacji, naprzeciw Poczty nr 2, po lewej stronie w kierunku ronda, w pobliżu obecnie wybudowanego hotelu. Po sutym obiedzie zakrapianym „czystą”, a dla ochłody piwkiem, czas biegł szybko i o zmroku droga była wolna. Transport ruszył do odjazdu w kierunku Korsz. Wtajemniczeni kolejarze czuwali zgodnie z planem i niemalże w biegu, podczas ruszania do odjazdu, został odczepiony jeden tylny wagon. Na stacji była już przygotowana zapasowa lokomotywa, do której wagon został podczepiony i odtransportowany do Starosielc. Aczkolwiek uzyskane „honorarium” było dalekie od pełnej wartości, ale i tak kwota okazała się znacząca na owe czasy – w starej walucie 36 milionów złotych.

Brak wagonu sowieci spostrzegli dopiero na stacji w Korszach. Następnego dnia rankiem do dyspozytorni stacji Olsztyn wpadł kierownik transportu w obstawie dwóch żołnierzy, z pistoletem w ręku, grożąc i oskarżając, że „zaworowali wagon” (skradli wagon). Zawiadowca stacji oświadczył, że jemu nic nie wiadomo w tej sprawie, dodając jednocześnie, że wagon to nie igła i jeżeli gdzieś go zostawili, to musi być. Gorzej będzie,

jeżeli zginął przed przyjazdem do Olsztyna. Wytypował trzech ludzi do pomocy, zalecając, aby wszystko przeszukali. Potwierdziły się przypuszczenia, że wagon zaginął w Olsztynie, ale przeszukiwania przeprowadzone na torach, bocznicach, w parowozowniach warsztatowych itp. nie dały żadnego rezultatu. Rozwścieczony kierownik odjechał z powrotem do Korsz.

W pierwszych miesiącach 1946 r. Olsztyn jako miasto wojewódzkie z pełną administracją nie był w całości zaludniony, aczkolwiek znaczną część mieszkańców stanowiła ludność miejscowa, która nie zdążyła opuścić miasta przed zbliżającym się frontem. Niektórzy mieszkańcy pozostali z własnej woli, nie chcąc zostawiać posiadanych nieruchomości. Największą grupę mieszkańców Olsztyna stanowili w owym czasie przyjezdni osiedleńcy z Wileńszczyzny i innych byłych terenów Polski wschodniej, zajętych przez ZSRR. Pomimo tej zbieralniny, mozaiki osiedleńczej, spotykałem często na mieście, przy dworcu, a nawet przy kinie ludzi, którzy mnie pozdrawiali, mówiąc: „Cześć!” Często się nad tym zastanawiałem. Czyżby aż tylu mam tu znajomych? Co gorsze, nie mogłem w większości przypomnieć sobie, gdzie z tymi ludźmi się spotykałem, czy też może jestem kojarzony, jako sobowtór, z kimś innym.

Spotkałem też kilka osób, które dobrze mnie znały, m.in. Feliksę R. Parokrotnie Feliksa odwiedzała naszą kawalerkę. Najpierw odwiedziny nie budziły podejrzeń, nie przypuszczałem, że może ona mnie zdekonspirować. Potem okazało się, że spotyka się z chłopakiem, który pracuje w UB (w późniejszym czasie wyszła za mąż za tego funkcjonariusza). Obserwując to wszystko (a na podejrzanym czapka gore), zacząłem myśleć, czy przypadkiem Olsztyn nie jest dla mnie za ciasny. Dalej na zachód nie chciałem jechać. Wolałbym być w terenie nieznanym, ale bliżej swoich stron.

Pewnego razu rozmawiałem na dworcu z pracownikiem ekspedycji pocztowej. Z rozmowy wynikało, że istnieje takie miejsce, które świeci pustkami i gdzie „świat dechami zabity”. Pomyślałem, że może to być coś dla mnie. Rozmowa dotyczyła miejscowości Angerburg (obecne Węgorzewo). W pierwszej połowie maja postanowiłem tę miejscowość odwiedzić. Po

przyjeździe stwierdziłem, że jest to niemal wymarłe miasteczko. Ulice w większości powypalane, czuć jeszcze było swąd dymu i zgłiszczy. Jak się w późniejszym czasie dowiedziałem w rozmowach ze starostą tego miasta, panem Wańskim, większość tych zniszczeń dokonano po zakończeniu działań frontowych. Jednostki wojsk sowieckich, które opuszczały Angerburg, przekazując administrowanie władzom polskim, żądały wykupu niektórych ulic, a czasem nawet poszczególnych budynków. Za ulicę – kanister spirytusu. Jeśli nie otrzymano go od starosty, często podpalano gmach po gmachu.

Po przyjeździe do tego miasta udałem się w pierwszej kolejności na punkt PUR-u (Państwowy Urząd Repatriacyjny). Mieścił się on tuż przy obecnym rynku, obok bocznic kolejowej, przy gospodarstwie szklarniano-ogrodniczym, w obiektach zajmowanych w późniejszym czasie przez Powiatowy Związek Gminnych Spółdzielni. Stało tam kilka namiotów wojskowych oraz wojskowa kuchnia. Obok – grupki przyjezdnych osadników z furami. Zgłaszający się osadnicy otrzymywali nawet posiłki z czynnej kuchni polowej. Jak na owe powojenne czasy punkt ten był dobrze zorganizowany. Zgłosiłem się do kierownictwa dla zasięgnięcia jakiegokolwiek informacji. Przedłożyłem swoją kartę repatriacyjną na nazwisko Łapiński. Na tej podstawie otrzymałem zapomogę pieniężną w wysokości jednego tysiąca zł, co zostało potwierdzone trójkątną pieczęcią na karcie. Skorzystałem również z zaproponowanej mi grochówki.

Następnego dnia rano, po polowym śniadaniu (czarna kawa i chleb z marmoladą), ruszyłem zwiedzać teren miasta i najbliższej okolicy. Wypatrywałem jakiegokolwiek wolnej zabudowy nadającej się do zamieszkania. Wszystkie lepsze budynki były już pozajmowane lub zarezerwowane. Z rozmów z przypadkowo spotkanymi osiedleńcami dowiedziałem się, że w odległości 12-13 km istnieje osada bardziej ożywiona, o nazwie Pozezdrze (według nazwy niemieckiej Possessern, a od 1938 r. Grossgarten – Duży Ogród). Nazwę tej miejscowości zmieniono tuż przed wojną. Przed planowanym rozpoczęciem działań wojennych wiele nazw miejscowości uległo zmianie na rozkaz Hitlera. Było to podyktowane celami strategiczno-

militarnymi. W pobliskim lesie mieściła się „posesja” jednego z dygnitarzy hitlerowskich – kwatery polowa Heinricha Himmlera. Wybudowano tam kilkanaście bunkrów żelbetonowych z połączeniem kolejowym przy pomocy specjalnej bocznicy, z niemalże bezpośrednim podjazdem pod największy bunkier. Cały ten obiekt był ogrodzony zasiekami z drutu kolczastego, na żelaznych, wkopywanych słupkach. Wszelkie instalacje wewnątrz obiektu – telefoniczne, wodne itp. były rozprowadzane podziemnie. Nad całym obiektem pozawieszano między drzewami siatki maskujące. Za czasów niemieckich miejsce to było strzeżone przez specjalne oddziały SS.

W 1945 roku, tuż przed zbliżającym się frontem, sami Niemcy całą tę siedzibę zburzyli za pomocą materiałów wybuchowych. Pomimo zużycia dużej ilości tych materiałów główny bunkier się nie zawalił, powstała jedynie szczelina od dołu do góry. Zaś mniejsze bunkry uległy większemu zniszczeniu. Wielotonowe kawałki ścian zostały podrzucane na odległość kilkudziesięciu metrów<sup>33</sup>.

Cała ta osada jest położona mniej więcej w równej odległości 12-13 km między Węgorzewem a Giżyckiem (uprzednio Lötzen). Zwiedzając ją stwierdziłem, że faktycznie jest gospodarczo bardziej ożywiona. Zatrzymało się tu już kilkunastu osadników, przeważnie rolników, zajmując opuszczone gospodarstwa rolne. Znaczna część osady była jeszcze zamieszкана przez ludność miejscową, przede wszystkim pochodzenia robotniczego. Według mojej wstępnej oceny wyglądało na to, że pod względem gospodarczym osada mogła się kwalifikować na niemal samowystarczalną. Znajdowały się tam takie zakłady jak: młyn, piekarnia, gorzelnia, mleczarnia, dwie masarnie, gospodarstwo ogrodnicze, kilka sklepów, dom zajezdny niczym mini-hotel ze stacją benzynową, zakład fryzjerski, dwa warsztaty ślusarsko-kowalskie, dworzec stacji kolejowej, a nawet sala kina. Poza tym był urząd gminy, poste-

<sup>33</sup> Kwatera polowa Himmlera o kryptonimie „Hochwald” została ewakuowana jesienią 1944 r., a opuszczone obiekty zostały przez saperów niemieckich wysadzane w powietrze w drugiej połowie stycznia 1945 r.

runek policji, poczta, kościół z dużą plebanią. Oczywiście, w owym czasie nie wszystko było czynne. Na przykład zamknięty był dworzec kolejowy z powodu demontażu szyn torowych. Spodobała mi się zarówno sama miejscowość, jak i jej położenie w pobliżu jezior i lasów, przeważnie iglastych. Postanowiłem przez jakiś czas tu się zatrzymać.

Gospodarstwo rolne raczej mnie nie interesowało. Wolałbym samodzielny domek jednorodzinny. Takie domki były na tak zwanym „Zydlungu”, lecz zamieszkiwała je ludność miejscowa. Część mieszkańców nie zdążyła opuścić domów przed zbliżającym się frontem, jak to uczyniła większość. Nieliczni woleli pozostać, oczekując dalszych wydarzeń. Kiedy sytuacja zaczęła się stabilizować i umocniła się administracja, oficjalnie podawali oni narodowość niemiecką, wyrażając chęć wyjazdu za Odrę do Niemiec. Poza tym spotkałem przypadkowo szczerego przyjaciela, który już tu się osiedlił i namawiał mnie do tego samego. Po parodniowym pobycie spotkałem również znajomego, z którym, jak się okazało, spotykałem się podczas okupacji niemieckiej w oddziałach AK na terenie suwalsko-augustowskim. Był to Czesław Albanowicz ps. „Piorun”.

Z początkiem 1944 r. na terenie Suwalszczyzny, „Piorun” zostaje podejrzany przez Niemców o przynależność organizacyjną do AK. Zatrzymuje go policja niemiecka. W czasie konwoju udaje mu się zbiec, ale ucieczka staje się zagrożeniem dla rodziny. Ojciec pod pseudonimem „Bak” i siostra Zofia ps. „Sarna” wstępują do oddziałów leśnych. Los im jednak nie sprzyja. W październiku 1944 r., w czasie obławy pod Nowinką dokonanej przez oddziały Wehrmachtu zginęli obydwój. Z okrażenia wyszedł szczęśliwie jedynie Czesław.

Byłem pewien, że ze strony tych znajomych nie grozi mi zdrada. Decydując się na dłuższy pobyt, zameldowałem się na posterunku MO i u sołtysa, tak jak wówczas należało zrobić. Sołtysiem był w owym czasie Piotr Moczulewicz, również osadnik, wywodzący się z Suwalszczyzny. Zapewnił mnie, że jeśli nadarzy się okazja zajęcia domku jednorodzinnego, zostanie mi on przydzielony w pierwszej kolejności. W krótkim czasie do tego doszło. Przydzielono mi domek robotniczy z 40-arową

działką, po mieszkance o nazwisku Schauman, na tzw. „Zydlungu”, przy ulicy Kościelnej nr 28. W późniejszym czasie ulicę Kościelną, przy której stoi kościół, władze PRL przemianowały na ulicę 1-go Maja. Nazwa ta pozostała do dnia dzisiejszego.

W miarę upływu czasu osada zaczęła się gospodarczo ożywiać. Uruchomiony został młyn, piekarnia, gorzelnia, gospodarstwo rolne i ogrodnicze (PGR). Otwarto sklep spożywczy i przystąpiono do uruchomienia agencji pocztowej. Rejonowy Urząd Pocztowy w Węgorzewie, otwarty jako pierwszy w powiecie, nie zaspokajał potrzeb zaludniających się terenów. Z chwilą uruchomienia Agencji Pocztowej w Pozezdrzu wyłoniła się okazja podjęcia pracy, na jakiej mi zależało. Postanowiłem moment ten wykorzystać. Przez Rejonowy Urząd Pocztowy w Węgorzewie złożyłem podanie do Dyrekcji Poczty i Telegrafów w Olsztynie o przyjęcie mnie do pracy w Agencji Pocztowej w Pozezdrzu. Podanie zostało pozytywnie przyjęte przez naczelnika Rejonowego Urzędu w Węgorzewie pana Romana oraz Dyrekcję w Olsztynie. Otrzymałem angaż podpisany przez Dyrektora Okręgu P.T. pana Kotowskiego (oczywiście nadal posługiwałem się przybranym nazwiskiem Albin Łapiński).

Decydując się na pracę na poczcie brałem pod uwagę fakt, że podczas segregacji korespondencji i wymiany przesyłek pocztowych będę miał możliwość zorientowania się, czy w tutejszym terenie nie występują jakieś znajome nazwiska. Na wszelki wypadek, żebym tak łatwo nie mógł wpaść komuś ze znajomych w oczy, nosiłem wówczas przyciemnione okulary. Po pewnym czasie okazało się, że w rejonie działania naszej placówki pocztowej osiedlił się rolnik o znajomym nazwisku – Władysław M., który mógł mnie rozpoznać. Podczas okupacji niemieckiej miałem okazję kilkakrotnie z nim się spotkać. Pochodził on ze wsi Serski Las, położonej przy szosie Augustów – Sejny. Jego szwagierka Waclawa, przychodząca na pocztę w sprawie przesyłek, podejrzanie mi się przyglądała.

Zdarzył się również inny zbieg okoliczności. Obsługiwałem Wisię Stefańską (późniejszą Jadwigę Tressenberg). Chcąc wyczuć, czy mnie przypadkiem nie rozpozna, starałem się

zamienić kilka słów. Ponieważ była w stroju studentki, zapytałem ją, gdzie studiuje. Okazało się, że w Gdańsku, zaś w Pozezdrzu znalazła się przejazdem. Następnie zapytałem, czy przypadkiem gdzieś nie spotkaliśmy się. Odpowiedziała, że nic się jej nie kojarzy. Było to dla mnie „na plus”.

Należy jednak przypomnieć, że Wisia – Jadwiga Stefańska w latach okupacji niemieckiej mieszkała w miejscowości Sopoćkinie i pracowała w niemieckiej administracji miasteczka, w niemieckim komisariacie. Pamiętam ją z czasów okupacji, kiedy wspólnie z „Głazem” uczestniczyliśmy w towarzyskim spotkaniu u Marii Kaźmierczyk (ps. „Nieznaną”, w późniejszym czasie żona „Wichra” Władysława Eksterowicza). Spotkanie odbyło się na punkcie kontaktowym w Wołowiczowcach. Stefańska, późniejsza Tressenberg, pracowała wówczas w niemieckim komisariacie. Z chwilą wkraczania wojsk sowieckich i kapitulacji Niemiec przeniosła się do Grodna. Następnie w 1945 r. wyjechała do Polski, przez pewien czas mieszkała w Gdańsku. Następnie przeniosła się do wsi Jurkowo, pow. Węgorzewo, potem do wsi Kuty. Wyszła za mąż za leśniczego z Puszczy Boreckiej Ludwika Tressenberga. Pracowała jako nauczycielka-bibliotekarka w szkole we wsi Kuty. W latach pięćdziesiątych była zatrzymana przez Urząd Bezpieczeństwa pod zarzutem kolaboracji i współpracy z administracją niemiecką w Sopoćkiniach. Dziwnym trafem ta sprawa nie nabrała rozgłosu, została jak gdyby „uciszona”. Nie przeszkodziło to Jadwidze Tressenberg, żyjącej zresztą do dzisiaj, zostać patronką szkoły w Pozezdrzu. Jej kandydaturę zgłosiła koleżanka – dyrektor szkoły Danuta Choroszko. Materiał we wniosku D. Choroszko nie został dogłębnie opracowany. Opierał się jedynie na biogramie zawartym w wydanej przez Jadwigę Tressenberg książce „Mazurskie opowieści”. Autorka nie podaje w nim podstawowych danych: miejsca urodzenia, spraw z czasów okupacji niemieckiej. Swój życiorys rozpoczyna dopiero od 1945 r., od przyjazdu z Grodna na Ziemię Odzyskaną. Komisja do Spraw Oświaty przy Radzie Gminy najpierw odrzuciła wniosek, uzasadniając decyzję brakiem głębszej weryfikacji kandydatki. Pomimo sprzeciwu członków gminnej Komisji Oświaty, decyzją Rady

Pedagogicznej oraz Samorządu Uczniowskiego, ukierunkowanego przez panią dyrektor, przyjęto Jadwigę Tressenberg – w końcu też osobą żyjącą - na patronkę szkoły w Pozezdrzu. Według mojej oceny Rada Pedagogiczna zbyt pochopnie podjęła decyzję, co jest krzywdzące, zarówno dla uczniów, jak i dobrego imienia szkoły pod przyjętym patronatem.

W miarę upływu czasu tereny okoliczne coraz bardziej się zasiedlały. Podczas segregacji listów i paczek coraz częściej trafiały się znajome nazwiska. Zastanawiałem się, czy nie zmienić pracy na mniej narażającą na kontakt z dużym gronem osób, tym bardziej, że nadarzyła się okazja. Organizowała się spółdzielnia handlowa pod nazwą „Jedność” (w późniejszym czasie przemianowana na Gminną Spółdzielnię „Samopomoc Chłopska”). Kierownictwo założycielskie zaproponowało mi prowadzenie ksiąg handlowych spółdzielni i zatrudnienie na pół etatu, z możliwością późniejszego zatrudnienia na pełnym etacie na stanowisku głównego księgowego. Propozycję przyjąłem, licząc na to, że praca biurowa będzie mniej „publiczna” i bardziej opłacalna.

W miarę upływu czasu nie tylko okoliczne tereny były coraz gęściej zasiedlane przez ludność napływową. Dało się również zaobserwować rozbudowanie służb bezpieczeństwa, tak w skali powiatu, jak i kraju. Penetracja służb bezpieczeństwa wzrosła nie tylko przed referendum „3 razy tak” (30 czerwca 1946 r.), ale i po nim. Pojawienie się oddziału „Burego” w okolicy Wydmin, zlikwidowanie przez ten oddział działacza PPR z Węgorzewa w okolicy wsi Boćwiki, zmobilizowało funkcjonariuszy UB. Dokonują oni aresztowań, poszerza się krąg osób podejrzanych.

Wiadomości nadchodzące z Okręgu Białostockiego i z Obwodu Augustowskiego były również niepokojące. Funkcjonariusze UB ze wzmożoną aktywnością dokonywali aresztowań członków AK. Dotarła do mnie smutna wiadomość o oblawie we wsi Starożyńce gm. Lipsk, dokonanej przez PUBP w Augustowie i funkcjonariuszy MO z posterunku w Lipsku z kmdantem Łebkiem na czele. Jak już wcześniej wspominałem, w czasie tej oblawy w dniu 1 czerwca 1946 r. zostaje zastrzelony

mój szczerzy kolega Jan Dadura ps. „Leszczyna”, którego z „Głazem” zaprzysiężyliśmy w 1943 r., kierując do oddziałów leśnych. Pochodził ze wsi Bohatery Leśne. W toku tejże obławy zostaje też zastrzelony mieszkaniec wsi Starożyńce Józef Snarski. Kilku innych mieszkańców zostaje postrzelonych, w tym Tadeusz Pankiewicz. Następują dalsze aresztowania mieszkańców wsi – m.in. Piotra Krysiuka ps. „Kryśka”, Tadeusza Pankiewicza, Bronisława Nieściera, Rajewskiego. Wszyscy zostali oskarżeni o przynależność do AK i skazani przez Wojskowy Sąd w Białymstoku na wysokie kary więzienia. Piotr Krysiuk za przynależność do AK i niezłożenie broni na łączną karę 8 lat więzienia i utratę praw obywatelskich na lat 5; Pankiewicz na 6 lat, Nieścier na 5 lat, Rajewski na 8 lat. Wszyscy oni odbywali kary we Wronkach, w więzieniu o zaostrowym rygorze.

Nadszedł rok 1947, a stabilizacji w dalszym ciągu nie było. W miesiącu lutym tegoż roku władze PRL ogłosiły amnestię, wzywając do ujawnienia się członków AK i innych organizacji podziemnych i do złożenia broni. Pomimo ogłoszenia amnestii i podania terminu jej trwania do 30 kwietnia 1947 r., funkcjonariusze UB nie zaprzestali aresztowań. Dochodzą ciągle wiadomości o nowych zatrzymaniach. Zostaje aresztowany kolega Czesław Burzyński, ps. „Burza”. Pochodził on z miejscowości Racicze. Należał do 8-mej kompanii por. „Zaleskiego”. Po kapitulacji Niemiec i ustaleniu nowych granic między ZSRR a PRL „Burza” znalazł się na terenie Polski. Pracował przez pewien czas w naszej gminie w Lipsku jako wojskowy referent, występując pod przybranym nazwiskiem Korczyński. W r. 1946 przeniósł się na Ziemie Odzyskane, podejmując pracę na terenie powiatu Giżycko w gminie Miłki. Pomimo zmiany nazwiska został rozszyfrowany przez UB. W połowie marca 1947 r., zostaje zaaresztowany. W akcję tego aresztowania angażuje się sam Mirosław M., oficer UB w Białymstoku, następnie generał, członek KC i członek Biura Politycznego KC PZPR w Warszawie. Należy podkreślić, że aresztowania „Burzy” dokonano w czasie trwania amnestii. Po aresztowaniu w Miłkach funkcjonariusze UB odtransportowali go do WUBP w Białymstoku, następnie przekazali w ręce

funkcjonariuszy NKWD, przez których został przewieziony na terytorium ZSRR przez punkt graniczny w Kuźnicy. Jak się później okazało, sąd w Mińsku skazał go na 20 lat.


**ZAŚWIADCZENIE**

Nr **91445 / 73596**

*Burzyński*  
Nazwisko

*Czesław*  
Imię

*23.10.1918 r. Racicze*  
Data i miejsce urodzenia




Upewniono do przejazdów PKP i PKS wg 50% zniżki

*[Signature]*  
podpis posiadacza zaświadczenia


  
**URZĄD DO SPRAW KOMBATANTÓW  
I OSÓB REPRESJONOWANYCH**

Niniejsze zaświadczenie uprawnia do ulg i świadczeń określonych w ustawie z dnia 24 stycznia 1991 r. o kombatantach oraz niektórych osobach będących ofiarami represji wojennych i okresu powojennego (Dz.U. nr 17, poz. 75 z późniejszymi zmianami).

  
**WICEDYREKTOR  
ZESPOŁU WERYFIKACJI**  
*[Signature]*  
mgr Edyta Szmalcówna  
Podpis

**RODZAJE I OKRESY  
ZALICZANE DO UPRAWNIEN  
USTAWOWYCH**

Okresy		Wyszczególnienie	Przepis ustawy
od	do		
03.09	1939	Wojna obywatela	Art. 1
09.11	1939	Pobyt w obozach karnych	Art. 3
10.07	1944	Armia Krajowa	Art. 1
07.05	1944	Wojsko Polskie	Art. 1
03.04	1947	Pobyt w więzieniach i łagrach ZSRR	Art. 3
Łącznie: lat 14		miesiące 2	
Zmiana: lat		miesiące	

  
**WICEDYREKTOR  
ZESPOŁU WERYFIKACJI**  
*[Signature]*  
mgr Edyta Szmalcówna  
Podpis

Adres zamieszkania

*ul. Konstytucji 3-go maja 49/5  
Goleniów*

Legitymacja kombatantska Czesława Burzyńskiego, zwolnionego z łagrów sowieckich dopiero w 1957 r.

Analizując podobne fakty, zastanawiałem się nad swoją sytuacją. Wyczuwałem, że nasze miejscowe organa MO i przyjezdne, z komendy powiatowej, przejawiają jakby większe zainteresowanie moją osobą. Aby się o tym upewnić, postanowiłem w sposób nie budzący podejrzeń zawrzeć bliższą znajomość z pracownikiem Urzędu Gminy prowadzącym ewidencję meldunkową – kartotekę ruchu ludności.

Wiedziałem, że w owych czasach, w związku z napływem ludności osiedleńczej z różnych terenów, ewidencja ludności była często analizowana przez funkcjonariuszy UB. Prowadził ją pracownik urzędu Zbigniew M., pochodzący z Wileńszczyzny. Bliższych znajomości z nim nie miałem, spotykaliśmy się przypadkowo. Miejscowym ludziom byłem bardziej znany z imienia, jako Albin, niż z nazwiska Łapiński, gdyż nazwiskiem mniej się posługiwałem. Pewnego razu, a był to początek 1947r., spotkałem się ze Zbyszkiem przy piwku. Starłem się nawiązać rozmowę na temat pracy. Zbyszek M. powiedział, że teraz coraz częściej ma „gości”, kontrolujących jego dział. Niby żartem zapytałem, czy mnie też „wałkujecie”. Odpowiedział, że specjalnie nie zwrócił na to uwagi, ale gdyby w przyszłości moja osoba budziła szczególne zainteresowanie funkcjonariuszy, to da mi znać.

Choć tym razem nie uzyskałem potwierdzenia zainteresowania moją osobą, to wyczuwałem instynktownie, że coś się wokół mnie dzieje. Zastanawiałem się, czy przypadkiem ktoś mnie nie „sypnął”. Mimo, że nie byłem w stanie nikogo posądzić, to jednak czułem, że zanoszą się na coś niedobrego. W tych okolicznościach kusiło mnie, aby nie zwlekać dłużej i zaryzykować ujawnienie się. W przeciwnym razie, po zaarrestowaniu, mogę być odtransportowany do ZSRR, jak kolega „Burza”. Jednocześnie wiedziałem, że na terenie ZSRR byłem bardziej poszukiwany niż kolega Burzyński, gdyż nawet wyznaczono nagrodę za ujęcie „bolszowo bandyty”.

Ostatecznie decyzję ujawnienia się przyspieszył telefon w pierwszych dniach kwietnia 1947 r. Słuchawkę podniósł kolega Piotr K. Będąc w pobliżu, też usłyszałem energiczny głos w słuchawce: „Albin jest?” Kolega odpowiedział: „Jest”. „To

poproś go pan do telefonu”. Kiedy przejąłem słuchawkę, nikt się nie przedstawił, tylko zabrzmiało pytanie: „To ty Albin?” Odpowiedziałem: „Tak”. I usłyszałem: „Spier....., pojechali po ciebie!” Trochę się zdenerwowałem. Wyczuł to kolega kierownik i zadał pytanie: „Co się stało?” Odpowiedziałem, że muszę natychmiast wyjechać do Giżycka.

Opuściłem budynek pocztowy, wychodząc drzwiami od strony zaplecza. Ulokowałem się u najbliższego mieszkańca – sąsiada budynku poczty, rolnika, pana Władysława O. Zająłem miejsce tuż przy oknie od ulicy i zacząłem obserwować. Nie upłynęło dłużej niż kwadrans, jak pod pocztę podjechał gazik, z którego wysiadło dwóch funkcjonariuszy UB. Po stwierdzeniu mojej nieobecności na poczcie, podjechali pod moje mieszkanie, które było zamknięte. Obeszli dom dookoła, zaglądali do wewnątrz przez okna i powrócili do gazika. Następnie przejechali ulicami Pozezdrza i zatrzymali się przy posterunku MO. Potwierdził się fakt, że jestem zdekonspirowany.

W tych okolicznościach podjąłem definitywną decyzję niezwłocznego ujawnienia się i to tak, aby wcześniej nie wpaść w ręce UB. Zatrzymałem się jeszcze parę dni w Pozezdrzu u dobrych przyjaciół. Następnie udałem się do Wydmin. Omówiłem zaistniałą sytuację z kolegami z AK, w tym również z „Głazem”. Poinformowałem o podjętej decyzji o ujawnieniu. Wieczorem 8 kwietnia 1947 r. zostałem zawieziony do Giżycka. Po przenocowaniu u „Śmiałego”, rano 9 kwietnia zgłosiłem się do PUBP w Giżycku, w tym czasie urząd mieścił się przy ul. Zajączka nr 1 (obecnie ul. Wyzwolenia). W oparciu o ogłoszoną amnestię ujawniłem swoją działalność okupacyjną w organizacji AK. Po obszerniejszej, protokołowanej rozmowie został wypełniony obowiązujący kwestionariusz. Po podpisaniu go i zabranii przez funkcjonariuszy moich dotychczasowych dokumentów na nazwisko Albina Łapińskiego otrzymałem zaświadczenie o ujawnieniu się nr 13378 na swoje własne nazwisko: Józef Pawluczyk, ur. 24. I. 1921 r. w Filadelfii, USA. Było to 9-go kwietnia 1947 r.



O D P I S

\*\*\*\*\*

Lp 18. Oświadczenie. Ja niżej podpisany: 1. Nazwisko, imię, imię ojca, Pawluczyk Józef s. Jana. 2. Korzystałem z nazwisk Łapiński Albin. 3. Urodziłem się Filadelfia USA 24.01.1921 roku. 4. Posiadam wykształcenie 7 oddz. Szkoły Powszechnej. 5. Posiadam zawód pracownik pocztowy. 6. Posiadam rodzinę złożoną z samotny. 7. Mieszkam w Pozezdrze pow. Węgorzewo. 8. Udaję się na stały pobyt Pozezdrze pow. Węgorzewo. 9. Pracuję Agencja P.T. Pozezdrze. 10. Zarejestrowany w RKU. Rostenberg nr 171/2 na Łapiński Albin poborowy. 11. Należę do partii (stronnictwa) bezpartyjny. 12. Należałem do nielegalnej organizacji AK. 8 komp. 13. obwód grodzieński. 13. Pełniłem funkcję łącznika. 14. Używam pseudonimów Palma. 15. posiadałem broń, radio aparat nadawczy itp. pistolet Vis i pepesza. 16. O mojej działalności podaję co następuje: W roku 1941 wstąpiłem do AK przydzielony zostałem do 8 komp., 13-go obwodu i dowódcą kompanii był Ob. "Zalewski" porucznik. Do roku 1943 pełniłem funkcję łącznika między obozem a oddziałami rezerwy. W roku 1943 wstąpiłem do służby czynnej biorąc udział w likwidowaniu punktów oparcia niemieckich w akcji z miejscowości Jazy zostałem ranny, po wyleczeniu pracowałem nadal aż do chwili nadejścia wojsk radzieckich. Po przyjsciu wojsk radzieckich polecenie otrzymaliśmy nadal utrzymać konspirację oraz uniknąć od powołania do armii czerwonej. W 1945r zostałem zatrzymany przez władze sowieckie, dowlezione do Grodna punkt zgrupowania obozowego z kąd udało się mi uciec, następnie przejść granicę do Polski zatrzymując się w strefie przygranicznej gm. Lipsk pow. Augustów, prowadząc nadal nielegalny przeżut członków AK z terenu ZSSR do PRL. W 1946r. zawieszam całkowicie działalność organizacyjną i pod nazwiskiem Łapiński wyjeżdżam na Ziemię Odzyskane przystępując do pracy pod przybranym nazwiskiem do chwili ogłoszenia amnestii. W międzyczasie żadnych łączności w nielegalnymi organizacjami nie miałem. Broń którą posiadałem tj. j. pepesza wpadła w ręce wojsk radzieckich przy akcji przeprowadzania przeżutu i łączności granicznej na terenie Związku Radzieckiego. Pistolet Vis spalił się na przechowaniu na punkcie kontaktowym Bartniki. Obecnie żadnej broni nie posiadam. Pawluczyk J. Oświadczam, że dobrowolnie zaniechałem swej dotychczasowej przestępczej działalności. Jednocześnie składam nie posiada i oświadczam że więcej przedmiotów zakazanych a wymienionych w art. 2 § 1 pkt 2 ustawy z dnia 22 lutego 1947 roku o amnestii nie posiadam. Znana mi jest treść art. 19 wspomnianej wyżej ustawy, który brzmi: w wypadku gdy osoba, która korzystała z amnestii stosownie do przepisów art. 2 (nieuczynalnie) 2 lat od dnia wejścia w życie

verte

niniejszej Ustawy, popełnił nowe przestępstwo tego samego rodzaju... co przewidziane w wyżej wymienionych przepisach - sąd wymierzając karę za nowe przestępstwo nie może orzekać kary niższej od odpowiedniego a... najniższego ustawowego wymiaru kary przewidzianego za dane przestępstwo nie przekraczając jednak ustawowej granicy danego rodzaju kary. ... Giżycko, dnia 9.IV.1947 r. Pawluczyk. Niniejsze oświadczenie złożone zostało dnia 9.IV.1947 r. przed Komisją w Powiatowym Urzędzie Bezpieczeństwa Publicznego w Giżycku. Przedstawiciel Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego Wyporski Karol. Przedstawiciel Rady Narodowej podpis nieczytelny. Otrzymałem zaświadczenie nr 13318. Pawluczyk J.

Od opuszczenia Pozezdrza i porzucenia placówki pocztowej upłynęło ponad tydzień czasu. Aby zorientować się, jak sprawy wyglądają, udałem się do Urzędu Pocztowego w Giżycku, skąd przedzwoniłem do naczelnika poczty pana Romana w Węgorzewie. Chciałem wiedzieć, czy nie został rozwiązany stosunek pracy z powodu samowolnego porzucenia pracy. Kiedy wyjaśniłem okoliczności, zostałem poinformowany, że mogę normalnie wracać do urzędu pocztowego. Na czas nieobecności zostanie mi udzielony urlop okolicznościowy.

Wieczorem tegoż dnia dotarłem do Pozezdrza, zatrzymując się u znajomych. Interesowały mnie działania władz i ich postępowanie po mojej ucieczce przy próbie aresztowania i podczas mojej nieobecności. Jak wynikało z uzyskanych informacji, mój dom był całymi dniami pod obserwacją, zaś nocami ormowcy pełnili na zmianę wartę w przyległym do domu pomieszczeniu - składzie na opał.

Rano zgłosiłem się do pracy, przejmując obsługę centrali telefonicznej. Było duże zaskoczenie, kiedy funkcjonariusz z posterunku MO w Pozezdrzu, usłyszawszy mój głos w słu-

chawce, zamiast omawiać swoje sprawy, od razu meldował, że osoba, którą mieli zatrzymać, jest na poczcie w Pozezdrzu. Z tego wynika, że miejscowy posterunek MO nie został poinformowany o moim ujawnieniu się. Poza tym funkcjonariusz był na tyle naiwny, że łącząc się przez centralę, sądził, że nie ma możliwości podsłuchu.

Inaczej natomiast wyglądała sprawa w PUBP w Węgorzewie. Tam już było wiadomo, że się ujawniłem w PUBP w Giżycku. Rejonowy Urząd Pocztowy w Węgorzewie i Urząd Bezpieczeństwa mieściły się w owym czasie przy ul. Jasnej. Następnego dnia już od samego rana w Urzędzie Pocztowym w Węgorzewie funkcjonariusz UB oczekiwał mego przyjazdu w celu wymiany przesyłek pocztowych. Po dokonaniu formalności z wymianą, kiedy opuszczałem urząd, zostałem poproszony przez owego funkcjonariusza „na pół godzinki”, jak to określił, do Urzędu Bezpieczeństwa. Pomimo posiadania otrzymanej karty ujawnienia (tak wówczas określano ów dokument), obawiałem się, czy aby nie zostaną zatrzymani.

Po krótkim czasie oczekiwania na dyżurce zostałem poproszony i doprowadzony do gabinetu szefa. Dziś już nie przypominam sobie, kto to był. Rozmowa odbywała się w cztery oczy. Na wstępie poinformowano mnie, że nic mi już nie grozi, ponieważ się ujawniłem i że nie jestem zatrzymany, a poproszono mnie jedynie na pogawędkę. W toku rozmowy zorientowałem się, że chodzi o informację, przez kogo byłem uprzedzony przed aresztowaniem na poczcie. Prowadzący rozmowę w końcu otwarcie przedstawił swoje przypuszczenie, że musiał tego dokonać któryś z milicjantów z naszego posterunku. Wymienione zostały nazwiska wszystkich milicjantów, m.in. i Mariana M., który meldował o mojej obecności na poczcie. Funkcjonariusz UB zapewnił mnie, że spotkanie i rozmowa pozostanie tajemnicą. Wystarczy przy wymienianym nazwisku powiedzieć: „Tak, on”. Kategorycznie zaprzeczyłem, jakobym był przez kogokolwiek uprzedzony. W tych okolicznościach miałem okazję, aby zemścić się na którymś milicjancie, jednak uważałem, że byłoby to nieuczciwe z mojej strony. Raz jeszcze oświadczyłem, że przez nikogo nie byłem uprzedzony.

Opuszczenie urzędu pocztowego 15 minut przed przyjazdem funkcjonariuszy UB było zbiegiem okoliczności. Moje tłumaczenie nie przekonało prowadzącego rozmowę funkcjonariusza. Na odchodnym polecił mi, abym się namyślił. W każdej chwili mogę się zgłosić, gwarantuje mi stuprocentową dyskrecję.

Chociaż nie zostałem zatrzymany, zorientowałem się, że funkcjonariusze UB nie mogą sobie darować tego, że nie doszło do aresztowania mnie przed ujawnieniem i że skorzystałem z ustawy amnestyjnej we właściwym czasie, zgodnie z obowiązującymi przepisami. Stało się to również po części dzięki Zbysz-kowi M., gdyż tajemniczy telefon pochodził od niego.

W naszej osadzie, na wieść o próbie aresztowania Albina przez służby bezpieczeństwa i wymknięciu się go im tuż sprzed samego nosa, zaczęły krążyć wyolbrzymione plotki-pogłoski; szczególnie po ujawnieniu się i powrocie do domku, który niemal przez dwa tygodnie był obserwowany. Mówiono, że Albin nie jest już Albinem, gdyż się ujawnił i jest dowódcą organizacji AK, pod innym imieniem i nazwiskiem. Ja sam byłem pewien, że w dalszym ciągu jestem pod obserwacją UB. Czuję się jednak swobodniejszy. Po ujawnieniu po raz pierwszy pozwoliłem sobie podczas urlopu wypoczynkowego odwiedzić swoje strony i tereny przygraniczne, spotkać się z przyjaciółmi i przyjaciółkami z byłych punktów kontaktowych.

Wiadomości, jakie uzyskałem po przyjeździe w teren placówki III-go plutonu nie były pocieszające, szczególnie te, które napływały z terenu Grodzieńszczyzny. NKWD nadal z brutalną surowością dokonywało masowych aresztowań. Przy brutalnych metodach śledczych niektórzy z aresztowanych nie wytrzymywali. Zeznawali wszystko na różne okoliczności – co wiedzieli, czasem więcej niż wiedzieli. Często przyznawali się do wszystkich zarzutów, jakie im stawiano w toku śledztwa i do czynów, których nie popełnili. Jednym z tych, którzy się załamali był młody chłopak z naszych okolic – z punktu kontaktowego kolonii Prolejki - Jan Wilczyński „Caruk”. Sypał wszystkich, których znał. Z samej naszej wsi Bohatery Leśne zostaje zaaresztowany mój szwagier Józef Masiejczyk syn Adama, jego siostra Czesława (łączniczka pod ps. „Borówka”),

szwagier „Głaza” Antoni Rapczyński, Witold Milewski, Makowski, Franciszek Wilczyński („Poniatowski”). Z sąsiadującej kolonii – Stanisława Zarzecka. Z kolonii Prolejki Jan Arciszewski z żoną, Józef Matwiejczyk ps. „Chmura”, jego córka Jadwiga – łączniczka ps. „Konwalia”. Także ksiądz naszej parafii Hołynka – Władysław Krasowski ps. „Dąbrowa”. Wszyscy oni zostali osadzeni w więzieniu w Grodnie. Wyrokiem Sądu Wojennego w Grodnie zostali skazani na długoletnie kary przymusowych prac w łagrach syberyjskich, na dalekiej północy ZSRR. Część aresztowanych zostaje zamordowana na miejscu w więzieniu w Grodnie, w toku śledztwa, w tym Jan Arciszewski, Józef Matwiejczyk oraz Makowski.

W ręce NKWD wpadł również osadnik kolonii Prolejki Zarzecki, który w 1940 r. po aresztowaniu, w czasie deportacji, uciekł. Do czerwca 1941 r. przebywał na terenach okupowanych przez Niemców. Po kapitulacji Niemiec powrócił w swoje strony. Po zajęciu Grodzieńszczyzny przez ZSRR zostaje ponownie zatrzymany przez NKWD. Jak przekazała Stanisława Zarzecka (obecnie Aleksiejczyk, zam. w Ełku), która była oskarżona o przeprowadzanie osób przez granicę i więziona w tym samym więzieniu z wymienioną wyżej grupą aresztowanych, Arciszewski, Matwiejczyk, Makowski byli przez nią widziani w czasie doprowadzania na przesłuchania tylko w pierwszej fazie śledztwa. Później wszelki ślad po nich zaginął, podobnie jak po osadniku Zarzeckim. Nikt ich już nie widział ani w śledztwie, ani na procesach sądowych. Zostali zamordowani podczas śledztwa w Grodnie w 1947 r. Fakt ów potwierdza „Sprawka” MSW Republiki Białoruś wydana w sprawie Józefa Matwiejczyka.

Pozostali przy życiu z tej grupy aresztowanych zostali skazani przez Wojenny Trybunał Wojsk MSW Grodzieńskiego Okręgu: Stanisława Zarzecka za przejście granicy do Polski z art. 61/3 na 7 lat łagrów, Czesława Masiejczyk „Borówka” za przynależność do AK na 10 lat; Jadwiga Matwiejczyk „Konwalia” za przynależność do AK na 10 lat; ks. Władysław Krasowski ps. „Dąbrowa” na 25 lat, ; Antoni Rapczyński za przynależność do AK na 10 lat.

Natomiast młody chłopak, mieszkaniec wsi Bohatery, mój były sąsiad Witold Dadura uniknął w tym samym czasie aresztowania, przenosząc się przez granicę między PRL a ZSRR do wsi Starożyńce, do swojej kuzynki Baranowskiej. W 1948 r. granica państwowa została przesunięta tak, że wieś Bohatery znalazła się po stronie polskiej. Korzystając z tego Witold Dadura wrócił do domu rodzinnego, do matki. Długo się nie nacieszył. W lipcu 1948 r. został aresztowany przez funkcjonariuszy UB. Najpierw był przetrzymywany w Wojewódzkim Urzędzie Bezpieczeństwa Publicznego w Białymstoku, potem został przekazany do Grodna w ręce NKWD. W dniu 29 stycznia 1949 r. wyrokiem Wojskowego Trybunału Ministerstwa Spraw Wewnętrznych Grodzieńskiego Okręgu, na podstawie art. 63/1 Kodeksu Karnego BSRR (za zdradę ojczyzny) skazany został na 25 lat pozbawienia wolności i utratę praw obywatelskich na 5 lat. Karę odbywał w łagrze Magadan AB – 47<sup>34</sup>.

<sup>34</sup> Odpisy wyroków wyżej wymienionych skazanych znajdują się w archiwum Autora.

## ROZDZIAŁ VI

### Lata prowokacji

Po ujawnieniu mojej działalności rok 1947 upłynął bez specjalnych wydarzeń. W drugiej połowie tegoż roku postanowiłem zrezygnować z pracy na poczcie. Po ujawnieniu się nie zachodziła potrzeba obserwacji mieszkańców o znajomych nazwiskach w obawie przed „wsypą”, czy też podsłuchiwania rozmów telefonicznych prowadzonych z naszego posterunku MO. Korespondencja nadsyłana na nazwisko Pawluczyk była mi oficjalnie doręczana. Rozwiązując umowę o pracę z Dyrekcją Poczty i Telegrafów w Olsztynie, przeszedłem do pracy w Gminnej Spółdzielni Samopomoc Chłopska i przejąłem obowiązki głównego księgowego na pełnym etacie. Pracy miałem więcej, być może też była ona bardziej odpowiedzialna, ale korzystniejsza finansowo. Z upływem czasu poszerzył się zakres działalności gospodarczej Spółdzielni. Powstały nowe punkty skupu żywca, ziemiopłodów; rozbudował się zakres usług rolniczych takich jak usługi kowalsko-warsztatowe w zakresie remontu sprzętu i usług traktorowych (SOM – Spółdzielczy Ośrodek Maszynowy, po pewnym czasie przemianowany na GOM – Gminny Ośrodek Maszynowy). Pracy przybywało, szczególnie w księgowości. Usługi warsztatowe i inne dotyczące sprzętu rolniczego były wykonywane przeważnie na kredyt. Wymagało to prowadzenia szerokiej ewidencji dla rolników indywidualnych. Stan zatrudnienia w dziale księgowości powiększał się, jednak w najbliższym terenie wystąpiły trudności w doborze odpowiednich pracowników. Nowozatrudnionych trzeba było szkolić, często początkujący mieli trudności ze skojarzeniem pojęć: winien – ma, rozumując odwrotnie. Mimo to w skali powiatu wypadałem dobrze. Bilanse i wszelkie sprawozdania finansowe były sporządzane bezbłędnie i w terminach. W nadrzędnej jednostce cieszyłem się zaufaniem głównego księgowego, zresztą nie tylko w sprawach służbowych, lecz i poza nimi. Czasem uprzedzał mnie, aby

mieć się na baczności, gdyż z chwilą ujawnienia towarzyszy kadrowiec odnosi się do mnie podejrzliwie. Podobne ochłodzenie stosunków wobec mojej osoby zaobserwowałem wśród miejscowych władz, w szczególności funkcjonariuszy MO, wójta gminy, gminnego sekretarza PPR i niektórych działaczy społeczno-partyjnych. Komendantem posterunku MO był w owym czasie Marian Górecki, wójtem Piotr Butanowicz, sekretarzem powiatowego komitetu PPR w Węgorzewie – tow. Olzak. Choć moje stanowisko kwalifikowało się jako kierownicze, ze wskazaniem mianowania nań osoby partyjnej, ja do żadnej partii nie należałem. Jeśli po ujawnieniu się wzbudzałem podejrzliwość wśród towarzyszy, to większość miejscowej społeczności była przyjazna, co wyraźnie dało się zaobserwować.

Nadszedł rok 1948. W zakresie pracy – bez zmian: zamykanie wyników bilansowych, bieżące rozliczanie zakupów – sprzedaży, skup z kontraktacji produkcji rolnej i zwierzęcej itp. Dostawy skupu żywca zwykle były większe w pierwszych dniach miesiąca, tak też było na początku marca. Ponieważ zbliżały się Święta Wielkanocne, dodatkowe zwiększone dostawy żywca spowodowały, że skup miał trwać do godzin wieczornych. Pracę biurową zakończyłem o godz. 15-tej i udałem się do swojej kawalerki na obiad. Jednak interesowało mnie, jak przebiega skup i kiedy się skończy. Postanowiłem około godz. 17-tej wrócić do pracy. Byłem szczególnie zainteresowany, gdyż upoważniłem wówczas kierownika warsztatu Aleksandra P. do ściągania należności za usługi maszynowo-warsztatowe od rolników zalegających z opłatami. Obiekty warsztatowe i biuro warsztatu mieściły się w oddzielnych pomieszczeniach obok placu skupu żywca. Po dotarciu tam kilkanaście minut po 17-tej zostałem niemiłe zaskoczony. W biurze kierownika warsztatu odbywała się pijatyka. Uczestniczyło w niej kilku rolników, służba rolna gminy i pan wójt Piotr B. Całe to towarzystwo chwiała się na nogach, razem z kierownikiem warsztatu Aleksandrem P. W tych okolicznościach musiałem wszystkich wyprosić. Niezbyt to się podobało obecnym, a szczególnie wójtowi. Mnie jednak zależało na zabezpieczeniu gotówki, inkasowanej przez kierownika warsztatu. Upoważniając kierownika i

wydając mu bloczek kasowy czułem się do pewnych granic współodpowiedzialny, szczególnie w zaistniałych okolicznościach, mogących doprowadzić do nadużyć lub kradzieży.

Zaleciłem kierownikowi, żeby kasetkę, szafy i biurko pozamykał i aby sam opuścił pomieszczenie biurowe, zamykając drzwi zewnętrzne. Zatrzymałem przy tym jeden komplet kluczy. Należało jeszcze odprowadzić kierownika do domu, do żony Leokadii. Towarzystwo rozeszło się nieco wcześniej, jedynie wójt przez cały czas nie odchodził. Kiedy prowadziłem pod ramię Aleksandra P., zostałem w pewnym momencie, bez żadnych przyczyn i uprzedzeń, uderzony pięścią w twarz przez pana wójta Piotra B. Nie był to cios zbyt silny i bolesny. Bardziej zaboląły mnie słowa przez niego wypowiedziane: „Sk...synie, bandyto, przyszedł czas ciebie wykończyć!” Zamierzał ponownie uderzyć, lecz na skutek mojego uniku stracił równowagę, a że było jeszcze trochę śnieżno i ślisko, to się przewrócił. Przymuszczałnie mógł się lekko potłuc.

Po zaprowadzeniu Aleksandra do domu krótko poinformowałem jego żonę o zaistniałej sytuacji i uprzedziłem, że następnego dnia przeprowadzona zostanie inwentaryzacja magazynu i rozliczenie zainkasowanej gotówki. Aleksander spokojnie położył się spać.

Wracając od państwa P. wstąpiłem do znajomych – państwa Stanisławy i Józefa N. Po niecałych dwóch godzinach dotarła do mnie wiadomość, że jestem poszukiwany przez Mariana M., milicjanta miejscowego posterunku i zięcia wójta, w celu zatrzymania mnie. Marian M. wezwał karetkę Pogotowia Ratunkowego, aby ulokować teścia w powiatowym szpitalu w Węgorzewie. Z tego wynikało, że zajście z wójtem może być dla MO i UB okazją do prowokacji i bezzasadnych oskarżeń. Niezwłocznie należało działać „kontra”.

Tej nocy nie poszedłem spać do swojego domu, przeno-cowałem u znajomych. Następnego dnia rano pojechałem do Węgorzewa. Zgłosiłem się do głównego księgowego PZGS z prośbą o wytypowanie inwentaryzatora ze strony PZGS w celu komisyjnego przeprowadzenia inwentaryzacji kasy i podręcznego magazynu kierownika warsztatu. Poza tym zasięgnąłem u

znajomych pracujących w służbie zdrowia informacji ze szpitala. Z diagnozy lekarza dyżurnego wynikało, że główną przyczyną złego stanu zdrowia wójta było nadmierne spożycie alkoholu. Postanowiłem więc udać się do Powiatowej Rady Narodowej. Sekretarzem Rady był w owym czasie dobry mój znajomy Antoni S. Wiedziałem od pracowników z naszej gminy, że pan wójt, lubiąc czasem popić, pobierał zaliczki, rzekomo na wydatki i cele służbowe, z których praktycznie rozliczał się nowo pobranymi zaliczkami. Jak się okazało, to postępowanie wójta było po części znane organom powiatowym. Ustaliśmy, że ze strony Powiatowej Rady będzie wytypowana komisja w celu przeprowadzenia kontroli kasy i celowości zaliczek pobieranych i rozliczanych przez pana wójta.

Pozostała jeszcze sprawa bodajże najważniejsza, a mianowicie ustalenie, czy z Komendy Powiatowej MO zostało wydane polecenie dla posterunku w Pozezdrzu, aby mnie zatrzymać. Zgłosiłem się na Komendę i poprosiłem o rozmowę z komendantem. Opisałem całe zajście i zapytałem, czy został wydany nakaz mego aresztowania, gdyż posterunkowy MO w Pozezdrzu Marian M. poszukuje mnie, rzekomo w celu aresztowania. Podkreśliłem jednocześnie, że jeśli zajdzie potrzeba, zobowiązuję się stawić w każdej chwili, zaś obecnie muszę dokonać rozliczeń kasy i magazynu wspólnie z komisją PZGS. Otrzymałem od komendanta zapewnienie, że nikt mnie nie zatrzyma i mam wykonywać swoje obowiązki zgodnie z przepisami i z zaistniałymi okolicznościami.

Parę dni później faktycznie została przeprowadzona kontrola w gminie Pozezdrze, która potwierdziła opisane fakty. Pomimo, że pan wójt Piotr B. był teściem funkcjonariusza MO Mariana M. i jednocześnie teściem pierwszego powiatowego sekretarza PPR tow. O., został odwołany. Nowo powołanym wójtem naszej gminy został Michał Baniewski. W rozliczeniach kierownika warsztatu Aleksandra O. nie stwierdzono braków. Otrzymał jedynie od zarządu Spółdzielni naganę i potrącenie kwartalnej premii.

Następna przykrość spotkała mnie w miesiącu sierpniu tego samego roku. W naszej miejscowości była dość dobrze zorgani-

zowana młodzież w ramach Ochotniczej Straży Pożarnej. Kierownikiem był Ignacy Kołodziejski, który był dobrym organizatorem. Koło straży pożarnej często urządzało potańcówki dla miejscowej młodzieży i okolic. Obowiązywały bilety wstępu, zabawa była połączona ze sprzedażą bufetową piwa, oranżady oraz wódki. Uzyskiwane dochody przeznaczano na działalność straży, na drobne zakupy wyposażenia, po części na umundurowanie. Na taką imprezę zwykle trzeba było uzyskać pozwolenie władz powiatowych. Była więc okazja do obecności różnych stróżów prawa, mundurowych i cywilnych z władz powiatu.

Sierpniowego popołudnia, podczas jednej z takich imprez, spotkałem się w pobliżu sali kinowej, gdzie odbywała się zabawa, z kolegą z poprzedniej pracy Piotrem K. Był w towarzystwie żony, pani Gieni. Po krótkiej rozmowie zdecydowaliśmy się wstąpić na małe piwko. W sali kinowej na scenie przygrywała duża orkiestra. W pewnym momencie zdecydowaliśmy z panią Gienią, że zatańczymy. Sala była duża i było sporo miejsca do swobodnego bawienia się. Jednak tańczący obok nas mundurowy funkcjonariusz, w czapce na głowie, co chwila nas potraçał. Zrozumiałem, że robi to świadomie. Zwróciłem mu więc uwagę, aby grzeczniej się zachowywał. Widocznie tylko na to czekał, aby mieć pretekst. Może też poczuł się urażony. Z miejsca zostawił swoją partnerkę i przystąpił do mnie z pretensjami, usiłując uderzyć mnie w twarz. Obserwując jego ruchy, parowałem je lewą ręką, tak, że żaden cios nie dochodził do skutku. Funkcjonariusz był niższy ode mnie. Przy moim wzroście 184 cm żaden planowany cios nie przyniósł efektów. Część sali zaczęła się gapić, część nadal tańczyła. Widząc, że nie osiągnie zamierzonego efektu, postanowił kopnąć mnie butem i to tak niefortunnie, że trafił panią Gienię. Żona kolegi krzyknęła: „O, Jezu!” Był to dla mnie punkt kulminacyjny, przestałem się cofać jednocześnie się osłaniając, jak czyniłem dotychczas. Będąc zdenerwowany, posłałem facetowi może zbyt prężny prawy prosty, gdyż od razu runął na ziemię jak długi. Czapka, w której tańczył, też potoczyła się po podłodze. Słysząc było kilka oklasków, na sali zawrzało. Momentalnie zostałem otoczony przez różnych stróżów władzy mundurowej

i cywilnej. Drugi pierścień utworzyli koledzy, strażacy i młodzież. Powstało ogólne zamieszanie, orkiestra przestała grać. Koniecznie chciano mnie odprowadzić na posterunek MO. Komendantowi posterunku Marianowi G. powiedziałem, że nigdzie się nie ruszam. Żądam, aby komendant wezwał natychmiast pogotowie ratunkowe i lekarza. Partnerka moja jest w zaawansowanej ciąży. Została kopnięta butem w podbrzusze, grozi jej poważne niebezpieczeństwo. W przeciwnym razie za komplikacje zdrowotne będzie współodpowiedzialny komendant razem z tym „bydlakiem”, który kopie niewiasty butem w krocze. Moja partnerka, pani K. trochę, co prawda, przesadziła w okazywaniu oznak bólu. Ale na skutek tak postawionej przeze mnie sprawy wszyscy „pobaranieli”. Komendant zmienił taktykę. Zaczął nawoływać: „Spokój! Rozejść się!” Orkiestrze, która w czasie zamieszania przestała grać, nakazał grać dalej, uczestnikom dalej spokojnie się bawić. Jeżeli wydarzenie to było planowane jako prowokacja, to uważam, że i tym razem zamiary „spaliły na panewce”.

Jednak spokoju nie zasnalem zbyt długo. Już w grudniu tegoż 1948 r. przedstawiciele władzy zaczęli działać otwarcie. W trzeciej dekadzie grudnia, po pracy, umówiliśmy się z koleżankami i kolegami, aby spotkać się wieczorem u państwa P. i Z. Planowaliśmy rozrywkę – kawały, anegdotki, gra w karty, przy tym jakaś „ćwiartka” itp. Około godz. 20-tej raptem ktoś puka do drzwi. Wchodzi Ryszard M., funkcjonariusz MO z naszego posterunku. Zwracając się do mnie, powiada: „Panie Pawluczyk, nachodziłem się dziś za panem. Dobrze, że w końcu spotkałem. Są panowie, którzy pilnie chcą z panem porozmawiać. Proszę wyjść, gdyż oni czekają”.

Jak się okazało po wyjściu, przed domem stał „gazik”, a w samochodzie trzech panów z kierowcą. Poinformowano mnie, że mają ze mną do omówienia pewną sprawę, ale w moim mieszkaniu. Z ulicy Świerczewskiego przejechaliśmy na 1-go Maja pod mój dom. Otworzyłem, wszyscy weszli. Przedstawili się, że są pracownikami służb bezpieczeństwa. Mają nakaz przeprowadzić rewizję. Jednak, aby zaoszczędzić wszystkim kłopotu, radzą wskazać miejsce przechowania obcych walut.

Spytałem, o jakie waluty chodzi. Jeden z nich odpowiedział: „Ano, dolary”. Odpowiedziałem, że wszystkie pieniądze jakie mam, są w portfelu, który staram się mieć zawsze przy sobie. Padło pytanie: „Czy dolary też?” Odpowiedziałem, że tak, dodając: „Jeśli panom o to chodzi, to proszę bardzo”. Wyjąłem portfel, w którym był banknot, zdaje się 20-dolarowy, już dziś dokładnie nie pamiętam. „Mogę go wam przekazać nie do konfiskaty, a do depozytu, za pokwitowaniem”. Po spisaniu numeru banknotu, serii i daty, otrzymałem pokwitowanie. Funkcjonariusze, zadowoleni, że bez kłopotu osiągnęli swój cel, odjechali, nie przeprowadzając rewizji.

Następnego dnia zostałem powiadomiony przez nasz posterunek, że mam zgłosić się do powiatowego UB w Węgorzewie. Po zgłoszeniu się zostało przeprowadzone przesłuchanie na okoliczność posiadanych dolarów. Wyjaśniłem i potwierdziłem listem od brata z Ameryki, który pisał, że w załączeniu przesyła 20 dolarów, podając nr banknotu, serię i datę, które zgadzały się z banknotem zatrzymanym. Ustaliliśmy z bratem taki system ewidencji, aby wszystkie przesyłane przez brata pieniądze były w ten sposób rejestrowane. Pomimo moich wyjaśnień, pieniądze nie zostały zwrócone, a ja nie zostałem zwolniony. Odprawiono mnie do aresztu, do celi piwnicznej (dziś już numeru nie pamiętam).

Następnego dnia zostałem odtransportowany do PUBP w Giżycku. Po wstępnych przesłuchaniach, dotyczących personaliów, zostałem odprowadzony do aresztu. Areszty w UB w większości mieściły się w piwnicach. W Giżycku, odmiennie niż w innych urzędach, na areszt została przeznaczona ostatnia górna, 5-ta kondygnacja budynku zajmowanego przez UB przy ul. Zajęczka nr 1. Kolejnego dnia zostałem doprowadzony na przesłuchania do gabinetów mieszczących się na dole. Prowadzący śledztwo przedstawił się jako oficer śledczy PUBP w Giżycku, Tadeusz Sadowski. Przez cały czas pobytu w Giżycku przesłuchanie było prowadzone przez niego. Zdarzały się wypadki, że dopuszczał się rękoczynów, uderzając w twarz. Mimo to, mam mniejsze do niego pretensje niż do dozoru służb aresztu. Oficer śledczy był do pewnych granic odpowie-

dzialny za wyniki śledztwa. Obsługa dozoru aresztu w większości nie znała przestępstw zatrzymanego, jej obowiązkiem było doprowadzić zatrzymanego z aresztu na przesłuchanie i z powrotem. Byli to ludzie o bardzo niskiej kulturze. Doprowadzało mnie dwóch strażników – jeden z przodu, drugi z tyłu. Przy doprowadzaniu byłem kopany butem przez strażnika idącego z tyłu, na każdej klatce schodowej, a jeśli nadażał, to na poszczególnych stopkach schodowych. Uderzenia w większości były kierowane w kość ogonową, biodra i nerki. Te wszystkie przejścia, razem z późniejszymi, jak karcery, piwnice, spania na posadzkach betonowych łącznie przez 11 miesięcy, sprawiły, że po pewnym czasie zdrowie zaczęło się pogarszać. Wskutek stresu nabawiłem się choroby wrzodowej żołądka. Wskutek przeziębień i kopań wysiadły stawy biodrowe. W późniejszym okresie zaszła konieczność dokonania przeszczepu obu stawów biodrowych na endoprotezoplastik.

Przesłuchania w PUBP w Giżycku nie doprowadziły do postawienia konkretnych zarzutów. W areszcie w Giżycku przebywałem niecały tydzień. Któregoś popołudnia strażnik otworzył drzwi celi i polecił, abym zabrał wszystkie swoje rzeczy. Zbierając „manele”, pomyślałem, że w końcu dadzą spokój, zostaną zwolniony. Po zejściu na dół okazało się całkiem co innego. Przed urzędem stał już uruchomiony gazik. Kazano mi zająć miejsce w gaziku w towarzystwie kierowcy i dwóch „opiekunów”. Ruszyliśmy w nieznaną. Wyjechaliśmy z miasta, minęliśmy stadion. Pomyślałem, że jedziemy do Olsztyna. Raptem przed Niegocinem skręcamy w prawo. Drogowskaz wskazuje kierunek Kętrzyn. Zrozumiałem, że jednak nie do Olsztyna. Wjeżdżamy do Kętrzyna. Około 16-tej zatrzymujemy się przed PUBP w Kętrzynie – jak zwykle formalności z przekazaniem, następnie doprowadzenie do aresztu, zamknięcie w celi piwnicznej itd.

Tego dnia nie byłem przesłuchiwany. W piwnicznej celi w Kętrzynie była prycza, mogłem się położyć. Zacząłem się zastanawiać, co mnie może wiązać z Kętrzynem. Przypomniałem sobie, że podczas pracy na poczcie w Pozezdrzu, w czasie obsługi centrali, w wolnych chwilach, plotkowało się z koleżan-

kami z sąsiednich central. Rozmawiałem m.in. z telefonistką Celiną Chirkowską, siostrą Romana Chirkowskiego „Lecha II”, który był w oddziale „Góry” (K. Okulicza), na terenie 7-go Obwodu Augustów. Państwo Chirkowscy zamieszkiwali w Grodnie. W 1945 r. „Lech II” został zaaresztowany przez NKWD i skazany na długoletnie prace w łagrach syberyjskich. Ojciec z córką w ramach repatriacji przyjechali do Polski, osiedlając się w Kętrzynie. Przypomniałem, że czasem rozmawialiśmy z Celiną Chirkowską o jej bracie Romanie i zacząłem się zastanawiać, czy przypadkiem te rozmowy nie były podsłuchane.

Następnego dnia zostałem wezwany na przesłuchanie. Jak się zorientowałem w trakcie stawianych pytań, na poczcie w Kętrzynie wystąpiły nadużycia, kradzieże paczek i listów. Zrozumiałem, że w tę aferę usiłują mnie wpłatać. Stawiano bezzasadne zarzuty, które w ogóle nie miały jakichkolwiek podstaw i powiązań z moją osobą. Zaprzeczyłem wszystkim oskarżeniom, określając je jako fikcję. Przez następne dwa dni nie byłem wzywany na przesłuchanie. Przypuszczam, że w tym czasie ustalano taktykę w celu sprefabrykowania zarzutów mogących mnie obciążać.

Trzeciego dnia około godz. 9-tej zostaje wezwany i doprowadzony na ponowne przesłuchanie. Kazano mi chwilkę poczekać w dyżurce. Po kwadransie patrzę – prowadzą (można określić demonstracyjnie) byłą telegrafistkę, koleżankę Celinę Chirkowską. Chciano mi dać do zrozumienia, że również jest aresztowana. Przy przesłuchaniu stawiano mi zarzuty oparte rzekomo na jej zeznaniach. Jeżeli nie przyznam się do paserstwa, to ona będzie zeznawać „naocznie”. Od razu wyczułem, że to blef. Uśmiechając się ironicznie, kategorycznie zaprzeczyłem wszystkim zarzutom, określając je jako zwykłą prowokację, gdyż w ogóle nie było zajść, o których mówiono. Powiedziałem, że tak sformułowane zarzuty w ogóle nie będą przeze mnie w protokole podpisane. Przez następne dwa dni miałem spokój. Wyżywienie było podawane do celi jak zwykle: zbożowa czarna kawa, czasem do chleba symboliczna ilość margaryny lub marmolady. Na obiady parokrotnie była

zupa i ziemniaki. Chyba raz, w jakiś dzień świąteczny, były ziemniaki z porcją jakiegoś mięsa.

Po dwudniowej przerwie zostaje zaproszony do gabinetu na następne przesłuchanie, tym razem, jak się okazało, odmiennej treści. Przesłuchujący interesował się, w jakich okolicznościach poznałem rodzinę państwa Chirkowskich, czy i kiedy spotykałem się z Romanem Chirkowskim. Po raz któryś z kolei wyjaśniłem, że podczas dyżurów w centrali zapoznałem się przypadkowo, telefonicznie, nie tylko z panną Celiną, ale i z wieloma innymi, na przykład z panną Zofią z Giżycka, z panną Weroniką z Węgorzewa itp. itd. Temat się zamknął, zostałem odprowadzony do celi.

Zrozumiałem, że pomimo usiłowań wmieszczenia mnie w jakieś przestępstwo, jak dotychczas organa śledcze nie osiągnęły zamierzonych efektów. Do konfrontacji z Celiną Chirkowską nie doszło. Źródło posiadania obcej waluty zostało wyjaśnione. Żaden z postawionych zarzutów nie był oparty na dowodach. Leżąc na pryczy i zastanawiając się nad swoją sprawą, myślałem, co też oni jeszcze mogą wymyślić. Doszedłem do wniosku, że dalsze przetrzymywanie mnie w Kętrzynie jest bezcelowe.

Kiedy nad tym rozmyślałem, około godz. 19-tej otwierają się drzwi celi. Funkcjonariusz nadzorujący areszt kazał natychmiast się zbierać, wziąć wszystkie swoje rzeczy i wychodzić na górę do dyżurki. Pomimo, że polecono mi zabierać wszystkie rzeczy, nie liczyłem tym razem, że o tak później porze mogę być zwolniony. Tak też się i okazało.

Przed urzędem stał już samochód. Kazano mi zajmować miejsce, jak zwykle w obstawie dwóch uzbrojonych funkcjonariuszy. Ruszyliśmy. Zorientowałem się, że jedziemy przez miasto w kierunku stacji kolejowej. Samochód zatrzymał się tuż przed wejściem do poczekalni dworca od strony miasta. Zostałem poinformowany, że mam się zachowywać jak normalny pasażer, w przeciwnym razie funkcjonariusze zostaną zmuszeni nałożyć kajdanki. Odpowiedziałem, że jest mi to obojętne, mogą nakładać. Przez megafon zapowiedziano, że pociąg z Olsztyna do Ełku wjeżdża na tor pierwszy. Dwaj



mundurowi funkcjonariusze – jeden z przodu, drugi z tyłu, i ja pośrodku weszliśmy do wagonu, zajmując przedział, który został zamknięty od środka. Pociąg ruszył. Jedziemy. Dojechaliśmy do Giżycka, nie wysiadamy. Jedziemy dalej. W Ełku, zdaje się, była przesiadka. Noc, ciemno, jedziemy nadal. Znużyła mnie trochę podróż, zacząłem drzemać. Tak drzemiąc, jechałem dalej w nieznaną. Funkcjonariusze nie zdradzali tajemnicy, dokąd wiozą. Obudziłem się nad ranem, gdy pociąg zaczął hamować. Zatrzymał się, zapodano przez megafon: „Stacja docelowa Augustów Port – wysiadać!” Wyszliśmy z wagonu we trójkę. Na poczekalni dworca przez pewien czas byłem pod nadzorem jednego funkcjonariusza. Drugi poszedł do dyżurnego ruchu, aby skorzystać z telefonu. Jak się okazało dzwonił do PUBP w Augustowie. Po dołączeniu do nas powiedział do kolegi: „Zaraz będą”.

W niespełna trzy kwadranse podjeżdża samochód skrzyniowy, kryty plandeką, jak zwykle w obstawie dwóch funkcjonariuszy. Wsiadamy od tyłu po żelaznej drabince. Teraz w piątkę jedziemy w kierunku miasta. Zatrzymujemy się na ul. 3-go Maja przy budynku PUBP (po byłej ciastkarni Turka). Chwilowo jestem umieszczony na dyżurce pod strażą funkcjonariuszy z Augustowa. Kętrzyńscy załatwiają formalności związane z przekazaniem mnie i dokumentacji dotyczącej moich spraw. Oto tak znalazłem się pod opieką funkcjonariuszy PUBP w Augustowie.

Początkowo zostałem ulokowany w celi przejściowej. Następnego dnia zostałem przeniesiony do celi piwnicznej, w której był przetrzymywany ppor. wojska polskiego Stanisław Andruszkiewicz ze wsi Jastrzębna gm. Lipsk. Był oskarżony o to, że w pierwszym okresie po wkroczeniu wojsk niemieckich w czerwcu 1941 r. współpracował z niemiecką administracją w Lipsku.

W mojej sprawie wszystko, ze szczegółami, zaczęło się od nowa: od działalności w latach 1940-1941 na terenie okupowanym przez ZSRR, lat 1942-1944 okupacji niemieckiej, roku 1945 ponownej okupacji sowieckiej, po okres od lutego 1945 r. – przejścia granicy „na zielono” do PRL, na teren pow. augustowskiego. Śledztwo przejął oficer śledczy por. Felczak.

W Augustowie w PUBP mieli już wszystkie dane przekazane przez grodzieńskie NKWD, w tym również podejrzenia o szpiegostwo na rzecz Ambasady Amerykańskiej w Moskwie, informacje o tym, że byłem aresztowany i zbiegłem z więzienia w Grodnie, że przenieśliem się do Polski jako Albin Łapiński.

Przez pierwsze trzy tygodnie byłem intensywnie przesłuchiwany na różne okoliczności. Gabinety przesłuchań mieściły się na górnym piętrze. Od strony korytarzy nad drzwiami tych pokoi były zamontowane czerwone żarówki. Paliły się one niemal bez przerwy. Był to sygnał, że wewnątrz jest prowadzone przesłuchanie. Wstęp był w tym czasie wzbroniony. Całe podpiwniczenie tegoż budynku zostało przekształcone na więzienne pomieszczenia. W piwnicznych celach było pełno zatrzymanych ludzi i co rusz dowożono nowych. Do naszej celi dokwaterowano dodatkowo jeszcze dwóch więźniów. Niemalże wszystkim stawiano te same zarzuty – przynależność do AK i wrogą działalność wobec władz PRL.

Okazało się, że wśród zatrzymanych są znajomi z moich rodzinnych stron, w tym z miejscowości Lubinowo-Laski, jak Żeromski, którego przyprowadzono ze śledztwa do sąsiedniej celi chwiejącego się na nogach i płaczącego na cały głos, rzekomo z bólu. Tak samo wyglądała sprawa ze Stanisławem Bobką i innymi, mniej mi znanymi. Żeromski i Bobko byli oskarżeni o nielegalne posiadanie broni myśliwskiej.

Moje śledztwo w pierwszej fazie dotyczyło działalności na terenach zajętych przez ZSRR. Prowadzący je oficer śledczy wmawiał, że lepiej przyznać się do stawianych zarzutów, wyjaśnić wszystko organom władz polskich, aniżeli zostać odtransportowanym pod sądy ZSRR. Stawiane mi zarzuty nie były prawdziwe. Fakty udowodnione, jak na przykład nielegalne przekraczanie granicy polsko-sowieckiej, zostały objęte amnestią z chwilą ujawnienia przeze mnie działalności 9 kwietnia 1947 r. w PUBP w Giżycku.

Prowadzący śledztwo por. Felczak miał kłopoty ze mną. Parokrotnie protokoły śledcze nie zostały przeze mnie podpisane. Zdenerwowany rwał je, rzucając do kosza i zaczynał od nowa. Z okresu działalności na terenie PRL-u usiłowano mi

przypisać „mokłą robotę”, czyli morderstwo. Ponadto pytano, gdzie przechowuję broń, posiadaną w czasie okupacji niemieckiej i w późniejszym okresie, gdyż przy ujawnieniu się w 1947r. nie przekazałem żadnej broni. Pytano, kogo przerzuciłem z terenów Grodzieńszczyzny do Polski, będąc łącznikiem-kurierem w grupie kontaktowo-przerzutowej, tzw. bohaterskiej – nazwiska, pseudonimy, obecne miejsca zamieszkania, itd.

Na powyższe i podobne okoliczności byłem przesłuchiwany non-stop. Dochodziła do tego łączność z bratem w USA. Jaką korespondencję utrzymuję z Ambasadą USA w Warszawie? Jednym słowem: multum spraw, zarzutów, wykroczeń.

Pomimo stosowania przymusu fizycznego w trakcie przesłuchań, czasem do utraty przytomności, do stawianych mi, niezgodnych z prawdą zarzutów, nie przyznałem się. Tym samym nie było dowodów i podstaw do sporządzenia aktu oskarżenia. Co do oficera śledczego por. Felczaka i jego zachowania w stosunku do mnie – nie mam żadnych roszczeń. Nie wiem, jak się zachowywał w stosunku do innych więzionych i przesłuchiwanym osób. Mimo że był odpowiedzialny za wynik śledztwa, nigdy nie dopuścił się rękoczynów w stosunku do mnie. Nieraz był zdenerwowany, zaczynał protokoły od początku, jednak hamował się. Być może to była przyjęta taktyka. Na większość moich przesłuchań przychodzili obserwatorzy-oprawcy. To oni katowali do nieprzytomności. Zdarzało się i tak, że por. Felczak mówił: „Dość tego. Zostawcie w spokoju!”. Oprawcy wtedy wychodzili bez słowa do innego pomieszczenia. Jakoś to wszystko wytrzymałem, pozostała tylko do dnia dzisiejszego „pamiątka” – zniekształcenie kości policzkowej lewej części twarzy.

Śledztwo w mojej sprawie toczyło się przez cały czas, może stało się mniej intensywne niż w pierwszych tygodniach. Wciąż czegoś brakowało do zamknięcia. Dodatkowo byłem wzywany do wyjaśnienia mego obywatelstwa. Według prawa USA byłem obywatelem amerykańskim, ponieważ urodziłem się w Stanach Zjednoczonych. Władze polskie tego nie uznawały i wiązało się to dla nich z wieloma wątpliwościami.

W celi znowu pozostało nas dwóch. W ostatniej dekadzie lutego 1949 roku było jeszcze dość śnieżno i mroźno. Cele były ogrzewane piecami na drewno, z paleniskami od strony korytarza. Nie zawsze były właściwie ogrzewane, chłód dawał się we znaki. Właściwie przez cały czas spało się czujnie. Zdarzały się wypadki, że przesłuchiowano i w nocy. Ponadto często dowożono ludzi z terenu i rozlokowywano po celach w późnych godzinach.

Którejś nocy nie mogłem zasnąć. Rozmyślałem nad wszystkim. Raptem, około godziny trzeciej na ranem, słyszę – dudni silnik ZiS-a. Rozgrzewają. Na pewno mają wyjazd na nową łapankę, jak to uczynili 17-go grudnia 1945 r. i 12-go stycznia 1946 r. na terenie gminy Lipsk. Gdzieś po kwadransie moich rozmyślań i pracy samochodu otwierają się drzwi naszej celi. Wywołują moje nazwisko. „Jest taki?” Odpowiadam: „Jest”. „Zabierać wszystkie swoje rzeczy, wychodzić na górę do dyżurki!”

Pożegnałem się serdecznie ze Stasiem. W dyżurce raz jeszcze sprawdzono moje personalia i poprowadzono do samochodu. Przypuszczam, że był to ten sam, którym przyjechałem z dworca w styczniu – skrzyniowiec pod plandeką, z metalową drabinką z tyłu. Było nas pięć osób i trzech funkcjonariuszy konwoju. Strażnicy dyskutowali, skuć nas, czy nie. Było dość mroźno, zostawiono nas bez kajdanków. Kazano nam zająć miejsca na ławce umocowanej przy tylnej ścianie kabiny kierowcy. Poinformowano nas, że w razie próby ucieczki zostanie użyta broń bez żadnego ostrzeżenia.

Droga jeszcze zaśnieżona, ZiS się wlecze. Rozmawiać nam między sobą nie wolno. Rozmyślam, czy faktycznie nie jest tak, jak mówił Felczak. Czy zostaniemy przekazani do Grodna władzom ZSRR? Noc, nic nie widać. Tylna część samochodu została zaciągnięta plandeką. Nie można ustalić nazw miejscowości, przez które przejeżdżamy. Około 6-tej nad ranem zorientowałem się, że jesteśmy w jakimś mieście. Przez szczeliny wpadają smugi światła. Częste zakręty świadczą o wjazdach na ulice. Wreszcie ZiS zatrzymuje się. Komenda: „Wysiadać!” Wysiadamy. W pierwszej kolejności dwóch konwojentów, potem

więźniowie i ostatni konwojent. Patrę – przed nami duży blok i napis: Ministerstwo Spraw Wewnętrznych w Warszawie. Wojewódzki Urząd Bezpieczeństwa Publicznego w Białymstoku. Tak oto znalazłem się w WUBP w Białymstoku.

Po zdeponowaniu rzeczy osobistych w magazynie aresztu zostałem ulokowany, jak zwykle, w celi piwnicznej. Cella była duża, ale dość ciepła, w porównaniu z augustowską. Biegły przez nią grube rury centralnego ogrzewania. Prycz nie było. Spaliśmy na betonowej posadzce. W takiej celi przebywało przeciętnie 12 osób. Ta ilość utrwaliła się w mojej pamięci, ponieważ, kiedy wprowadzono mnie do celi, został złożony meldunek przez dyżurnego więźnia: „Cela numer 8. Stan osób – 12. Obecnych – 10”. Nie tylko podczas odwiedzin celi przez funkcjonariuszy był składany meldunek. Obowiązywało to również przy otwieraniu celi podczas posiłków. Przy podawaniu posiłków tylko dyżurny podawał i odbierał miski, przekazując więźniom ustawionym w kolejkę. Taka była dyscyplina i obowiązek.

Po parodniowym pobycie rozpoczęły się przesłuchania. WUBP mieścił się w potężnym gmachu. Ilość biur, gabinetów, działów, sekcji itp. - nie do policzenia. Przypuszczam, że musiało tam być zatrudnionych co najmniej 300 osób. Oficerowie śledczy prowadzący przesłuchania zmieniali się. Zdarzało się często, gdy uważałem, że sprawa wyjaśnień dobiega końca, byłem przekazywany na inny dział, do innej sekcji i ponownie od początku. W czasie przesłuchań w Białymstoku nie stosowano wobec mnie przymusu fizycznego. Co nie znaczy, że nie stosowano tego wobec innych osób. Byłem świadkiem jak jeden z funkcjonariuszy w stopniu podporucznika brutalnie postępował z młodą kobietą, od której wymuszano wskazanie adresu, pod którym ukrywa się jej brat.

Moja wędrownka po działach i sekcjach trwała z przerwami niemal trzy tygodnie. W pewnym momencie nastąpiła kilkudniowa przerwa. Zacząłem przypuszczać, że ten koszmar wreszcie się skończy. Faktycznie – zmierzało do tego, a moje przypuszczenia potwierdziły się, gdy po przerwie zostałem doprowadzony do gabinetu, który wyglądał bardziej na gabinet techniczny niż śledczy. Wskazywało na to znajdujące się tam

wyposażenie. Zostały zrobione odciski palców, zdjęcia w kilku profilach. Można było wnioskować, że śledztwo zostało zakończone. Pozostało cierpliwie czekać: albo zostaną zwolniony, albo przekazany agentom NKWD z obwodu grodzieńskiego. Byłem zaniepokojony, gdyż znałem wiele faktów przekazania aresztowanych. Jak już wspomniałem, tak postąpiono z kolegą „Burzą” (Czesławem Burzyńskim), z braćmi Michalukami, „Żołnierzykiem” z Augustowa, „Wiktorem” (Witoldem Dadurą) z Bohater i z innymi. Mimo to wciąż miałem isierkę nadziei. Wreszcie z końcem marca 1949 r., decyzją szefa WUBP w Białymstoku, zostałem zwolniony. Wydano polecenie odebrania przedmiotów osobistych zdeponowanych w magazynie aresztu – dokumentów, pieniędzy. Jeszcze tego samego dnia udałem się na dworzec PKS. Zdażyłem na połączenie autobusowe relacji Białystok-Ełk. Potem pociągiem z Ełku do Giżycka, z Giżycka do Pozezdrza. Wszystkie te moje wędrówki po urzędach bezpieczeństwa trwały prawie trzy miesiące.

W związku z tym, że nie zostałem skazany wyrokiem sądu, normalnie zgłosiłem się do pracy, obejmując, jak uprzednio, obowiązki głównego księgowego. Po zasięgnięciu opinii radcy prawnego przez Zarząd Spółdzielni zostały mi w 100% wypłacone pobory za czas nieobecności. Pomimo ofiarnej pracy całego zespołu księgowości, wystąpiły pewne zaległości, które wkrótce zostały wyprowadzone na bieżąco. Byłem wdzięczny prezesowi spółdzielni Antoniemu B., koleżankom z pracy, przyjaciółom i znajomym, którzy również opiekowali się mieszkaniem podczas mojej nieobecności. Zacząłem się też zastanawiać, czy nie założyć jakiejś rodziny. Przynajmniej byłoby komu zaopiekować się moim domkiem w podobnych wypadkach, gdyż nie byłem pewien, czy scenariusz się nie powtórzy.

Gdzieś po tygodniu zgłosiłem się do Powiatowej Prokuratury w Giżycku z prośbą o zwrot zdeponowanego banknotu amerykańskiej waluty, zatrzymanego w grudniu 1948 r. Banknot został zwrócony.

Aczkolwiek zarzuty stawiane mi podczas śledztw w UB Węgorzewa, Kętrzyna, Giżycka, Augustowa i Białegostoku nie zostały udowodnione i nie zostałem skazany wyrokiem sądo-

wym, to jednak organy bezpieczeństwa nie zaniechały zainteresowania moją osobą. Byłem pewny, że dalej jestem pod ścisłą obserwacją.

Minał rok 1949, nadszedł 1950. W naszej spółdzielni zwiększył się zakres prac w związku z wymianą pieniędzy, szczególnie w dziale księgowości. Należało przeszacować wszystkie składniki majątkowe, przeprowadzić inwentaryzację we wszystkich sklepach, dokonać rozliczeń pod względem niedoborów, wprowadzić nowe ceny według obowiązującego przelicznika – to wszystko za pomocą liczydeł. Często personel księgowości i ja sam, aby nadażyć, musieliśmy pracować po godzinach. Starłem się na miarę moich możliwości wywiązywać z pracy nienagannie.

Rok 1950 dodatkowo zapisał się w mojej pamięci. W miesiącu sierpniu tegoż roku zawarłem związek małżeński. Wybranką została pracownica księgowości Wacława Brzozowska, ur. w Gibach, pow. Suwałki.

Następne lata – to codzienna praca w Spółdzielni. Po pracy – otoczenie rodzinne. Życie towarzysko-koleżeńskie zostało do pewnego stopnia ograniczone. Trwało to wszystko do października 1952 r.

W dniu 2 października tuż przed godziną 15-tą pod biuro Spółdzielni podjeżdża „Warszawa”. Wysiedli dwaj panowie. Po przedstawieniu się prezesowi poinformowali, że chcą rozmawiać z księgowym. Zostałem poproszony do gabinetu prezesa. Przedstawili się jako pracownicy Urzędu Bezpieczeństwa i powiedzieli, że chcą ze mną osobiście rozmawiać. Zapropnowałem im świetlicę. Stwierdzili, że wolą rozmawiać w moim prywatnym domu. Siadamy do samochodu i jedziemy. Przyglądając się im doszedłem do wniosku, że nie pracują w PUBP w Węgorzewie. Najważniejszy z nich wyglądał na wyjątkowo inteligentnego. Według moich wstępnych przypuszczeń mógł to być pracownik kontrwywiadu. Zachowywał się cały czas grzecznie i uprzejmie. Po obejrzeniu pomieszczeń domowych sięgnął do teczki, wyjął papierek i wręczając go mnie, powiedział: „Panie Pawluczyk, nie za wesołą mamy dla Pana nowinę. Nakaz przeprowadzenia rewizji”.

Jak się okazało, był to nakaz wydany przez p.o. zastępcy prokuratora powiatowego w Węgorzewie p. Zasadę. Oświadczyłem, że nie mam nic przeciwko temu, ale podczas rewizji musi być obecny świadek-czynnik społeczny. Najlepiej, gdyby to był sołtys Jan Pacek. Towarzyszący funkcjonariusz z kierowcą pojechali po sołtysa. Po 20 minutach był już sołtys. Rozpoczęła się rewizja. Nie powiedziano, czego szukają. Ja sam, żona i sołtys obserwowaliśmy ich ruchy, żeby przypadkiem czegoś nie podrzucili. W trakcie rewizji została zatrzymana skórzana teczka, którą uszyłem u rymarza, a materiał zakupiłem w sklepie naszej Spółdzielni. Chociaż teczka była używana przede wszystkim do celów służbowych, koszta były w całości pokryte przeze mnie.

Rewizja nie ujawniła żadnych „przestępczych” przedmiotów: obcych walut, pism, plakatów itp. Po jej zakończeniu funkcjonariusz powiedział: „Niestety, panie Pawluczyk, musisz pan pojechać z nami”. Pokazał następny dokument, był to nakaz zatrzymania. Żona zdenerwowała się z powodu tej wiadomości. Ja, mając tyle podobnych przeżyć, byłem zupełnie opanowany. Poprosiłem żonę, aby zapakowała komplet zapasowej bielizny i nie martwiła się o mnie, a bardziej troszczyła się o swoje zdrowie.

Po pożegnaniu z żoną wsiedliśmy do „Warszawy” i jedziemy w kierunku Węgorzewa. Gdzieś około 22-giej zatrzymaliśmy się przed budynkiem UB w Węgorzewie. Od razu zostałem poproszony na przesłuchanie. Rozpoczął je ten sam funkcjonariusz, który przewodniczył rewizji. Nazwiska nie mogę dziś przypomnieć (coś jakby Hucuł?). Błyskawicznie przywoływałem w myślach zarzuty, jakie mi mogą postawić. Jak się okazało, zamiast zarzutów, funkcjonariusz starał się mnie namówić, abym wyraził zgodę na współpracę. Trzeba jednak podkreślić, że podchodził do tego bardzo delikatnie i oględnie. Sugerował, że rewizja i teczka to tylko pretekst, mówił, że jeszcze dziś mogę tym samym samochodem wrócić do domu, dał do zrozumienia, że będę mógł wyjeżdżać za granicę itp.

Zdecydowałem się otwarcie powiedzieć, że ten zawód – to nie dla mnie. Mam moją pracę głównego księgowego, jak na owe czasy zawód poszukiwany i nie najgorzej płatny.

Widząc, że drogą perswazji mnie nie namówi, zaczął używać szantażu. Sięgnął po swoją teczkę, wyjął dokument formatu A4 i pokazując go mnie zadał pytanie: „Kto to pisał?” Odpowiedziałem, że ja. Było to pismo skierowane do Departamentu Stanów Zjednoczonych w Waszyngtonie, ostemplowane pieczęciami Departamentu. Funkcjonariusz nie wiedział, jak tam dotarło. Ja z kolei byłem zaskoczony tym, że pismo, z pieczęciami Departamentu, jest w jego posiadaniu. To pismo przekazałem do Stanów Zjednoczonych po powrocie z aresztu na przełomie 1948 i 1949 r. Dotyczyło interwencji u władz PRL w sprawie mego wyjazdu do USA.

Dotychczas opanowany funkcjonariusz zmienił taktykę. Zaczął używać gróźb, szantażu, zastraszając: „Czy ty wiesz, co ciebie za to czeka?” Powiedziałem, że za prawdę nie ma podstaw karać, a jeżeli to ma być przestępstwo, sprawę powyższą należy kierować na drogę sądową. Nic na to nie odpowiedział. Wezwał strażnika i kazał mnie посадzić do karceru, dodając: „Może w końcu oprzytomnieje!”

Było to już po północy. Zostałem odprowadzony przez strażnika do prowizorycznego pomieszczenia w piwnicy, przedstawiającego karcer. Miejscowi funkcjonariusze mnie nie przesłuchiwali. Następne przesłuchanie odbyło się po dwóch dniach. Dotyczyło również mojej działalności w latach 1940-1941 na terenach – jak określono – Związku Radzieckiego, działalności z czasów okupacji niemieckiej i na terenach PRL-u. Wywnioskowałem z tego, że funkcjonariusz rozumiał, że nie zwerbuję mnie do współpracy ani dobrowolnie, ani przez szantaż czy zastraszanie. Zaczął doszukiwać się innych faktów, które mogłyby uznać za przestępstwa z okresu mojej wcześniejszej działalności.

Moje przypuszczenia potwierdziły się, gdy żona przekazała mi wiadomość, że następnego dnia po moim zatrzymaniu i nocnym przesłuchaniu odbyła się druga rewizja. Tym razem przewrócono wszystko, łącznie z pruciem pościeli i sienników. Ta druga rewizja również nie przyniosła żadnych efektów.

Rozwścieczeni, zakurzeni funkcjonariusze szykowali się do odejścia i odjazdu. Na przeszkodzie tym razem stanęła żona, zdobywając się na odwagę. Stanęła w drzwiach i powiedziała: „Mam dość tego! Żaden stąd nie wyjdzie zanim wszystko nie zostanie doprowadzone do należytego porządku. Jestem w ciąży i nie będę bez przerwy za wami sprzątała!” Podała nici, igły, miotłę, ścierki do ścierania kurzu itp. Pluli podwójnie – z powodu kurzu i stanowczej decyzji podjętej przez żonę. Prawdopodobnie sołtys, pan Pacek, lekko się uśmiechał.

Stanowcza postawa żony poskutkowała. Mieszkanie zostało doprowadzone do porządku.

Ta druga rewizja upewniła mnie, że wciąż nie mają materiałów obciążających. Ponadto przez cały czas pobytu w PUBP w Węgorzewie usiłowano mnie izolować, nie dopuszczając do jakichkolwiek spotkań i kontaktów z innymi więźniami. Zaw sze cela była zajmowana tylko przeze mnie, jakkolwiek stały w niej inne prycze, nie zajęte.

Raz zdarzyło się inaczej. Był miesiąc listopad. Wieczorem, około godziny dziewiętej wieczorem powstał ruch – odgłosy na piwnicznych korytarzach. Zrozumiałem, że kogoś prowadzą. Raptem otworzyły się drzwi mojej celi. Z popchnięciem i kopniakiem znalazł się w niej nowy przybysz – starszy człowiek. Wyglądał na wystraszonego, nic nie mówił. W końcu spytałem, skąd jest i za co został zatrzymany. Jak się okazało więzień był narodowości niemieckiej. Odpowiedział mi: „Poluś nicht fersztej”. Nie wiem, ze strachu czy z zimna bardzo się trząsł. Sam też niemieckiego nie znałem, z wyjątkiem niektórych pojedynczych słów. Pytam: „Kalt?” Odpowiada: „Ja”. W celi miałem swoją wełnianą długą jesionkę. Dałem mu ją, nakazując, aby się okrył. Tak, pomimo towarzystwa, bez żadnych rozmów upłynęła nam ta noc. Następnego ranka zrozumiałem, że mi dziękuje. Pokazując na jesionkę, powiedział: „Feder belt”. Nie rozumiałem tej wypowiedzi, ale w końcu skojarzyłem, że on określił jesionkę jako pierzynę.

Był ze mną w celi przeszło dwa tygodnie. Pomimo, że nie znałem niemieckiego, a on polskiego, w końcu jakoś zaczęliśmy się porozumiewać. Któregoś dnia po jego powrocie z

przesłuchania zapytałem, pomagając sobie gestami: „Warum zycen?” (Za co siedzisz?). Zrozumiał moje pytanie i zaczął tłumaczyć: „Fare nacht Licen. Kaufen giszecht dojczc cajtung. Ich spicel”. Zrozumiałem, że będąc w Giżycku, kupił w kiosku gazetę w języku niemieckim. Znaleziona w domu podczas rewizji posłużyła za dowód, że jest szpiegiem. Dowiedziałem się też od niego, że pochodzi z Bani Mazurskich, nazywa się Sak, ma „ajnę tochtę” (jedną córkę), jest z zawodu mechanikiem-monterem. Złożył papiery na wyjazd do Niemiec.

Po niecałych trzech tygodniach towarzystwo nasze się skończyło, został zwolniony. Później, po moim wyjściu z aresztu, dowiedziałem się, że wyjechał do Niemiec. Zostawił ładny domek. Jak na wiejskie budownictwo Bań Mazurskich można byłoby go określić: „wilijka”.

Po wyjściu pana Saka przez pewien czas pozostawałem w celi znowu sam. Przesłuchania moje odbywały się nawet w nocy, ale rzadziej i zawsze przez przyjezdnych funkcjonariuszy. Podczas przesłuchań nie stosowano wobec mnie przymusu fizycznego w jakiegokolwiek formie. Raz byłem przesłuchiwany przez miejscowego szefa. Do rękoczynów nie doszło. Byłem jedynie wulgarnie wyzywany od wszystkiego, co najgorsze i w taki sposób, jak tylko po chamsku można było się najgorzej wyrazić.

W ostatnich dniach listopada dokwaterowano do mojej celi następnego więźnia. Z nim bez przeszkód mogłem się porozumieć. Jak się okazało, był to członek UPA, narodowości ukraińskiej. Pochodził z miejscowości Lubinieć Nowy pow. Lubaczów. Nazywał się Komar, ps. „Buk”. Jego żona, szwagierka, znajomi zostali przesiedleni w ramach akcji „W” na teren powiatu węgorskiego. Żona mieszkała we wsi Sobiechy. On ukrywał się na swoich terenach. Jednak w końcu, w grupie sześciu osób, postanowili nawiązać kontakt z rodzinami. Prawie całą podróż odbywali pieszo, z punktu na punkt, od znajomych do znajomych. Ostatnim punktem była wieś Jeziorowskie, gm. Krukłanki. Zatrzymali się u mieszkańca tej wsi, pana Hula, który był oficjalnie przesiedlony i zostało mu przydzielone gospodarstwo rolne. Tu przebywali przez pewien czas, nawiązując kontakty z rodzinami i znajomymi. Komar

przeniósł się do wsi Sobiechy, do żony. Przez pewien czas ukrywał się w specjalnie urządzonej kryjówce. Niestety, podczas rewizji został aresztowany przez funkcjonariuszy UB. Jego przesłuchania były prowadzone dość intensywnie. Po paru takich przesłuchaniach bardzo się martwił. Zależało mu, aby powiadomić swoją żonę o paru ważnych świadkach i zeznaniach. Pomogłem mu w tej sprawie. Przy kontakcie z moją żoną przekazałem jego list do natychmiastowego wysłania pocztą. Tymczasem, jak się okazało, korespondencja na podany adres była kontrolowana. List, który miał trafić do pani Komar, trafił w ręce oficera prowadzącego śledztwo (jeżeli mnie pamięć nie myli, był to ppor. Górski). Z tego powodu nie tylko pan Komar miał kłopot, ale i oficer śledczy. Nie mógł on oficjalnie, dodatkowo oskarżyć aresztowanego, gdyż był również odpowiedzialny za zabezpieczenie aresztu. Jest niedopuszczalne, aby więźniowie wysyłali przesyłki za pośrednictwem poczty, nie mógł więc listu ujawnić.

Po tym zdarzeniu został Komar wezwany na przesłuchanie. Prowadzący śledztwo zagroził, że jeżeli „piśnie” komuś słówko o liście, to on postara się, aby sąd dołożył mu za tę sprawę 5 lat. Nie tylko zresztą Komar nie skorzystał na wysłaniu listu. Ja sam również straciłem możliwość kontaktu. Piwniczne okienka cel, które dotychczas były okratowane, zostały dodatkowo obite blachą o półcentymetrowych otworach, jedynie do przepływu powietrza.

Poza tym zorientowałem się, że mój sąsiad z celi został zwerbowany na donosiciela. Po powrocie z przesłuchań bardziej niż dotychczas interesował się moimi sprawami. Zadawał takie pytania, które, jak sądziłem, nie mogły być sformułowane przez niego samego. Jak się później okazało, moje podejrzania były słuszne. Mnie jednak nie mógł zaszkodzić. Moje sprawy były jasne. Mogli to natomiast odczuć jego znajomi i koledzy, których „sypał”, ujawniając ich przynależność organizacyjną, nowe miejsce zamieszkania itp.; m.in. członka UPA ps. „Inżynier” (nazwisko Łyman), ukrywającego się w Olszewie, pow. Węgorszewo.

Według mojej oceny, mimo świadczonych usług, nie skorzystał z taryfy ulgowej. Został skazany przez Sąd Wojskowy w Olsztynie na 12 lat pozbawienia wolności. Przed rozprawą sądową został przetransportowany do Olsztyna.

Znowu zostałem w celi sam. Skończył się listopad, mija grudzień 1952 r. W moich sprawach nic się nie dzieje. Nadal jestem przetrzymywany w celi piwnicznej UB w Węgorzewie. Nikt nie powiadamia o przedłużeniu aresztu lub o zastosowaniu nowych sankcji. Warunki higieniczne do dłuższego przetrzymywania są fatalne. Brak łaźni. Nie ma możliwości wykąpania się. Fryzjer też nie jest zatrudniany, wzywają go, gdy człowiek zbliża się do wyglądu małpy. Czasem któryś ze strażników przyniesie żyletkę i czeka, aby ją z powrotem zabrać. Należyte ogolenie się jest niemożliwe, przypomina raczej „obskubanie”.

Minął styczeń 1953 r. Nadal jestem przetrzymywany samotnie. W sąsiednich celach częściej zachodzą zmiany. Daje się zauważyć rotację – przywożą, odwożą. Czasem udaje mi się nawiązać kontakt z więzionymi w sąsiednich celach.

Jak się okazało, w sąsiedniej celi przetrzymywano przez pewien czas młodych chłopaków z miejscowości Kurianki, gm. Lipsk – Snarskiego i Dadurę. Byli podejrzani o nielegalne posiadanie broni. Podobne zarzuty postawiono panu Skłodowskiemu z Czerwonego Dworu, gm. Węgorzewo. Po powrocie z przesłuchań płakał w sąsiedniej celi jak mały dzieciak. Gdy strażnik poszedł na górę zapytałem, co się stało. Odpowiedział, że zmusili „łapkę trzymać”<sup>35</sup>, tak, że do tej pory cały się trzęsie.

Analizując swój czteromiesięczny pobyt w piwnicach UB w Węgorzewie, doszedłem do wniosku, że to zwykły szantaż, że być może świadomie przedłużają zakończenie śledztwa, żeby jak najdłużej trzymać w areszcie albo też nie wiedzą, jak to wszystko zakończyć.

Nadszedł 3 lub 4 luty. Z samego rana przyszedł strażnik, zaprowadził do umywalki, podał maszynkę do golenia. Wcześniej podał śniadanie. Pomyślałem, że szykuje się jakaś zmiana. Około godz. 8.30 przyszedł ponownie, kazał zabrać

wszystkie rzeczy i wychodzić na górę do dyżurki. Okazało się, że już tam czekał konwojent z depozytami tj. z zatrzymaną podczas rewizji w październiku 1952 r. teczką oraz funkcjonariusz wydziału śledczego Woźniak. W tym towarzystwie zostałem odwieziony na dworzec kolejowy w Węgorzewie. Potem pojechaliliśmy pociągiem do Olsztyna, gdzie zostałem umieszczony w areszcie WUBP.

Następnego dnia zostałem doprowadzony na przesłuchanie. W areszcie WUBP w Olsztynie był większy rygor niż w Węgorzewie. Przy spotkaniach z innymi więźniami doprowadzanymi na przesłuchania należało odwracać się twarzą do ściany, tak, aby jeden drugiego nie mógł rozpoznać. W areszcie WUBP w Olsztynie przebywałem około tygodnia. Po tygodniu zostałem przeniesiony do więzienia w Olsztynie. Obiekt więzienny łączył się z gmachem UB. Pomimo umieszczenia mnie w więzieniu, w dalszym ciągu byłem w dyspozycji UB.

Zostałem ulokowany na oddziale drugim, w pojedynczej celi o rozmiarach: 8 moich stóp szerokości, 12 – długości. Przez dwie doby przebywałem sam. Następnie dokwaterowano dwie osoby tak, że w pojedynczej celi przebywało nas trzech. W celi było jedno metalowe łóżko przyściennie, odchylane na noc do spania. Pozostali dwaj więźniowie spali na posadzce betonowej, na siennikach z garścią słomy, a właściwie sieczki.

Pewnego dnia po powrocie z przesłuchania zostałem przeniesiony do innej celi, obszerniejszej, o numerze bodajże 94 lub 96. Było tam już dwóch więźniów – oficerów z armii gen. Maczka: kpt. Zdzisław Dębowski i por. Anastazy Turowski. Oficerowie ci wrócili do kraju po kapitulacji Niemiec i demobilizacji oddziałów wojskowych. Okazało się, że byli zatrzymani już nie pierwszy raz. Przez cały czas do momentu zwolnienia byłem przetrzymywany w tej samej celi w ich towarzystwie.

Warunki więzienne w porównaniu z warunkami w aresztach UBP były lepsze, szczególnie w zakresie higieny. Korzystałem co dwa tygodnie (czasem częściej) z łaźni, z krótkich spacerów, mogłem zmieniać bieliznę. Więźniowie korzystali nawet z usług fryzjerskich. Dozór nad naszymi celami II-go oddziału sprawowali dwaj strażnicy: starszy wiekiem Klamer i

<sup>35</sup> Chodzi o rodzaj tortur z wykorzystaniem porażenia prądem elektrycznym.

młodszy – Wieczerkowski. Zachowywali się wobec nas, można określić, nienagannie. Korzystaliśmy też z tzw. „wypisek”, o ile ktoś oczywiście posiadał zdeponowane pieniądze. Nie było tam przysmaków, najważniejsze były tłuszcze i cebula. Dało się również zauważyć, że strażnicy dozoru faworyzowali w pewien sposób naszą celę. W dniach „wypiski” byliśmy w pierwszej kolejności – dopuszczeni do większego wyboru rodzajów żywności. Tak to w więziennej monotonii upływał dzień po dniu.

Zaskoczeniem okazał się 5 marca 1953 r. Z rana nie różnił się od innych – roznoszenie przez służby więzienne śniadania, zwracanie naczyń, itp. Dzień jak co dzień. Raptem gdzieś ok. godz. 9 rano zatrzęsł się cały Olsztyn. Strażnicy oddziałowi niemal jednocześnie podawali przez megafony rozkazy dla więźniów, bezwzględnie obowiązujące. Słyszymy: „Pierwszy oddział – bacność! Drugi oddział – bacność! Trzeci oddział – bacność!” Zawły więzienne syreny alarmowe i syreny alarmowe całego Olsztyna. Przez pewien czas słychać było jednolity ryk. Jednocześnie strażnicy kontrolowali przez tzw. złodziejki, czy faktycznie więźniowie stoją na bacność. Po ok. 10 minutach syreny zamilkły. Zastanawialiśmy się, co się mogło wydarzyć. Były różne przypuszczenia. Braliśmy również pod uwagę możliwość śmierci Stalina. Ale nie sądziliśmy, że to spowoduje aż taki alarm dla całego miasta.

Po godz. 12-tej, przy otwarciu cel i podawaniu obiadu, potwierdziła się wiadomość o śmierci Stalina. Dało się zaobserwować lepsze samopoczucie więźniów. Na pierwszym spacerze, pomimo, że w dalszym ciągu z założonymi do tyłu rękami, można było dostrzec, że każdy więzień uśmiechał się do siebie z ironią. Po pewnym czasie złagodniał nawet nieco więzienny rygor.

Do końca marca i przez cały kwiecień nie byłem wzywany na przesłuchania. Następną serią odbyła się w pierwszych dniach maja. Wszystko wskazywało, że jest to faza końcowa moich przesłuchań. W dniu 31 maja zostaje wezwany do więziennego biura, gdzie wręczono mi postanowienie o uchyleniu tymczasowego aresztu. Dziwne, że na wniosek Prokuratora Wojewódzkiego w Olsztynie z dn. 6 maja 1953 r. (z którym

nigdy nie rozmawiałem, albo też który nie przedstawił mi się jako prokurator). Postanowienie zostało wydane dopiero 27 maja 1953 r. i to nie przez instancję sądową a Komisję Specjalną do Walki z Nadużyciami i Szkodnictwem Gospodarczym w Warszawie (tu trzeba dopowiedzieć, że takie komisje istniały w każdym województwie). Należy z tego wnioskować, że wszystkie zarzuty stawiane w śledztwie nie miały podstaw prawnych, nie można było przekazać sprawy sądom. Uważam ponadto, że służbie bezpieczeństwa nie zależało na oficjalnym formułowaniu oskarżeń.

Faktycznie moje zwolnienie nastąpiło 31 maja 1953 r. Otrzymałem zlecenie na wydanie z magazynu więziennego zdeponowanych przedmiotów, łącznie z zatrzymaną w czasie rewizji skórzaną teczką – rzekomym dowodem oskarżenia. Przed otrzymaniem zlecenia miałem jeszcze krótką pogawędkę z oficerem śledczym, który prowadził większość moich przesłuchań. Rozmowa odbywała się w zupełnie innym tonie. Zapewniał mnie, że w wypadku, gdybym miał jakieś trudności z pracą w swoim zakładzie lub w innych placówkach, mam zgłosić się do nich. Tak to po ośmiu miesiącach pobytu w piwnicach i murach więziennych, w sytuacji ciągłego stresu, znalazłem się na wolności.

Po wyjściu z więzienia jakoś nieswojo się czułem, jak gdyby nie w pełni przytomny. Najpierw starałem się nawiązać kontakt z żoną. Okazało się, że przed dwoma miesiącami wyjechała ona z Pozezdra, do swojej matki do Gib. Dowiedziałem się, że powiększyła mi się rodzina. W dniu 9 maja 1953 r. żona urodziła córeczkę. Nadano jej imię Barbara. Następnego dnia pojechałem do Gib, odwiedzić żonę i córeczkę. Byłem tam przez tydzień, u rodziców żony i powróciłem sam do Pozezdra, aby rozliczyć się ze swoim zakładem pracy.



Sędziów Gospodarczym  
nr. I.CKS.1079/53

POSTANOWIENIE

Dnia 27 maja 1953 r. Komisja Specjalna do Walki z Nadużyciami i Szkodnictwem Gospodarczym, ~~składająca się z~~ w Warszawie w składzie:  
Przewodniczący: Franciszek Mazur  
Członkowie: Stanisław Fedecki, Stanisław Stasiak  
Protokółent: St. Fedecki  
po rozpatrzeniu sprawy p-ko Józefowi Pawluczyk, s. Jana i Zofii ze Sztokowski ur. 24.1.1921 r. w U.S.A., zam. w Pozezdrzu, pow. Węgorzewo

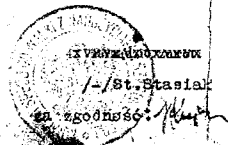
oskarżonemu o przestępstwo z art. 22 M.K.I.  
zestawione przed datą 20 listopada 1952 r. i doszedłszy do przekonania, że według okoliczności sprawy przepadku należałoby wymierzyć oskarżonemu karę w takim rozmiarze, iż podobnie do czasu niniejszego przepisu art. 4 Ustawy o Amnestii z dn. 22.XI.52 r. Dz. U. 46 poz. 309 zgodnie z wnioskiem Prokuratora: Wojew. w Olsztynie z dnia 6.5.1953 r. Sbn.6/52

postanawia:

- postępowanie w sprawie niniejszej na zasadzie art. 6 wyżej cyt. Ustawy u m o r z y 6.
- uchylić środek zapobiegawczy tymczasowy areszt zastosowany względem oskarżonego ~~St. Fedecki~~ Józefa Pawluczyk

postanowieniem Prokuratora Powiatowego w Węgorzewie  
z dnia 2.X.1952 r. nr Sb.5/52

- zarządzić niezwłoczne zwolnienie oskarżonego (ych),  
3. ~~ostawienie w tym celu~~ ~~ostawienie w tym celu~~ ~~ostawienie w tym celu~~



/-/St. Stasiak

/-/Fr. Mazur

/-/St. Fedecki

Przedłożyłem postanowienie o umorzeniu sprawy. Pomimo mojej nieobecności przez okres ośmiu miesięcy wypowiedzenia z pracy nie otrzymałem, gdyż nie zostałem skazany wyrokiem sądu. Przy rozliczeniach finansowych z zarządem spółdzielni wynikły drobne nieporozumienia. Doceniałem trudności i kłopoty zarządu, jakie wyłaniały się w związku z moimi aresztowaniami i nieobecnością w pracy na odpowiedzialnym stanowisku głównego księgowego. Aby nie blokować na przyszłość etatu, zrezygnowałem po siedmiu latach

(z przerwami w aresztach) z pracy w Gminnej Spółdzielni Samopomoc Chłopska w Pozezdrzu. Rozwiązanie umowy o pracę nastąpiło za porozumieniem stron. Nie zgłaszałem sprzeciwu, gdyż już miałem propozycję podjęcia pracy w innym zakładzie. W tym czasie był uruchamiany w Pozezdrzu zakład mleczarski z pełnym asortymentem produkcji, zaproponowano mi stanowisko głównego rachmistrza d/s rozliczeń produkcji. Po pewnym czasie przejąłem obowiązki kierownika zakładu.

Do Pozezdrza wróciła żona z córeczką. I tak życie upływało dzień po dniu: praca – dom – rodzina. Jakkolwiek moja sprawa została umorzona, to jednak jestem pewien, że nie została zamknięta. Wiedziałem, że nadal jestem pod obserwacją funkcjonariuszy UB. Artykuł 22 Małego Kodeksu Karnego, na podstawie którego starano się mnie oskarżyć, dotyczy przestępstw szczególnie niebezpiecznych w okresie odbudowy państwa. Stała obserwacja służb potwierdzona została po odtajnieniu i udostępnieniu moich akt przez Instytut Pamięci Narodowej.

W 1957 r. powiększyła się moja rodzina, doczekaliśmy się syna Waldemara. W pracy nastąpiły zmiany w związku z koncentracją zakładów produkcyjnych. Została wstrzymana produkcja w naszej mleczarni. Podejmuję pracę w Gminnej Spółdzielni w Węgorzewie, na stanowisku wiceprezesa ds. produkcji i handlu. Z czasem rezygnuję z tej pracy, podejmując zatrudnienie bardziej w swoim zawodzie - jako instruktor rachunkowości przy Powiatowym Związku Kółek Rolniczych w Węgorzewie. Następnie przejmuję stanowisko Kierownika Działu Ekonomicznego. Po nabyciu, na podstawie egzaminu, uprawnień lustracyjnych, pracuję w Dziale Lustracji, często wyjeżdżając w teren. Po paru latach obejmuję stanowisko głównego księgowego w Spółdzielni Kółek Rolniczych w Pozezdrzu. Córka Barbara kończy studia prawnicze i pracuje jako radca przy Prezydencie Miasta Olsztyna (obecnie w sądownictwie).

W 1981 r. syn Waldemar przygotowuje się do obrony pracy magisterskiej na Uniwersytecie Warszawskim (Filia w Białymstoku). Kierunek: ekonomia i zarządzanie przedsiębiorstwami. Były to lata „Solidarności” – młodzież studencka masowo włączała się w działalność struktur solidarnościowych.

Władze bezpieczeństwa i jednostki Wojsk Obrony Terytorialnej usiłują penetrować środowisko studenckie. W dziwnych okolicznościach, w Domu Studenta „Alfa” przy ul. Zwierzynieckiej w Białymstoku, zostaje zastrzelony mój syn Waldemar. Zginął z broni należącej do chorążego Niebrzydowskiego z Jednostki Obrony Terytorialnej w Białymstoku. Chorąży Niebrzydowski, będąc w wojsku, miał możliwość odwiedzania akademika, gdyż uprzednio sam tam mieszkał i studiował. Mając znajomego kolegę Andrzeja Wiśniewskiego (który nie był sympatykiem „Solidarności”) odwiedzał go, prawdopodobnie w celu zasięgnięcia opinii o środowisku studenckim. Tym razem, będąc w posiadaniu pistoletu TT, wręczył go koledze Wiśniewskiemu. Rzekomo to on wymierzył i oddał strzał do leżącego na tapczaniku mojego syna Waldemara. Strzał okazał się śmiertelny. Kula wystrzelona z bliskiej odległości przeszła pierś, wychodząc w okolicy łopatki. Natychmiastowa pomoc lekarska, dziesiątki kolegów chętnych do oddania krwi nie uratowały synowi życia. W środowisku studenckim ogłoszono żałobę. Nad akademikiem została wywieszona biało-czerwona flaga opasana czarną wstęgą. Władze uczelni, z udziałem prof. Andrzeja Stelmachowskiego, odwołały na dwa tygodnie egzaminy studentów.

Waldek był znany i lubiany w gronie studentów. Wysportowany, przy wzroście 184 cm, brał udział w licznych igrzyskach sportowych, zarówno indywidualnie, jak i w akademickich zespołach sportowych. Był odznaczany za dobre wyniki medalami (nawet złotym).

Pogrzeb odbył się w Pozezdrzu. Przyjechały dwa autokary kolegów i koleżanek z uczelni w Białymstoku, by towarzyszyć Waldkowi w ostatniej drodze. Koledzy przez cały czas nieśli trumnę na ramionach do kościoła i na cmentarz.

Zabójstwo syna rodzi pewne pytania. Niektórzy określali je jako: „niechąco-naumyślnie”. O rozprawie sądowej o zabójstwo syna, prowadzonej przez Sąd Warszawskiego Okręgu Wojskowego, która odbyła się 11 marca 1981 r., nikt z rodziców nie został powiadomiony. Nie przysłano również wyroku. Aby uzyskać odpis, musiałem jechać do Warszawy.



Waldemar Pawluczyk, student zastrzelony w akademiku „Alfa” przy ul. Zwierzynieckiej 14 w Białymstoku w 1981 r. (zdjęcie zrobione w akademiku parę miesięcy przed śmiercią)



Pozezdrze – pogrzeb Waldemara Pawluczuka

Na miejscu, w warszawskim sądzie, niezbyt uprzejmie starano się tę sprawę załatwić. Jak się okazało, sprawcy zabójstwa zostali oskarżeni o nieumyślne spowodowanie śmierci.

Skazani zostali: Niebrzydowski na półtora roku więzienia w zawieszeniu, Wiśniewski na dwa lata, również w zawieszeniu.

Nie załamały mnie przez te wszystkie lata szykany stosowane przez służby bezpieczeństwa, areszty, piwniczne karcery, przesłuchania, często przy stosowaniu nieludzkich metod. Po śmierci syna załamałem się. Opadły chęci do pracy i życia. Doszły do tego kłopoty ze zdrowiem żony, która po transplantacji nerek w styczniu 1981 r. wymagała stałej opieki: fizycznej, medycznej, a nawet psychologicznej. Po zabójstwie syna była kompletnie załamana.

W tych okolicznościach postanowiłem zrezygnować z pracy. Mając za sobą udokumentowany 38-letni staż postanowiłem wykorzystać przepis o wcześniejszym przejściu na emeryturę. Z dniem 31 grudnia 1981 r. rozwiązuję z zakładem umowę o pracę. Z dniem 1 stycznia 1982 r. przechodzę na emeryturę.

Trudny to był czas przeżywania tragicznych wydarzeń. Dochodziły do tego kłopoty z comiesięcznym wyjazdem żony do Warszawy, do Instytutu Transplantacji na konsultacje i badania pracy przeszczepionej nerki. W czasie stanu wojennego wprowadzonego przez władze PRL 13 grudnia 1981 r. na każdy wyjazd trzeba było uzyskać zaświadczenie od urzędu gminy.

Wśród trudności życiowych czas nieubłaganie upływał. W r. 1991 dochodzi do zmiany ustaw, dotyczących osób represjonowanych w PRL. W r. 1996 występuję z wnioskiem do Sądu Wojewódzkiego w Warszawie (Wydział VIII Karny) o uznanie za nieważne Postanowienia Komisji Specjalnej w Warszawie, wydane 27 maja 1953 r. z jednoczesnym wnioskiem o wypłacenie odszkodowania za czas pozbawienia wolności.

Sąd Wojewódzki w Warszawie w 1997 r. przekazał sprawę do rozpatrzenia przez Sąd Wojewódzki Wydział Karny w Suwałkach. Sąd w Suwałkach uznał wniosek za zasadny wydając postanowienie o wypłaceniu odszkodowania ze skarbu państwa.

Ponadto przez zarząd Koła Światowego Związku Żołnierzy AK w Giżycku wystąpiłem z wnioskiem do Urzędu ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych w Warszawie o uzyskanie uprawnień kombatanckich. Uprawnienia takowe zostały

mi nadane z tytułu działalności w okresie okupacji w Armii Krajowej. Zaliczony został również okres przetrzymywania mnie w więzieniach PRL jako więźnia politycznego.

Po wejściu w życie ustawy z dn. 23 lutego 1991 r. o uznaniu za nieważne orzeczeń wydanych wobec osób represjonowanych za działalność na rzecz niepodległości Państwa Polskiego przestałem być uważany za wroga Polski. Żołnierze Armii Krajowej w końcu zostali docenieni. Wielu za swą działalność zostało odznaczonych medalami i odznaczeniami państwowymi. Ja sam zostałem odznaczony Krzyżem Partyzanckim, Krzyżem Armii Krajowej – Medalem Wojska Polskiego, Odznaką Walk o Niepodległość – Odznaką Okręgu Białostockiego AK, Odznaką za „Akcję Burza”. Zostałem też awansowany drogą mianowania na drugi stopień oficerski, tj. na stopień porucznika. Już w 1944 r. dowódca kompanii nr 8 przedłożył wnioski o odznaczenie mnie Brązowym Krzyżem Zasługi.

Niestety, nie wszyscy tego doczekali. W okresie władzy reżimu komunistycznego tysiące patriotów zostało wymordowanych przez służby bezpieczeństwa albo też skazanych na długoletnie więzienia. Na samej Suwalszczyźnie i sąsiadujących terenach augustowskich w lipcu 1945 r. podczas oblawy przeprowadzonej przez wojska sowieckie i oddziały NKWD dokonano penetracji w 120 miejscowościach – wsiach. Nie ominęto również samego Augustowa i Suwałk. W trakcie oblawy zostało zatrzymanych, jak się szacuje, około 800 osób, po których ślad zaginął<sup>36</sup>. W wykazie imiennym – liście sporządzonej przez Komitet Obywatelski Poszukiwanych Mieszkańców Suwalszczyzny nie wszyscy są ujęci, gdyż części nie było komu zgłosić. Podobny los spotykał Polaków – żołnierzy AK zatrzymanych przez służby bezpieczeństwa na terenie kraju i przekazanych w ręce NKWD. Z naszego 7-go Obwodu Augustowskiego niemal wszyscy dowódcy po ujawnieniu swej dzia-

<sup>36</sup> Por przypis 31. Kierownik PUBP w Augustowie por. A. Kuczyński w raporcie do Kierownika WUBP w Białymstoku mjra Piątkowskiego z 26 VII 1945 r. meldował, że „Za cały czas od 10 lipca do 25 lipca zatrzymano 1878 osób, których sprawdza się i filtruje się”. Por. także: *Katalog wystawy „Zaginieni w oblawie augustowskiej – lipiec 1945 r.”*, Instytut Pamięci Narodowej, Białystok 2005.

łalności okupacyjnej byli aresztowani przez służby bezpieczeństwa i skazywani przez sądy wojskowe na wysokie kary więzienia a nawet na karę śmierci. Byli i tacy, co zginęli bez wyroków i sądów w dotychczas nie wyjaśnionych okolicznościach.

Korzystając z wejścia w życie ustawy z dn. 24 stycznia 1991 r. o kombatantach i niektórych osobach będących ofiarami represji wojennych i okresu powojennego wniosłem do ZUS o uznanie inwalidztwa wojennego z tytułu utraty zdrowia w związku z pobytem w więzieniu z przyczyn politycznych. Uzasadniałem, że będąc w więzieniu doznawałem bezustannych stresów, niewłaściwego odżywiania, nabawiłem się choroby wrzodowej żołądka i dwunastnicy, co spowodowało przyjmowanie leków i przestrzeganie diety do dnia dzisiejszego. Spanie na betonowych posadzkach, kopanie w biodra odbiło się tak ujemnie, że zaszła konieczność dokonania przeszczepu obu bioder na endoprotezoplastik. Wskutek brutalnych metod stosowanych podczas przesłuchań powstało uszkodzenie lewego policzka i uszkodzenie słuchu.

Pomimo bezspornych uzasadnień lekarz orzecznik ZUS w dn. 13 lutego 2001 r. orzekł, że faktycznie inwalidztwo jest trwałe – niezdolny do pracy i samodzielnej egzystencji – określając je jako wynikające z ogólnego stanu zdrowia, bez powiązania utraty zdrowia z powodu pobytu w więzieniu. Odwołanie się do komisji lekarskiej nie zmieniło orzeczenia lekarza orzecznika pierwszej instancji. Sprawa została załatwiona odmownie. Biegli orzekli, iż schorzenia te nie powstały w związku z pobytem w więzieniu, zaś zaawansowane zmiany stawów biodrowych związane są z wiekiem. Stopień owrzodzenia żołądka i dwunastnicy nie pozbawił zdolności do pracy zarobkowej (gdyż pracował). Natomiast trwałe zeszpecenie twarzy, powstałe na skutek brutalnych przesłuchań, nie skutkuje niezdolnością do pracy. I tak to przyczyny mojego pogarszającego się stanu zdrowia zostały wyjaśnione. Wygląda tak, że gdyby nawet było przytrafiło się wybicie oka zamiast policzka, to i tak mógłbym przecież pracować z jednym okiem. Pomimo dostatecznych dowodów i podstaw, by przyznać uprawnienia inwalidy wojennego, tak się nie stało.

## ROZDZIAŁ VII

### Kulisy służb bezpieczeństwa

Jakkolwiek materiały gromadzone przeciwko mnie przez funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa i Służby Bezpieczeństwa posiadały adnotację „Ścisłe tajne” albo też opatrzone były kryptonimami takimi jak: „Kot”, „Pawlas” itp., wiedziałem, że jestem pod stałą obserwacją funkcjonariuszy i informatorów. Jednym z nich, uważanym przez służby bezpieczeństwa za wiarygodnego, był Cyryl Dobrzycki, zatrudniony jako pracownik Powiatowego Związku Gminnych Spółdzielni SCh w Węgorzewie. Zdradził się sam, gdy odwiedził mnie w towarzystwie oficera śledczego PUBP z Giżycka. Licząc, że go nie znam, przedstawił go jako swego kolegę. Po tym spotkaniu, w pewnych okolicznościach sam się przyznał, że współpracuje z UB. Byłem również poinformowany we właściwym czasie o kontroli korespondencji pocztowej.

Powyższe fakty zostały potwierdzone po upadku reżimu komunistycznego i uzyskaniu odpowiedzi na wniosek złożony do Delegatury Instytutu Pamięci Narodowej i Komisji Ścigania Zbrodni Przeciwko Narodowi Polskiemu. Zgodnie z przepisami uzyskałem wgląd w dokumenty z Delegatury IPN w Olsztynie. W oparciu o te dokumenty IPN orzekł, że jestem osobą poszkodowaną i wydał odpowiednie zaświadczenie. Otrzymałem również kserokopie dokumentów z moich teczek. Aczkolwiek główne dokumenty zostały zniszczone, zachował się mikrofilm, z którego udało się odtworzyć (choć nie najlepszej jakości) ponad 150 stron z zawartości tajnych akt mojej teczki. Z analizy tych akt wynika, że byłem bardzo kosztownym obywatelem PRL. Sztaby ludzi w służbach bezpieczeństwa były zaangażowane wokół mojej osoby. Opracowywano

specjalne wykresy – schematy kontaktowe. Dochodziły do tego dziesiątki informatorów: donosiciele, kapusiów więzionych itp. Były nawet pomysły poszukiwania kandydatek na panienki, które mogłyby mnie bliżej zainteresować, będąc jednocześnie informatorkami UB.

Obserwację i zbieranie materiałów obciążających wszczęto zaraz po moim ujawnieniu się, tj. po 1947 r. Patronat koordynujący całość operacji wokół mojej osoby objął oficer UB w Węgorzewie Wacław Weromij. Za obserwację w terenie i rozpracowywanie środowiska moich znajomych (w tym księdza i kierownika szkoły) był odpowiedzialny oficer UB Czochra.

Już w 1948 r. każdy mój krok był pod obserwacją. Aktywność służb bezpieczeństwa wzrosła, kiedy w lutym 1956 r. na wniosek starszego referenta Powiatowej Delegatury w Węgorzewie została założona sprawa ewidencyjno-obserwacyjna. Określono mnie jako osobę wrogą w przeszłości, gdyż należałem do AK, zaś obecnie utrzymuję korespondencję z bratem będącym w USA. Zalecono zarejestrować mnie w Departamencie X Wydziału X-go, gdzie zostałem zarejestrowany pod nr 156, zgodnie z wnioskiem, z dołączonym zdjęciem oraz ankietą personalną. Teczka została opatrzona adnotacją: „Ścisłe tajne. Spec. Znacz.”

Zarejestrowanie mnie pod nr 156 nie było ani pierwszą ani ostatnią rejestracją. Jak na nieduży powiat węgorzewski tych rejestracji było niemało. Nic więc dziwnego, że trzeba było zatrudniać „sztaby” funkcjonariuszy. Środków pieniężnych na te cele nie szcędzono. Pokrywało społeczeństwo.

W rozpracowywaniu mnie, poza miejscowym PUBP w Węgorzewie, uczestniczyły sąsiadujące powiatowe UB oraz wojewódzkie. W tym: PUBP w Giżycku, PUBP w Kętrzynie, PUBP w Augustowie, SB w Dąbrowie Białostockiej, WUBP w Białymstoku, WUBP w Olsztynie. Był nawet zainteresowany szef informacji jednostki wojskowej w Białymstoku, z której to jednostki chorąży Niebrzydowski przyczynił się do zabójstwa syna Waldemara.

Z odtajnionych przez IPN akt wynika, że poza funkcjonariuszami było zaangażowanych w mojej sprawie 18 informato-

rów. Oczywiście wszyscy oni występują pod przybranymi pseudonimami. Oprócz Cyryla ps. „Dębowski” z sąsiadujących ze mną chętny do współpracy był „Ołówek”, który otrzymał zadanie śledzenia moich wyjazdów oraz osób mnie odwiedzających. W przypadku przyjeżdżających samochodów miał spisywać ich numery rejestracyjne. Podobne zadanie otrzymał informator „Rózia”. Według wytycznych SB z dn. 28 maja 1960 r. informator „Rózia” miał dodatkowe zadanie konfrontowania zdjęć osób, które mogły być u Pawluczuka. Miał także ustalać daty moich wyjazdów do Warszawy, aby można było wysłać za mną obserwacje zewnętrzna.

Pozostali informatorzy: „Kura-Urański”, „Szpak”, „Wacław”, „Oficer”, „Wojtek”, „Gryl”, „Dąb”, „Lis”, „Dąbrowski”, „Wileński”, „Czarny”, „Wasik”, „Wilk”, „Grochocki”, „Łuk” i inni brali udział w doniesieniach, meldunkach i obserwacjach, w zależności od otrzymanego zadania.

Co pewien czas oficerom śledczym były przedkładane do wglądu tak zwane karty kontrolne, dotyczące wyników dotychczas uzyskanych i materiałów opracowanych, w celu zapoznania z biegiem sprawy. Każdy oficer był zobowiązany poświadczyc własnoręcznym podpisem i datą fakt zapoznania się z materiałami.

Skorzystanie z ustawy amnestyjnej w 1947 r. nie stanowiło gwarancji zaniechania przez UB działań prowokacyjnych i gromadzenia materiałów obciążających, w celu uwięzienia mnie. Uważam, że decyzja o inwigilacji zapadła tuż po moim ujawnieniu. Nieufność służb UB pogłębiał fakt, że nie zdałem broni posiadanej w czasach wojny. Zbieranie i gromadzenie materiałów mogących mnie obciążyć potwierdza raport sporządzony z początkiem 1952 r. dla szefa WUBP w Olsztynie przez starszego referenta Sekcji V Wydziału I. W tym raporcie przedkłada on plan działania, stwierdzając jednocześnie, że rozpracowywanie mnie nie dało należytych rezultatów. W związku z tym zamierza w porozumieniu z Wydziałem IV spowodować gruntowną kontrolę CRS Olsztyn w gminnej spółdzielni w Pozezdrzu, gdzie pracuje „figurant” Pawluczuk w celu zebrania materiałów dowodowych i pociągnięcia go do

odpowiedzialności sądowej. Następnie, w czasie przebywania Pawluczuka w więzieniu, należy wszcząć śledztwo operacyjne. W załączeniu został przedstawiony szczegółowy plan, który miał być omówiony z rewidentem CSR Olsztyn, byłym pracownikiem PUBP w Biskupcu. Z treści raportu, jak i z pozostałych planów wynika, że za wszelką cenę, posługując się fałszerstwami dążono do uwięzienia mnie.

Kontrola była przeprowadzona w Spółdzielni w Pozezdrzu, gdzie wówczas pracowałem jako główny księgowy. Pomimo wysiłku rewidenta p. Mąki, nie dało się przypisać mi jakiegokolwiek nadużycia czy niedopatrzienia.

Zresztą nie tylko ze mną tak postępowano. Podobne szykany dotknęły wszystkich akowców, którzy się ujawnili. Szczególnie narażeni byli dowódcy - więzieni i skazywani przez władze PRL na długoletnie więzienia lub nawet na kary śmierci. Przykładem może być los dowódcy Okręgu Białostockiego AK płk Liniarskiego ps. „Mściśław”, czy też kpt. B. Jasińskiego „Komara” i wielu innych z naszego Agustowskiego Obwodu<sup>37</sup>.

W oparciu o analizy zgromadzonych materiałów były dokonywane dalsze, korygujące plany operacyjne, ustalające zadania dla poszczególnych funkcjonariuszy SB, agentów i informatorów. Nakreślano instruktaż czynności i sposobu ich wykonywania. Oto jeden z nich: pięciopunktowy plan operacyjny opracowany w marcu 1956 roku:

1. Opracować zadanie dla inf. ps. „Kura” z nakreśleniem sposobu wykonania go celem ustalenia:
  - z kim obecnie figurant utrzymuje kontakty w miejscu pracy i zamieszkania,
  - rozpoznać charakter tych kontaktów.
 Wykonać – st. ref. (-) termin 1.04. 1956 r.

<sup>37</sup> Na temat aresztowania i procesu płk. W. Liniarskiego piszą obszernie K. Krajewski i T. Łabuszewski (op. cit., s.727-736): *Epilog – proces Komendanta Okręgu Białostockiego AK-AKO*.

2. W celu ustalenia jego zainteresowań w życiu prywatnym, poglądów na przyszłość oraz jak się wywiązuje z obowiązków służbowych. Dla uzyskania powyższych danych nastawić inf. ps. „Kura” i agenta ps. „Szpak”.

Wykonać – st. ref. (-) do dnia 20. 04.1956 r.

3. Celem ustalenia kontaktów korespondencyjnych figuranta przeanalizować posiadane wykazy. Nastawić agenturę mającą na celu dotarcia dla ustalenia skąd otrzymuje korespondencję i jeżeli zostaną stwierdzone kontakty z zagranicą, opracować go na inwigilację korespondencji.

Wykonać – st. ref. (-) termin 15. 05. 1956 r.

4. Nastawić inf. „Kura” i agenta „Szpak”, aby mieli pod stałą obserwacją figuranta i o każdym jego wrogim wystąpieniu informować pracownika urzędu.

Wykonać – st. ref. (-) i (-) termin 10. 07. 1956 r.

5. Ponadto agenturę mającą dotarcie do w/w nastawić w celu ustalenia, czy w chwili przejeżdżania przez tutejszy teren placówki dyplomatycznej (USA) figurant nie utrzymuje kontaktów z w/w placówką. Gdzie figurant przebywa w owym czasie, mając na uwadze, czy nie jest zaangażowany do szpiegowskiej roboty.

Podpisał: st. ref. Pow. Delegatury w Węgorzewie

Opracował: W.W. (-) [Wacław Weromij]

Zadanie z dalszego planu operacyjnego:

10. 08. 1959 r.

Poprzez agenturę dotrzeć za pośrednictwem informatorów do jego byłej narzeczonej, która może wiedzieć o broni palnej figuranta, ewentualnie czy takowa jest nadal przechowywana.

W aktach mojej teczki, wg spisu odtajnionego przez IPN, występuje w tomie drugim 113 pozycji dowodowych opracowanych przez funkcjonariuszy UB – SB i zaangażowanych donosicieli. Niektóre pozycje, jak raporty, plany operacyjne, plany działania są kilkustronicowe. Pierwszy tom zawiera mniej pozycji.

Już w czerwcu 1948 r. pracownik UB III Referatu w Węgorzewie zawiadamia Naczelnika Wydziału III Sekcji II w Olszty-

nie o moim pobycie poza Pozezdrzem, donosząc, że Pawluczyk Józef znajduje się w Olsztynie na kursie ekonomiczno-spółdzielczym. Oto fragmenty niektórych innych meldunków:

Wyciąg z rejestru członków AK uważanych przez UB za przestępców (r. 1948):

Józef Pawluczyk, aktywny członek AK-WiN pod ps. „Palma” w 1945 r. przechodził granice polsko-sowiecką przeprowadzając członków bandy. Czynił starania o ich uzbrojenie. Obecnie jest naczelnikiem poczty na Prusach. Możliwe jest teraz jego przybycie do Bohater, gdyż miejscowość Bohatery przeszła do pow. augustowskiego.

1. 03. 1949 r.

Notatka służbowa o aresztowaniu przez PUBP w Kętrzynie i przekazaniu do PUBP w Augustowie oraz o zaarrestowaniu narzeczonej.

5. 04. 1949 r.

Do Naczelnika Wydz. I Sekcji V WUBP w Olsztynie meldunek I Referatu PUBP w Węgorzewie:

Pawluczyk jest rozpracowywany przez ref. III tut. Urzędu za przynależność organizacyjną do AK a to: w r. 1941 wstąpił do w 8-ej kompanii w Grodzieńszczyźnie pod dowództwem por. ps. „Zaleski”, gdzie po niedługim czasie został łącznikiem [...] w r. 1943 został zaangażowany do czynnej służby w miejscowości Jazy i okolicach, gdzie brał udział w czynnej walce z okupantem. Po wyzwoleniu Polski spod nacjonalizmu hitlerowskiego na polecenie dowództwa był nadal w konspiracji, aby w razie rozkazów stanąć do walki z nowo budującym się Rządem R.P.

27. 08. 1950 r.

Doniesienie ze źródła infor. „Czarny”

Donoszę do waszej wiadomości, że Józef Pawluczyk w dniu 27. 08. 1950 był na terenie wsi Bohater Nowych gm. Lipsk na weselu u Nieściera. Uczestniczył w spotkaniach z mieszkańcami przeprowadzając rozmowy, które podsłuchałem [tu wy-

mienione nazwiska osób i treść rozmów – oczywiście zmyślonych głupstw].

1. 04. 1951 r.

Doniesienie informatora ps. „Dąbrowski” z rozmów z Pawluczykiem. Dalsze zalecenia: nawiązać bliższy kontakt z Pawluczykiem, uczęstotliwić spotkania.

13. 12. 1951 r.

Raport do Naczelnika Wydz. I WUBP w Olsztynie opracowany przez Ref. Sekcji V Wydz. I z odbytej narady z szefem PUBP w Węgorzewie co do wykonania wytycznych z dn. 13. 09. 1951 r. nakreślonych przez Sekcję V Wydz. I dotyczących materiałów Pawluczycy Józefa powierzając odpowiedzialność wykonawstwa dla szefa UBP w Węgorzewie w terminie do 28. 01. 1952 r.

13. 12. 1951 r.

Przyjął szef PUBP w Węgorzewie. Dane podaje inf. „Dębowski”. Dotyczy otoczenia osób znajomych Pawluczycy.

20. 03. 1952 r.

Wywiad Ref. I PUBP w Augustowie dotyczący Pawluczycy Józefa. Szczegółowe informacje o rodzinie, gospodarstwie rolnym, kontaktach ojca itp.

Kwiecień 1952 r.

Raport Sekcji V-tej Wydz. I-go do Wydz. I-go w Olsztynie – dotyczy zebrania materiałów dowodowych na w/w i pociągnięcia go do odpowiedzialności zawodowej. W czasie przebywania w więzieniu wszcząć śledztwo agencyjne.

Luty 1953 r.

Naczelnik więzienia w Olsztynie kpt. (-)

Doniesienie nr 24 infor. ps. „Wojtek” z rozmów, jakie miały miejsce podczas pobytu w jednej celi więziennej z Pawluczykiem w lutym 1953 r. (współwięzień Tarasiuk Jan). Obszerna, szczegółowa relacja.

8. 04. 1955 r.

Raport St. Ref. Pow. Delegatury ds. BP w Węgorzewie w celu założenia sprawy agenturalnego sprawdzania na ob. Pawluczycy Józef. Zadania do wykonania – inf. „Lis” i „Oficer”.

Maj 1956 r.

Doniesienie inf. ps. „Wacław” dotyczy członków AK zamieszkałych – przebywających na terenie wsi Bohater i Wołkuszka w tym Pawluczycy Józefa.

11. 07. 1956 r.

Doniesienia ze źródła inf. „Czarny”.

Pawluczycy Józef s. Jana urodził się w USA. Posiada brata Wacława w USA. Należał do bandy, ujawnił się. Przebywa na Ziemiach Odzyskanych. W latach 1945-6 co tydzień przechodził granicę polsko-sowiecką. Najczęściej spotykał się – [tu wymienione nazwiska].

5. 08. 1959 r.

Do Naczelnika Wydziału C. – Gabinet Ministra Spraw Wewnętrznych w Warszawie Raport-Charakterystyka opracowana przez Referat d/s. Bezpieczeństwa Kom. Pow. MO Węgorzewo z załączeniem zdjęcia J. Pawluczycy do ewentualnego wykorzystania. Podpisał kpt. (-) Z-ca Kom. Pow. MO w Węgorzewie.

31. 03. 1960 r.

Meldunek Kom. Pow. MO w Dąbrowie do Z-cy Kom. Pow. ds. BP w Węgorzewie z powodu pobytu Józefa Pawluczycy z obywatelom kanadyjskim, dysponującym dużą ilością dolarów, latem 1959 r. na huczonym przyjęciu w Bohaterach Leśnych.

29. 06. 1960 r.

Pismo do Naczelnika Wydziału C Woj. Kom. MO w Olsztynie, komunikuje kpt.(-) Z-ca Kom. Pow. MO Służby Bezpieczeństwa w Węgorzewie:



Tutejsza jednostka prowadzi sprawę ewidencyjno-  
obserwacyjną pod nr 1475/56 – Józef Pawluczyk w latach  
ubiegłych na terenie ZSRR podejrzany o działalność szpie-  
gowską na rzecz wywiadu USA. Należał do AK. Pisał list do  
władz USA. Wobec powyższego stawiamy wniosek, ażeby nie  
udzielić zezwolenia na wyjazd w/w do USA

16.07.1965 r.

Raport o założeniu sprawy agenturalnego sprawdzenia na ob.  
Pawluczyk Józef. Podpisał St. Ref. Pow. Delegatury do spraw  
Bezp. Publ. w Węgorzewie. Kilkupunktowy plan inwigilacji z  
uzasadnieniem.

15.01.1982 r.

Najbardziej kontrowersyjny i nie wyjaśniony dokument to opi-  
nia wydana na wniosek Szefa Wydz. V Sekcji Wojskowych  
Służb Wewnętrznych, który pytał, czy w/w Pawluczyk jest oj-  
cem kandydata studiującego. Dotyczyło to syna Waldemara,  
który w 1981 r. został zabity i oczywiście w 1982 r. już nie żył.

## Kilka dokumentów z teczki IPN Józefa Pawluczuka

33

Węgorzewo, dnia 3.17.49 r.

do  
Naczelnika Wydziału I-go Sekcji V-tej.  
Woj. Urzędu Bezp. Publ.

.....  
.....

\* odpowiedzi na pismo Wasze z dnia 15.III.49 r. za Nr. UE-  
390/49 dot. Pawluczyk Józefa melduje ;  
Pawluczyk Józef s. Jana i Zofii z/d Stuko-wskich, ur. 24.I.1921r.  
Filadelfia U.S.A. pochodzenia - amerykański, narodo-  
wosci polskiej, obywatelstwa amerykańskiego, wyznania chrześ-  
cijańskiego, bez zawodu, wykształcenie 7 oddz. szkoły powszechnej, bezpartyjny,  
zam. w Węgorzewie, pow. Węgorzewo.

Pawluczyk jest rozpracowywany przez Ref. III-ci tut. Urzędu  
z przynależnością do A.K. a to ; w roku 1941 wstąpił do A.K.  
8 Kompanii w grodzienszczyźnie pod d-twa " Jeleński " , gdzie po  
nieudługim czasie swej służby został łącznikiem między oddziałem  
rezerywy a obozem pod ps. " Polna " . w roku 1943 został zaangażowany  
do czynnej służby w miejscowości Jazy i okolicach gdzie brał  
udział w walce z okupantem. Po wyzwoleniu Polski z pod nacjonal-  
izmu hitlerowskiego na polecenie d-twa był nadw. w konspiracji  
aby w razie rozkazów stanąć do walki z nowo budującym się Rządem  
K.P. Po kilku miesiącach opuścił punkt zbiorny i skierowany został  
na Białystok, gdzie do chwili amnestii t.j. dnia 9.IV.47 r. ukrywał  
się pod fałszywym nazwiskiem Lapinski Albin. Obecnie jest podejrzany  
przez Ref. III-ci za morderstwo.

Rodzice jego posiadają obywatelstwo polskie. Dokładnie sze-  
dane przesłaliśmy wam w najbliższym czasie.

Referent 2-go referatu

(-) [redacted]

oddano egz. 2.  
Otrzymują 1. egz. Adresat.  
" 2. " Adresat.

Z A T W I E R D Z A M  
dnia .....1951 r.

Węgorzewo, dnia 13.XII.1951 r.

Ś c i ś l e   t a j n e

DO NACZELNIKA WYDZIAŁU I-GO  
WOJ. URZĘDU BEZP. FUEL.  
W O L S Z T Y N I E  
=====

R A P O R T

o odbytej podróży służbowej po sprawie ag. wstępnego rozpracowania  
dotyczącej Rawluczka Józefa.

W dniu 12.XII.51 r. przybyłem do P.U.B.P. Węgorzewo, celem zorientowania się w wykonaniu wytycznych z dnia 2.IX.1951 r. nakreślonych przez Sekcję V-tą Wydz.I-go.

Po analizie materiałów w/w. sprawy, jak też przeprowadzonej osobistej rozmowy z Szefem P.U.B.P. Węgorzewo, wyniosłem, że sprawa w/w. nie posiada właściwego biegu ze względu na to, że sieć agencyjno-informacyjna P.U.B.P. Węgorzewo nie posiada specjalnych możliwości rozpracowania figuranta, a jedyny informator "Dębowski", który cieszy się zaufaniem u figuranta był przekazany na łączność W.U.B.P. Białystok, jak też sam Szef P.U.B.P. był poważnie zajęty akcją "S" w związku z czym sprawa nie posiada właściwego biegu i wytyczne Sekcji V-taj Wydz.I-go zostały wykonane w minimalnym stopniu, a mianowicie:

Punkt pierwszy nie został wykonany t.z. po analizie sieci agencyjno-informacyjnej przez Szefa P.U.B.P. stwierdzono, że jedyny informator "Dębowski" ma możliwości konkretnego rozpracowania figuranta, jednak dotychczas nie był on nastawiany na niego, gdyż był na łączności W.U.B.P. Białystok, Informator "Wileński" może udzielać nam informacji powierzonych o figurancie: miejsca zamieszkania. Z powyższych względów nie ustalono, czy figurant jest nadal w kontakcie z ambasadą U.S.A. w Warszawie, jak też nie ustalono czy posiada kontakt korespondencyjny z U.S.A.

W punkcie drugim nie ustalono, aby fakt nielegalnego wyjazdu za granicę osobnika z gminy Ryn pow. Giżycko miał miejsce /jednak po odbyciu spotkania w dniu 13.XII.51 wspólnie z Szefem FUEP. infor. "Dębowski" oświadczył, że jest w stanie ustalić nazwisko tegoż osobnika

Punkt trzeci nie został wykonany t.z. nie przeprowadzono wywiadu na [redacted] / była narzeczona figuranta/, która to zamieszkiwa za na terenie Kętrzyna.

W punkcie czwartym nie zagadano sprawy z P.U.B.P. Augustów, która to przosła P.U.B.P. Kętrzyn, natomiast P.U.E.P. Augustów powiadomiło pisemnie tut. Urząd, że figurant naszej sprawy przechodzi w tamt. Urzędzie po R.O. "Dąb" Okręgu Wileńskiego jako członek A.K. oraz prosi o zakończenie ag. rozpracowania na naszego figuranta.

W punkcie piątym przez informatora "Dębowski" ustalono, że figurant sprawy wziął ślub kościelny z [redacted] pochodzącą z terenów Białegostoku, jednak nie traktuje jej jako żony, a prowadzi chulawczyste życie i wogóle nie zależy mu na niej t.z. że w każdej chwili może ją opuścić z tego wynika, że figurant niema zamiaru pozostać na

terenie pow. Węgorzewo, a przyjął pozycję tymczasową.

W punkcie szóstym ustalono, przez informatora "Dębowski", że figurant sprawy bardzo często wyjeżdża z poza teren pow. Węgorzewo, a przejeżdża nie do Giżycka, gdzie utrzymuje kolejarzkie stosunki z kolegami pracownikami rzecni w Giżycku [redacted] szoferem FASET-u zamieszkałym w Giżycku, oraz [redacted] nie ujawnionym członkiem A.K. Dem. w Wydminach pow. Giżycko, natomiast na miejscu zamieszkania figurant w dobrej kombatwie żyje z [redacted] zam. w Poleszynie w którym czasami przyjeżdża i dobrze się o nim wypowiada wśród stodołania. Ponadto utrzymuje kontakt z [redacted] który kontakty przez niego przyjeżdża na stowozisko planisty do G.O. Poleszynie, że ówżę posiadał powiad. bardzo ważną stoczni Kółczanski figuranta z miejsc [redacted] byłym członkiem A.K. obecnie księgowym G.O. Kuty pow. Węgorzewo. Na podstawie przesłuchania mieszkańca [redacted] Dem. w Węgorzewie wynika ustalono, że powiad. [redacted] [redacted] na stacji kolejowej Włta pow. Kolski, gdzie w/w. wraz z [redacted] [redacted] posiadali tecnici wyposażone skrzynki z nielegalnego sprzętem i wyjechali w kierunku Warszawy. Pomysłowy fakt nie miał miejsce w Warszawie czerwca 1951 r.

W punkcie siódmym ustalono co następuje: że kontakty figuranta jak [redacted] są one jedynie platoniczne względem siebie, a figurant nie mając nic wspólnego z działalnością [redacted]. Charakter kontaktu z księgowym [redacted] [redacted] [redacted] na brak sieci nie ustalono jedynie ustalono jak wyżej [redacted] "Dębowski".

W dniu 13.XII.51 r. wraz z Szefem P.U.B.P. Węgorzewo odbyło spotkanie z informatorem "Dębowski" i w trakcie przeprowadzonej z nim rozmowy stwierdzono, że w/w. infor. posiada [redacted] możliwości rozpracowania figuranta sprawy, którego to cieszy się dużym zaufaniem jak też przebywa bardzo często w jego towarzystwie [redacted] dotychczas nie był specjalnie nastawiany na figuranta w/w. sprawy w związku z czym otrzymał nastawienie konkretnego rozpracowania figuranta na którego przyjął dopieszczenie / w załączeniu /

Na podstawie oszacowania uzyskanego materiału od inform. "Dębowski" jak też z analizy powyższych punktów wyliczają się następujące operacyjne przedsięwzięcia do wykonania:

- 1/ Informatora "Dębowski" pód odpowiednią legendą [redacted] w [redacted] rozpracowania figuranta celem ustalenia:
  - a/ czy figurant nadal utrzymuje kontakt z ambasadą U.S.A. w Warszawie / jeżeli nie to dlaczego zaprzestął kontaktowania /
  - b/ czy utrzymuje kontakt korespondencyjny ze swym bratem [redacted] w U.S.A. lub też z innymi osobami.
  - c/ nazwiska osobnika wsi Salpe gm. Ryn pow. Giżycko, który to nielegalnie wyjechał na granicę N.P. /po ustaleniu nazwiska przez P.U.B.P. /przeprowadzić wywiad czy fakt tenowy miał miejsce
- 2/ Wobec informatora "Wileński" i "Dębowski" ustalić:
  - a/ jak często gdzie i do kogo wyjeżdża figurant poza teren pow. Węgorzewo /po ustaleniu wyjechał w [redacted] z punktu z/w. czy należy spowodować wyjazd infor. "Dębowski" o figurantem, celem ustalenia charakteru kontaktu /ten wyjazd na [redacted] /
  - b/ w jakich warunkach materialnych żyje figurant, jak się wypowiada w stosunku do obecnej rzeczywistości /należy mieć na uwadze wrogą propagandę i słuchanie audycji zagranicznych Radiu Zachodnich /
  - c/ kto odwiedza prywatny dom figuranta i w jakim celu.
- 3/ W porozumieniu z P.U.B.P. Giżycko przeprowadzić kontakty figuranta jak [redacted]

- 3 -

IPN  
WUAD  
Olsztyn

- 4/Przez F.U.B.P. Augustów ustalić działalność figuranta na tamt. terenie jak też zarządzić zwrot akt na figuranta przesłanych im przez F.U.B.P. Kętrzyn.
- 5/ Porozumieć się z W.U.B.F. Białystok w stosunku do osoby [redacted] przebywa w śledztwie tamt. Urzędu, celem ustalenia czy w/w [redacted] będzie wytoczona sprawa o nadużycia w G.S. Posażdrze, jeżeli tak to należy przesłuchać w/w. na okoliczność Pawluczka t.j. jaki udział brał w nadużyciach wspólnie z [redacted] w G.S. Posażdrze.
- 6/Przez infor. "Dębowski" i "Wileński" przepracować [redacted] który to jest w kontakcie z figurantem na miejscu pracy, celem zorientowania się w możliwościach operacyjnego wykorzystania, jak też ustalić charakter kontaktu.
- 7/Przez F.U.B.P. Kętrzyn przeprowadzić wszechstronny wywiad na ob. [redacted] /byłą narzeczoną figuranta/, celem ustalenia obecnego jej miejsca pobytu.
- 8/Materiały z przepracowania, jak też wyniki z wykonania powyższych punktów należy przesłać do Wydziału I-go w terminie do dnia 28 lutego 1952 roku. Za wykonanie powyższych przedsięwzięć jest odpowiedzialny Szef F.U.B.P. Węgorzewo.

Powyższe sporządził  
Ref. Sekcji W-tej Wydz. I-go.  
W.U.B.P. w Olsztynie.

IPN  
WUAD  
Olsztyn

Podpisany  
[redacted]  
Egz. Nr. 1. WUBP. Wydz. I-ssy.  
" " Szef F.U.B.P. Węgorzewo.  
Oprac. K.Z. masz. M.F.

IPN  
WUAD  
Olsztyn

" Z a t w i e r d z a m "  
Szef Wydziału I-go. Szef.  
w Węgorzewie

Węgorzewo dnia 25.12.1950r.

Scisle tajne  
\*\*\*\*\*

[redacted] kpt/

P L A N  
\*\*\*\*\*

Operacyjnych przedsięwzięć do obserwacji fig. sprawy Świd. Obser.

Pawluczuk Józef.

Dane personalne i charakterystyka materiałów dot. "F" uwidoczniono w uprzednim planie w całości materiałów z dnia 27.02.1950r. na stronie 347-348.

W obecnej chwili podjęto na kontakt inf. ps. "016wek", który ze względu na współpracę jest chętnym, na ostatnio opytania rozpyta- no jakie posiada możliwości odwiedzania lub spotykania się z Paweł uozukiem, oświadczył, że zna go osobiście od 1948r. mieszając po sąsiedzku obok siebie, związku z tym, że inf. posiada możliwości informowania nas o jego zachowaniu się w m. zamieszkania zostanie wykorzystany do obserwacji wymienionego jak:

- Opracować zadanie dla informatora ps. "016wek" zmierzające do ustalenia:
  - z kim obecnie otrzymuje kontakty koleżeńskie uwzględniając charakter tych kontaktów
  - jakie poglądy cechują wymienionego fig. w sprawie do przemian zachodzących w naszym kraju na obecnym etapie.
- W dalszym ciągu nastawić inf. ps. "016wek" i "Uralskiego" aby mieli pod stałą obserwacją fig. informując nas o każdym wrogim wystąpieniu ze strony figuranta, uwzględniając również wypowiedzi pozytywne, by móc zorientować się co do celowości prowadzenia sprawy.
- Agencję mającą dotarcie do W-w nastawić, w celu ustalenia jego kontaktów korespondencyjnych by móc się zorientować co do założenia

8

w stosunku do fig. sprawy iwingilacji korespondencji, zmierzającej do potwierdzenia charakteru kontaktu listowego /mając na uwadze czy w obecnym czasie nie wznawia prowadzenia kontaktu z placówką Dyplomatyczną USA./

4. Po przez informatora ps. "Ośówek" potwierdzić czy faktycznie Pawluczyk żyje w dobrej komitywie z ks. [REDACTED] i kierownikiem szkoły w Pozezdrzu, o ile tak to co jego wiąże z nimi.

Wyk. 1-egz. SA.  
-----

Oficer Operacyjny Sz. Rezp.  
w Węgorzewie

/ [REDACTED] okor. /

Węgorzewo. dnia. 28. I. 1960. r. 400  
/ Ścisłe tajne /

IPN  
WUJAD  
Olsztyn

W Y T Y C Z N E

do sprawy Świad. Obserw. Nr. 1475/56 dot. Pawluczyk Józefa.

1. Ustalić dokładnie rysopis osoby [REDACTED] która była u ob. Pawluczyk Józefa i okres w którym była ta osoba, czy w/w widziała się również z żoną Pawluczyka i jak długo była bliższe dane jak została przyjęta.

IPN  
WUJAD  
Olsztyn

a/ Wysłać uzyskany rysopis do pow. Suwałki i zarządek zdjęcia z B.D.O. oraz żeby sprawdzili czy w miejscowości Gaje zamieszkuje taka osoba.

b/ Uzyskane zdjęcie przedstawić na spotkaniu dla inf. ps. "Różia" celem skonfrontowania czy osoba na zdjęciu jest tą samą która była u Pawluczyka.

2. Sporządzić w oparciu o posiadane materiały charakterystykę b. kandydata na werbunek ob. Z.K. z ujęciem czy jest potrzebna oprócz inf. ps. "Różia" wykorzystać jego do sprawy Pawluczyka. Jeżeli będzie potrzeba wystąpić z wnioskiem do KW.P.Z.P.R.o zezwolenie na werbunek.

3. Dążyć do ustalenia w trakcie spotkań kiedy ma miejsce wyjazd Pawluczyka do Warszawy aby była możliwość wysłania za nim obserwacji zewnętrznej.

4. Wyczulić inf. ps. "Różia" aby miała na uwadze obserwację figuranta, szczególnie kto do niego przyjeżdża nawet do zapisywania Nr. samochodów włącznie.

5. Wykonać zaplanowane czynności z planu szczególnie pkt. 2.

Wykonano w 2 egz.

Opracował:

Egz. Nr. 1 teczka śniawy  
Egz. Nr. 2 Wydz. II-gi.

/-/ [REDACTED]

IPN  
WUJAD  
Olsztyn

Olsztyn, dnia 15.01.1982 r.

T A J N E

Bzg.nr 2

SEKCYJA WIDZIANA W ODDZIALE WSW  
W BIALYMSTOKU

IPN  
WUAD  
Czysty

JB-041/82

IPN  
WUAD  
Czysty

Odpowiadając na pismo G-0934/53/3 z dnia 7.01.1982 r.  
dot. Józefa Pawluczuka s. Jana, ur. 24.01.1921 r. informując:

wymieniony w 1921 r. wraz z rodzicami z USA  
do Polski. W okresie okupacji od 1940 r. był członkiem AK i pełnił  
funkcję łącznika na terenie rodna, Anusowa i Suwałk. Po wyzwoleniu  
tych terenów wstąpił do nielegalnej organizacji WIn i był członkiem  
komórki likwidacyjnej w tej organizacji. Na początku 1945 r. nawiązał  
kontakt z Ambasadą USA w Moskwie skąd uzyskał dokumenty tożsamości  
obywatela USA. W styczniu 1945 r. został aresztowany przez władze  
bezpieczeństwa ZSRR pod zarzutem szpiegostwa i osadzony w więzieniu  
w Grodzie. W toku śledztwa zbierał z więzienia i podlegając się szpie-  
gowanym dokumentami na nazwisko Żepiński Albin nielegalnie prze-  
dostał się do Polski. Po przyjeździe do Polski nawiązał kontakty  
z Ambasadą USA w Warszawie i usilnie starał się o stały wyjazd do  
tego kraju. W listopadzie 1947 r. Józef Pawluczyk złożył w Ambasadzie  
USA w Warszawie przysięgę na wierność Stanom Zjednoczonym A.P.  
W okresie kontroli operacyjnej do 1952 r. stwierdzono, że Józef  
Pawluczyk czynił usilne starania o zezwolenie na wyjazd emigracyjny  
do USA.

Wykonano 2 egz. RP/MZ

Bzg.nr 1 - adresat

Bzg.nr 2 - s/s

Ip.dz.4592.010/82

IPN  
WUAD  
Czysty

INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ

Białystok, 2004-01-06

- Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu

ODDZIAŁOWE BIURO UDOŚTĘPNIANIA  
I ARCHIWIZACJI DOKUMENTÓW

ul. Wrocławska 1 A; 15-637 Białystok  
t.1: (85) 664-57-20; fax: (85) 664-57-33

BU Bi-III-5532-I(WP669)-7/04 ✓

Szanowny Pan  
Józef Pawluczyk

Zaświadczenie

Na podstawie art. 217 § 2 pkt 1 ustawy z dnia 14 czerwca 1960 r. Kodeks  
postępowania administracyjnego (Dz. U. z 2000 r. Nr 98, poz. 1071), w związku  
z wniesieniem przez Pana Józefa Pawluczuka pytania, o którym mowa w art. 30  
ust. 2 ustawy z dnia 18 grudnia 1998 roku o Instytucie Pamięci Narodowej –  
Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu (Dz. U. Nr 155, poz.  
1016, z 1999 r. Nr 38, poz. 360 oraz z 2000 r. Nr 48, poz. 553), zaświadcza się  
na podstawie posiadanych i dostępnych dokumentów zgromadzonych w zasobie  
archiwalnym Instytutu Pamięci Narodowej – Komisji Ścigania Zbrodni  
przeciwko Narodowi Polskiemu, że Józef Pawluczyk jest pokrzywdzonym w  
rozumieniu art. 6 w/w ustawy.

Naczelnik

Oddziałowe Biuro Udostępniania  
i Archiwizacji Dokumentów w Białymstoku

Eugeniusz Korneluk

## REFLEKSJE KOŃCOWE

Z perspektywy przeżytych 84 lat, zdarzeń, jakie w swym życiu przechodziłem, minionych epok i ustrojów, kiedy wracam pamięcią do czasów II Rzeczypospolitej, mogę stwierdzić, że to wówczas kraj po długich latach niewoli poważnie dźwignął się w odbudowie. Wprawdzie wysiłki poprawy bytu nie wszędzie zostały uwieńczone pełnym sukcesem, na przykład robotnikom i rolnikom nie żyło się najlepiej, to jednak społeczeństwo było bardziej zwarte pod względem patriotycznym. Potwierdziło się to z chwilą wybuchu wojny w 1939 r. Podobnie było jeszcze w pierwszym okresie na terenach okupowanych przez ZSRR (podczas tzw. pierwszej okupacji). Pogorszenie pod tym względem dało się zauważyć po wprowadzeniu reguł sowieckiego totalitaryzmu – organizacji i rozbudowie systemu donosicielstwa, dzieleniu społeczeństwa na rzekomych wyzyskiwaczy i wyzyskiwanych, masowych deportacjach. Zwartość społeczna zaczęła się kruszyć, co stało się jeszcze bardziej zauważalne na terenach Grodzieńszczyzny po drugiej okupacji sowieckiej. Po terytorialnym podziale jałtańskim cały kraj znalazł się pod wpływem stalinowskiego reżimu. Niewspółmiernie rozbudowano służby bezpieczeństwa, aresztowano obywateli o poglądach patriotycznych, fałszowano historię, przekazywano własnych obywateli pod sądy obcych państw – to fakty obecnie znane, o których jednak przez wiele lat nie można było nawet wspomnieć. Przy tych metodach część społeczeństwa uległa zastraszeniu. Inni natomiast zaakceptowali istniejącą sytuację, najczęściej dla własnej kariery, a niektórzy nawet dla judaszowskich srebrników. Bo jak to inaczej określić, skoro dla mojej skromnej osoby angażuje się, poza etatowymi pracownikami służb bezpieczeństwa, aż 18-tu donosicieli. Część z nich to bliscy sąsiedzi. Byli to niestety ludzie sprzedajni. Sam mogłem zostać konfidentem, otrzymałem ponętną propozycję, o której tu pisałem. Pomimo szantażu nie uległem zastraszeniu, tym samym zostałem zali-

czony w poczet wrogów PRL, byłem więziony i obstawiony donosicielami. Jednak nie żałuję przeżytych cierpień i przykrych szantaży. Dziś każdemu Polakowi mogę śmiało spojrzeć w oczy. Moją sytuację potwierdził Instytut Pamięci Narodowej nadając mi status poszkodowanego w okresie PRL.

Kiedy czytałem moje odtajnione akta, zastanawiałem się, co myśleli konfidenti. Jeśli donosiciel ps. „Czarny” informował, że w latach 1945-1946 prawie co tydzień przekraczałem granicę polsko-sowiecką i podawał nazwiska mieszkańców, z którymi się spotykałem, to czy zastanowił się, w jakim celu przekraczałem granicę? Czy przekraczanie granicy szczególnie strzeżonej należy do przyjemności? Właśnie za jego i podobnych donosicieli przyczyną NKWD w 1947 r. zgarnęło z naszej wsi i z sąsiadujących z nią dziesiątki spokojnych mieszkańców, m.in. księdza parafii w Hołynce Władysława Krasowskiego. Skazano ich na długoletnie zsyłki do syberyjskich łagrów. Część z nich zginęła w toku śledztwa prowadzonego przez NKWD w więzieniu w Grodnie. Przechodząc przez granicę i niejednokrotnie narażając własne życie, spełniałem obywatelski obowiązek, ratując dziesiątki młodych ludzi. Starłem się im umożliwić spokojne życie i pracę, wyposażając ich ponadto w karty repatriacyjne, które zdobyć było niełatwo. W większości byli to członkowie i żołnierze Armii Krajowej. Po wkroczeniu wojsk sowieckich nie było im dane spokojnie żyć i pracować. Nie zawsze też bezpieczeństwo zapewniało przekroczenie granicy na teren PRL i nawet zmiana nazwiska. Notuje się wiele (setki?) takich zdarzeń, kiedy służby UB aresztowanych obywateli przekazywały w ręce NKWD. Przekazywani to Polacy „z dziada pradziada”, a skazywani byli za zdradę „ojczyzny” czyli Związku Sowieckiego, przeciętnie na 25 lat przymusowej pracy w łagrach na dalekiej Północy. Znałem osobiście wielu tych ludzi.

Zapisując wspomnienia z tamtych dni, chciałem, chociaż w zarysie, odsłonić cząstkę historii dla upamiętnienia tych, którzy poświęcili dla Ojczyzny własne życie, zaś dla tych, którzy byli sprzedajni i dla ich potomnych – ku przestrodze. Tylko nieliczni moi koledzy doczekali III Rzeczypospolitej,

może nie takiej, o jakiej marzyli, ale umożliwiającej otwarte i jawne przyznanie się do walki i działalności w okresie okupacji. Niektórym anulowano wyroki i przyznano odznaczenia. Z myślą o żyjących kolegach chciałem na zakończenie przytoczyć testament „Mściława”, naszego dowódcy. Płk Władysław Liniarski spisał go w ostatnich, ciężkich chwilach życia i przekazał swojemu adiutantowi ks. Stanisławowi Kossakowskiemu. Chociaż do wiadomości publicznej podał go „Kurier Podlaski” (14-16.2.1992 r. nr 31), to jednak uważam, że nie dotarł on do wszystkich żołnierzy. Jako jeden z adresatów „Testamentu Dowódcy” i jeden z jego spadkobierców, poczuwam się do obowiązku zamieszczenia go w swojej książce.

## TESTAMENT DOWÓDCY

Drodzy żołnierze Armii Krajowej Okręgu Białostockiego!

Gdy te słowa mojego, ostatniego pożegnania z Wami czytane będą, mnie już nie będzie pośród Was. Odejdę do Boga, do Ojca każdego z nas: odejdę tam, skąd na ten świat przyszedłem.

Przede wszystkim chcę podziękować Bogu Wiekuistemu za dar długiego życia, za opiekę w trudnych jego okresach, za łaskę wiary, której zawsze byłem wierny.

Dziękuję Matce Najświętszej, Królowej Polski, Pani Jasnogórskiej, do której Obrazu co roku przybywałem, gdy znajdowałem się na wolności. Dziękuję jej za opiekę i pomoc, której tyle razy doświadczyłem, czy to podczas walk na froncie, czy to w mojej pięcioletniej służbie w Armii Krajowej Okręgu Białostockiego, czy to podczas dziewięcioletniego przebywania w więzieniu.

Dziękuję mojej Matce i Ojcu za to, że wychowali mnie na wiernego syna Ojczyzny. Córce mojej Zofii za serdeczną opiekę i staranie nad moim zdrowiem, czy to w okresie po zwolnieniu mnie z więzienia, czy w ostatnich latach mojego życia.

Szczególnie dziękuję księdzu Stanisławowi Kossakowskiemu, który podczas mojej pracy konspiracyjnej wiernie trwał przy mnie, a w późniejszym okresie wspomagał mnie radą.

Proszę kolegów wyznaczonych do Rady, aby trwali jednomyślnie i stali nieugięte na stanowisku ideałów Armii Krajowej.

Składam serdeczne „Bóg zapłać” tym, którzy w okresie mojej pracy konspiracyjnej na Białostocczyźnie w latach 1940 – 1945 udzielali mi bezinteresownie kwater, za co im groziło – więzienie, tortury, a nawet śmierć.

Dziękuję również tym moim żołnierzom, którzy podczas mojego okresu więziennego w latach 1945 – 1954, sami będąc więźniami w tym samym więzieniu, pomagali mi potajemnie dostarczając lekarstwa i tłuszcze, których mnie wtedy pozbawiono.

Szczególną wdzięczność wyrażam tym moim dawnym podkomendnym, którzy w tym niedołęstwie przed śmiercią, otaczali mnie bezpośrednią opieką, pełniąc każdego dnia dyżury przy mojej osobie.

Jednocześnie pragnę podziękować i tym moim przyjaciółom z Armii Krajowej, którzy swoim staraniem i pomocą materialną, za mojego jeszcze życia, przygotowali dla mnie na Powązkowskim Cmentarzu miejsce wiecznego spoczynku, utrwalając je pomnikiem. Pragnę tu wyjaśnić, że treść zawarta na tym pomniku jest nie tylko przekrojem mojego życia w Służbie naszej wspólnej Matki Ojczyzny, ale to jest historia Okręgu Białostockiego Armii Krajowej, tragedia ludności Białostocczyzny, w okresie ostatniej wojny lat 1939-1945.

Dziękuję Wam już po raz ostatni żołnierze Armii Krajowej Okręgu Białostockiego, za wierność Najjaśniejszej Rzeczypospolitej, za wierność Sztandarowi, pod którym walczyliście. Niech ten wkład Wasz w wiernej Służbie dla Ojczyzny, będzie testamentem dla Waszych synów i wnuków.

WŁADYSŁAW LINIARSKI płk  
„MŚCISŁAW”  
były d-ca Okręgu Białostockiego AK

## NOTY BIOGRAFICZNE



**Płk Władysław Liniarski „Mścisław”, „Wuj”, „Jan”**

Ur. w r. 1897. W latach 1914-1917 walczył w Legionach Polskich. Od 1918 r. oficer Wojska Polskiego. Od 1940 r. wyteżoną pracą, z narażeniem życia, organizował struktury Okręgu Białostockiego ZWZ-AK, którego Komendantem był do 1945 r. W latach 1941-1945 – Dowódca Okręgu. W styczniu 1945 r. nie rozwiązał organizacji, lecz przekształcił ją w Armię Krajową Obywateli (AKO). Aresztowany w 1945 r. przez UB, skazany przez sąd PRL na karę śmierci, którą zamieniono, decyzją Bolesława Bieruta, na 10 lat więzienia. Zwolniony w ciężkim stanie zdrowia w 1954 r. Zmarł w r. 1984.





**Kpt. Bronisław Jasiński „Komar”, „Łom”**

Ur. w 1914 r. we wsi Bargłów pow. Augustów. Ukończył Seminarium Nauczycielskie w Augustowie. Oficer oświatowy w Junackich Hufcach Pracy. Ppor. 76-go pp, uczestnik kampanii wrześniowej. Działalność konspiracyjną rozpoczął w 1941 r. Awansowany do stopnia kapitana. Od 1943 r. Komendant 7-go Augustowskiego Obwodu AK. W 1944 r. pełnił funkcję zastępcy dowódcy IV Inspektoratu Suwałki. Uczestniczył w opracowaniu porozumienia z oddziałem partyzantki sowieckiej mjra „Orłowa”. Odznaczony Krzyżem Virtuti Militari V klasy i Złotym Krzyżem Zasługi. Po kapitulacji Niemiec w 1945 r. opuścił tereny suwalsko-augustowskie pod przybranym nazwiskiem. W 1947 r. skorzystał z amnestii i ujawnił swą działalność okupacyjną. Mieszkał w Łodzi. W 1950 r. aresztowany przez UB. Po niemalże rocznym śledztwie w UB w Augustowie i w Białymstoku został skazany na 6 lat więzienia. Zwolniony w 1954 r. Zmarł w Łodzi w 1992 r.



**Kpt. Antoni Obiedziński „Górny”, „Gnat”**

Ur. się w 1914 r. w miejscowości Netta pow. Augustów. Pracował przed wojną jako nauczyciel. Jako por. rezerwy brał udział w kampanii wrześniowej, dowodząc kompanią piechoty w walkach pod Lwowem. W czasie okupacji przejął zastępstwo dowódcy 7-go Obwodu AK po śmierci Michała Markiewicza „Rózgi”. Awansowany do stopnia kapitana. Odznaczony Krzyżem Walecznych i Srebrnym Krzyżem Zasługi.



**Mjr Kazimierz Ptaszyński „Zaremba”**

Ur. w 1902 r. Były ppor. rez. 9-go Pułku Strzelców Konnych. Pułk przed 1939 r. stacjonował w Grajewie. W czasie okupacji

awansowany do stopnia majora. W latach 1941-1944 dowódca Obwodu Suwalskiego, pełniący też funkcję z-cy IV-go Suwalskiego Inspektoratu AK. Jeden z oficerów najbardziej poszukiwanych przez Niemców, którzy za jego ujęcie wyznaczyli nagrodę - obwieszczenia i ulotki zostały rozplakatowane na całej Suwalszczyźnie. W ramach akcji „Burza” IV-go Inspektoratu Suwalskiego był odtwórcą 41 pp. Odnaczony orderem Virtuti Militari V klasy.



**Kpt. Władysław Kuszel „Babinicz”**

Ur. w 1904 r. na Syberii. Przed 1939 r. zawodowy oficer w stopniu ppor. 41 pp w Suwałkach. Awansowany do stopnia kapitana. W czasie okupacji służbę w AK pełnił na terenie Okręgu Białostockiego w Obwodach Suwalskim i Augustowskim. Z-ca komendanta Obwodu Suwalskiego. Z końcem czerwca 1944 r. dowodził bezpośrednio akcją likwidacji bazy i umocnień niemieckich zlokalizowanych w Suchej Rzeczce.



**Ppor. Kazimierz Sitnik „Osa”**

Ur. w 1908 r., ppor. rez. 41 pp w Suwałkach. Uczestnik walk we wrześniu 1939 r. Jako dowódca kompanii stoczył trzy zwycięskie bitwy z Niemcami pod Skierniewicami, zadając nieprzyjacielowi duże straty. Działalność organizacyjną rozpoczął w 1941 r. pełniąc funkcję z-cy dowódcy IV rejonu (placówki Sopoćkinie-Hołyńka-Lipsk z częścią Kurianki). W latach 1941-1944 z-ca dowódcy IV rejonu w 7 Obwodzie AK Augustów. Pierwszy dowódca placówki Hołyńka. Po wojnie podjął pracę w oświacie na stanowisku wizytatora przy Wojewódzkim Kuratorium Oświaty w Olsztynie. Zmarł 8 października 1982 r. w Olsztynie.



**Por. Bolesław Szamatowicz „Roslan”, „Sokół”**

Oficer zawodowy 76 pp w Grodnie. Brał czynny udział w wojnie obronnej 1939 r. w składzie armii „Łódź”. Podczas okupacji przebywał początkowo na terenie Suwalszczyzny, a później na Grodzieńszczyźnie. Jeden z organizatorów i dowódców AK na tych obszarach. Komendant V Rejonu w Obwodzie Augustowskim. Później drugi zastępca komendanta Obwodu Grodno Prawy Niemen, przewidziany na dowódcę batalionu odtwarzanego 81 pp. W 1945 r. podczas wyjazdu do Polski został aresztowany przez NKWD na przejściu granicznym w Kuźnicy. Odtransportowany do Grodna i ślad po nim zaginął (prawdopodobnie zamordowany). Żona Irena (na zdjęciu) przyjechała z córką do Polski i osiedliła się w Zamościu.



**Por. Bolesław Burakiewicz „Zaleski”**

Ur. 14 kwietnia 1908 r. Pochodził ze wsi Lipszczany, był nauczycielem, a w konspiracji komendantem połączonych placówek Łabno-Hołynka i dowódcą kompanii terenowej nr 8 w Obwodzie Grodno Prawy Niemen. Przewidziany na z-cę dowódcy batalionu w odtwarzanym 81 pp. Od jesieni 1944 r., zagrożony aresztowaniem przez NKWD, ukrywał się przeważnie we wsi Bohatery Polne, w zabudowaniach Jana Michaluka ps. „Żołnierczyk”. Latem 1945 r. wyjechał do Polski i osiedlił się w Słupsku, gdzie zmarł 3 maja 1993 r. Pochowany na cmentarzu w Augustowie.



**Ks. kpt. Władysław Krasowski „Dąbrowa”**

Ur. 16 lipca 1907 r. w Dąbrowie Wielkiej, pow. Wysokie Mazowieckie. Ukończył seminarium duchowne w Łomży i w 1931 r. uzyskał święcenia kapłańskie. Przed II wojną światową był wikariuszem w parafiach Filipów, Sejny, Teolink/Sopoćkiń. Ostatnie dwa lata przed wojną był proboszczem w parafii Hołynka, pow. Augustów. Do konspiracji w szeregach AK wstąpił w 1942 r., pełnił funkcję kapelana oddziałów partyzanckich działających w Puszczy Augustowskiej. Pod koniec okupacji niemieckiej zdekonspirowany i musiał się ukrywać. Po przejściu frontu latem 1944 r. powrócił do kościoła w Hołynce, gdzie pracował jako proboszcz do 1947 r. W październiku tego roku aresztowany przez NKWD, sądzony przez sąd wojskowy w Grodnie i skazany na 25 lat łagrów. Po powrocie w 1956 r. z zesłania pracował w parafii Silwanowce. Odznaczony Srebrnym Krzyżem Zasługi z Mieczami jeszcze w grudniu 1944 r. Zmarł 7 października 1962 r. i został pochowany na cmentarzu parafii Silwanowce.



**Plut. Jan Biedul „Dziewanowski”**

Ur. 4 września 1917 r. w Kuriance gm. Lipsk pow. Augustów. Służbę wojskową rozpoczął jako ochotnik w 1938 r. w 1 Pułku Ułanów Krechowieckich w Augustowie. Brał udział w kampanii wrześniowej. Pod koniec 1941 r. nawiązał kontakt z ruchem oporu i w styczniu 1942 r. wstąpił do ZWZ-AK na terenie placówki Lipsk. Po zdekonspirowaniu dowództwa placówki został jej dowódcą. Współpracował z oddziałami leśnymi na terenie Obwodu Augustowskiego. Później działał też w AKO i WiN. Ujawnił się 5 kwietnia 1947 r. w PUBP w Augustowie, mimo to UB kilkakrotnie próbowało go aresztować i przeprowadzało rewizje. Opuścił więc rodzinne strony i osiedlił się w Prudniku (woj. opolskie). Za działalność w okresie okupacji odznaczony wieloma orderami i mianowany na stopień porucznika. Zmarł 7 czerwca 2003 r. w Prudniku.



**Plut. Jan Michaluk „Żołnierczyk”**

Ur. w 1923 r. w Bohaterach Polnych. Żołnierz ZWZ-AK od 1941 r. do sierpnia 1944 r. na terenie placówki Hołynka. W okresie Akcji „Burza” w IV batalionie odtwarzanego 81 pułku piechoty pod dowództwem Bolesława Burakiewicza ps. „Zaleski”. 18 grudnia 1948 r. aresztowany przez PUBP w Augustowie, odwieziony do WUBP w Białymstoku. Następnie przekazany władzom sowieckim do Grodna, gdzie wyrokiem trybunału wojennego został skazany na 25 lat łagrów, konfiskatę mienia i pozbawienie praw przez 5 lat. Powrócił z Kołomy 30 maja 1957 r. Obecnie jako emeryt mieszka w Augustowie. Odznaczony wieloma medalami, w tym Brązowym Krzyżem Zasługi z Mieczami i Krzyżem Partyzanckim.



**Sierż. Jan Wydrycki „Rymwid”, „Sroka”**

Ur. w 1921 r. w miejscowości Turzec pow. Stołpce. Żołnierz AK w Okręgu Nowogródzkim – 81 pp. W 1944 r. w oddziale Kazimierza Okulicza „Góry”, potem w oddziale Wacława Sobolewskiego „Skały”, jako dowódca plutonu. Awansowany do stopnia sierżanta. Aresztowany przez NKWD podczas tzw. „obławy lipcowej” w 1945 r. Ostatni raz widziany na moście w miejscowości Frącki, prowadzony przez funkcjonariuszy NKWD. Wszelki ślad po nim zaginął.



**Aleksander Wydrycki „Cycero”, „Granit”**

Ur. 18 sierpnia 1923 r. w miejscowości Turzec pow. Stołpce. Od 1942 r. żołnierz AK w Okręgu Nowogródzkim, prawdopodobnie

w oddziale „Krysi”. W 1944 r. krótko w oddziale Kazimierza Okulicza „Góry”, następnie Wacława Sobolewskiego „Skały”, w plutonie Jana Biedula „Dziewanowskiego”. Pracował też w komórkach Biura Informacji i Propagandy AK. Po rozwiązaniu oddziałów leśnych, razem z braćmi Janem i Władysławem, próbował wrócić w rodzinne strony. Poszukiwany przez NKWD, zmuszony został do ponownego przekroczenia granicy i powrotu w lasy augustowskie. W 1945 r. zatrudniony jako nauczyciel w Bartnikach, później pełnił obowiązki kierownika szkoły w Lipsku. Aresztowany 12 stycznia 1946 r. przez funkcjonariuszy PUBP w Augustowie, skazany w maju 1946 r. przez Rejonowy Sąd Wojskowy w Białymstoku na 8 lat więzienia. Karę odbywał we Wronkach. Zwolniony w 1951 r. Osiedlił się w Białymstoku, pracował w Rejonowym Urzędzie Telekomunikacji i w Zakładzie Elektronicznej Techniki Obliczeniowej jako z-ca dyrektora do spraw ekonomicznych. Zmarł 20 grudnia 1983 r.



**Władysław (Włodzimierz) Wydrycki „Żbik”**

Ur. w 1926 r. w Turcu, pow. Stołpce. Żołnierz AK w Okręgu Nowogródzkim, potem w Białostockim. Po rozwiązaniu organizacji kilkakrotnie nielegalnie przekraczał granicę PRL, pra-

cował m. in. w Białymstoku. W końcu wrócił do Turca, gdzie zmarł 12 września 1997 r. Jego rodzina mieszka w Mińsku na Białorusi i w okolicach.



**Plut. Adolf Krawczyk „Głaz”**

Ur. 8 lipca 1914 r. w Bohaterach Leśnych, pow. Augustów. Żołnierz 81 pp, uczestnik walk w wojnie obronnej 1939 r., brał udział w obronie Grodna i Sopoćkiń przed wojskami sowieckimi. Po zakończeniu walk zrezygnował z internowania na Litwie, zakopał broń (która później została wydobyta) i wrócił do rodzinnej wsi. W końcu 1941 r. nawiązał kontakt z ppor. Kazimierzem Sitnikiem ps. „Osa”, dowódcą placówki Hołynka AK. Był dowódcą plutonu terenowego i grupy łącznikowo-przerzutowej do oddziałów leśnych w Puszczy Augustowskiej. Przedstawiony do odznaczenia Brązowym Krzyżem Zasługi. Na początku 1946 r. wyjechał na Ziemię Odzyskane. Zmarł podczas operacji w 1973 r.



**Jan Wilczyński „Figiel”**

Ur. w 1918 r. w Wołkuszu, gm. Lipsk, pow. Augustów. Żołnierz rez. 41 pp w Suwałkach, łącznik w IV Rejonie, 2 kompanii plac. Hołynka Obwodu Augustowskiego. Jako żołnierz 41 pp uczestniczył w kampanii wrześniowej brał udział w obronie Warszawy na odcinku Mokotów. Jego działalność konspiracyjna datuje się od 1940 r. Już w 1940 r. uczestniczył w przetrucie osób, zagrożonych wywózką na Syberię, z terenów Grodzieńszczyzny na tereny okupowane przez Niemców, m.in. w przetrucie osadnika Zarzeckiego. Do organizacji AK wstąpił z początkiem 1942 r. Wchodził w skład grupy bohaterskiej plut. „Głaza”. Z końcem 1945 r. w związku z „wsypą” grupy bohaterskiej został zatrzymany i w trakcie konwoju do strażnicy pogranicza w Sołojewszczyźnie, o paręset metrów od swojej zagrody, został zastrzelony. Pochowany na cmentarzu w Teolinie.



**Krystyna Wilczyńska-Sielecka „Kryśka”**

Do organizacji należała od drugiej połowy 1943 r. Działała na terenie placówki AK Hołynka w plutonie „Głaza”, drużynie „Palmy” i zajmowała się łącznością oraz organizowaniem przetrutów na odcinku granicznym Wołkusz-Bohatery. W pracy konspiracyjnej wyróżniała się odwagą i dyscypliną. Po aresztowaniu w 1945 r. uciekła z rąk NKWD podczas konwoju. Opuściła tereny okupowane przez ZSRR i osiedliła się w woj. opolskim w Prudniku. Za pracę w konspiracji odznaczona Krzyżem AK, Odznaką Białostockiego Okręgu AK, Odznaką Weterana Walk o Niepodległość.



**Jan Dadura „Leszczyna”**

Ur. w 1924 r. w Bohaterach Leśnych Nowych, gm. Lipsk, pow. Augustów. Do organizacji AK wstąpił w drugim półroczu 1942 r. Wchodził w skład tzw. bohaterskiej grupy kontaktowo-przerzutowej plut. „Głaza” w IV Rejonie, II Kompanii, II plut. placówki Hołynka z częścią Kurianki. Po otrzymaniu nakazu wyjazdu na roboty do Niemiec przeniesiony został do oddziałów leśnych, wchodził w skład patroli dywersyjno-łącznościowych, brał udział w wielu akcjach, był ranny. W czwartym kwartale 1944 r. po wkroczeniu wojsk sowieckich, wrócił do rodziny, ale ścigany przez NKWD spokoju nie zaznał. Kilkakrotne próby aresztowania przez sowieckie wojska pogranicza ze strażnicy w Sołojewszczyźnie zmusiły go do ponownego wejścia w podziemie. Brał czynny udział w organizowaniu przerzutów do PRL ludzi z AK i młodzieży z terenów zajętych przez ZSRR. Razem z „Palmą”, „Zaleskim” i „Figlem” pozostawał najdłużej na terenach ZSRR. W połowie czerwca 1945 r. przeszedł na stronę polską, ale jesienią został aresztowany przez funkcjonariuszy MO w Lipsku. Po brawurowej ucieczce z posterunku MO musiał się ukrywać. 1 czerwca 1946 r., po zabawie weselnej we wsi Starożyńce, zastrzelony przez funkcjonariuszy UB z Augustowa i MO z Lipska. Pochowany na cmentarzu w Lipsku w kwaterze dla wojskowych.



**Leonarda Jarmusik-Żabicka „Jaskółka”, „Cicha”**

Ur. 2 października 1926 r. w Bartnikach, gm. Hołynka, pow. Augustów. Do AK przyjęta w maju 1943 r. jako łączniczka. Współpracowała z „Głazem” i „Palmą” w grupie łącznikowo-przerzutowej. Jej gospodarstwo wykorzystywane było jako punkt kontaktowy dla oddziałów leśnych i siatki terenowej. Partyzanci znajdowali tam pierwszą pomoc medyczną i schronienie na tzw. „dniówki”. W grudniu 1945 r. została aresztowana, razem z bratem Alfonsem, przez funkcjonariuszy PUBP w Augustowie. Po brutalnym, ponad trzymiesięcznym śledztwie, została zwolniona (brata skazano na 5 lat więzienia). Odznaczona m.in. Krzyżem Armii Krajowej i Odznaką Białostockiego Okręgu AK. Mieszka w Augustowie.





**Antoni Żabicki „Róża”**

Ur. 1 czerwca 1924 r. w Perstuniu, gm. Hołynka, pow. Augustów. Działalność konspiracyjną rozpoczął w 1941 r. w Szarych Szeregach, w 1942 r. wszedł w skład drużyny terenowej AK. Pełnił obowiązki łącznika-zwiadowcy-kolportera. Utrzymywał kontakty z patrolami oddziału „Góry”. Po wojnie pracował jako nauczyciel w Kuriance, Bartnikach i Janówce. Starzał się wychowywać młodzież na wzorach harcerzy z Szarych Szeregów. Obecnie jako emeryt pełni funkcję przewodniczącego Komisji Historycznej przy Kole SZŻAK w Augustowie. Gromadzi eksponaty historyczne z działalności AK i przekazuje je do Muzeum AK przy Szkole Podstawowej w Janówce oraz Szkole Podstawowej im. Armii Krajowej w Augustowie. Kompletuje biogramy do Albumu Żołnierzy AK 7-go Obwodu Augustowskiego. Został odznaczony wieloma odznaczeniami i medalami, m.in. Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski. Mieszka w Augustowie.



**Czesława Masiejczyk „Borówka”**

Łączniczka grupy „bohaterskiej” w drużynie „Palmy”. Aresztowana przez NKWD w 1947 r. Skazana przez Wojskowy Trybunał ZSRR w Grodnie na 10 lat łagrów za przynależność organizacyjną do AK. Osadzona w łagrach koło Irkucka. Zwolniona w 1956 r. Mieszka w Kopczanach.



**Tadeusz Kościuszko „Kościuszko” i Jadwiga Matwiejczyk „Konwalia”**

**Tadeusz Kościuszko** ur. 11 marca 1921 r. w Hołynce, pow. Augustów. Żołnierz ZWZ-AK placówki Hołynka. Był jednym z pierwszych, bardzo aktywnych członków powstającej orga-

nizacji. Na skutek zdrady aresztowany przez żandarmerię niemiecką. 9 maja 1944 r. został przekazany do obozu Stutthoff. Zarejestrowany jako więzień polityczny pod numerem 35569. Tam ślad po nim zaginął.

**Jadwiga Matwiejczyk** ur. w 1919 r. w Rakowiczach, córka Józefa Matwiejczyka. Wstąpiła do organizacji ZWZ-AK na terenie placówki Hołynka z początkiem 1942 r. Pełniła funkcję łączniczki z jednoczesnym przydziałem do Wojskowej Służby Kobiet. 27 września 1947 r. została aresztowana przez NKWD. 24 listopada 1947 r. została skazana przez Grodzieński Trybunał Wojskowy ZSRR na 10 lat łagrów. Zwolniona po 9 latach, zm. 21 sierpnia 1985 r. w Augustowie.



**Józef Matwiejczyk „Chmura” (z rodziną)**

Ochotnik w walkach o niepodległość w latach 1918-1920. Odznaczony Krzyżem Walecznych – Krzyżem Zasługi i wieloma innymi odznaczeniami. W latach okupacji niemieckiej brał czynny udział w działalności konspiracyjnej pod ps. „Chmura”. W 1947 r. aresztowany przez NKWD. Po miesięcznym śledztwie zmarł w więzieniu nr 1 w Grodnie.



**Czesław Albanowicz „Piorun”**

Ur. 18 stycznia 1919 r. w Jeziorkach Małych. Przynależność organizacyjna do AK od 1942 r. Był zwiadowcą i przewodnikiem. Podejrzany o współpracę z AK został w 1943 r. aresztowany, ale udało mu się zbiec podczas doprowadzania na posterunek policji. Ojciec i siostra także musieli ukrywać się i wstąpili do oddziału partyzanckiego „Konwy” Albina Drzewieckiego. Zmarł 5 stycznia 1995 r.



**St. sierż. Kazimierz Romańczuk „Niezapominajka”**

Ur. w 1923 r. w Perstuniu, gm. Hołynka. Od 1942 r. żołnierz AK placówki Hołynka Obwodu Augustowskiego. Aresztowa-

ny przez NKWD 8 września 1945 r. i skazany przez Trybunał Wojenny w Grodnie na 10 lat łagrów. Więziony w łagrach na terenie Republiki Komi. Powrócił do Polski 13 marca 1955 r. Mianowany na stopień st. sierżanta, odznaczony wieloma medalami i odznaczeniami. Mieszka obecnie w Wałbrzychu.



**Józef Pieczyński „Jastrząb”**

Żołnierz Armii Krajowej 7-mej Sopoćkińskiej Kompanii dowodzonej przez „Zagłobę” – ppor. Bronisława Haponika. Aresztowany w dniu 19 lipca 1945 r. przez NKWD. W dniu 19 marca 1946 r. skazany przez Wojskowy Trybunał w Grodnie na 15 lat pracy obozowej i na 3 lata pozbawienia praw obywatelskich. Karę odbywał w łagrach w Norylsku jako łagiernik nr K-481. Zwolniony w październiku 1956 r. Zmarł w Giżycku w 2004 r.



**Stanisław Turowski „Pantera”**

Członek Kedywu w grupie „Orlicza” przy 7-mej Sopoćkińskiej Kompanii. Aresztowany przez NKWD w Sopoćkiniach we wrześniu 1945 r., więziony i przesłuchiwany przez NKWD w Grodnie. W dniu 20-go sierpnia 1946 r. skazany przez Trybunał Wojskowy MSW Obwodu Grodzieńskiego na 10 lat prac obozowych. Wyrok odbywał w łagrach na dalekiej Północy w Republice Komi. Zwolniony z łagrów w 1954 r. Mieszka w Giżycku.



**Witold Dadura „Wiktor”**

Ur. w 1925 r. we wsi Bohatery Leśne. Aresztowany przez funkcjonariuszy WUBP w Białymstoku na terenie Polski w

miejsowości Starożyńce w dniu 17 lipca 1948 r. i przekazany władzom ZSRR. Wyrokiem Trybunału Grodzieńskiego 29 stycznia 1949 r. skazany z art. 63-1 na 25 lat pozbawienia wolności i utratę praw na okres 5 lat za nielegalne przekroczenie granicy na teren Polski. Wyrok odsiadywał w łagrze Magadan AB 47. Zmarł 13 lutego 1986 r. w Giżycku.



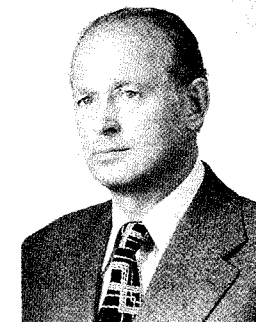
**Piotr Krysiuk „Krysiu”**

Żołnierz AK III-go plutonu 8 kompanii. Po rozstrzelaniu ojca przez Niemców w czerwcu 1944 r. włączył się aktywnie w działalność organizacyjną AK Współpracując z „Głazem”, „Palumą”, „Dziewanowskim” i z oddziałami leśnymi, brał czynny udział w akcjach. Po rozwiązaniu oddziałów leśnych uczestniczył w rozpracowywaniu grup pozorujących oddziały AK przy nielegalnych rekwizycjach. 18 czerwca 1946 r. aresztowany przez PUBP w Augustowie. Skazany przez Rejonowy Sąd Wojskowy w Białymstoku za przynależność do AK i niezłożenie broni na karę 8 lat więzienia i 5 lat pozbawienia praw obywatelskich. Karę odbywał w więzieniu we Wronkach. Mieszka w Olecku.



**Władysław Ignatowicz „Brzosko”, „Śmiały”**

Ur. 20 kwietnia 1913 r. w Raciczach, pow. Augustów. Żołnierz 2 Pułku Ułanów w Suwałkach. Uczestnik walk we wrześniu 1939 r. Od kwietnia 1943 r. żołnierz AK w drużynie terenowej w Raciczach, placówka Hołynka, która wchodziła w skład 8 kompanii. W maju 1945 r. zaangażowany przy udzielaniu pomocy rannemu dowódcy swojej kompanii ppor. „Zaleskiemu”. W 1946 r. z całą rodziną wyjechał do Polski i osiedlił się w Giżycku. Zmarł 4 lipca 1982 r.



**Jan Burzyński „Ira”**

Ur. 8 marca 1918 r. w Raciczach, pow. Augustów. W organizacji AK od 1942 r. w 8 kompanii B. Burakiewicza „Zaleskie-

go” w sekcji wywiadu B. Zaniewskiego „Raczki”. W okresie okupacji niemieckiej zabezpieczał trasy łącznikom przerzutowym. W maju 1945 r. udzielił pomocy na terenach okupacji sowieckiej ściganym przez wojska sowieckie łącznikom AK „Palmie” i „Głazowi”. Jednocześnie rannemu dowódcy kompanii AK - ppor. B. Burakiewiczowi „Zaleskiemu” zorganizował pomoc lekarską, angażując doktora Witolda Stępińskiego z Sopoćkiń kwietniu 1945 r. Przewodem komp. nr 8 został przedstawiony do awansu. Obecnie jako emeryt zamieszkuje w Białymstoku.



**Kazimiera Kozłowska-Bonarska**

Zamieszkała w miejscowości Starożyńce. Po rozstrzelaniu przez Niemców szwagra Stanisława Krzywickiego za współpracę z oddziałami AK współpracowała z członkami organizacji, w tym z „Krysią”, „Palmą”, „Głazem”. Przyczyniła się do ustalenia nielegalnie działających grup dokonujących rekwizycji.



**Genowefa Dzieczyk**

Zamieszkała w miejscowości Lubinowo-Laski. W domu Genowefy i Stanisława Dzieczyków był punkt informacyjno-łącznościowy grupy bohaterskiej. W 1945 r. patrol sowiecki urządził tam zasadzkę na „Palmę”. Z narażeniem życia usiłowała zapobiec aresztowaniu. Stanisław Dzieczyk czynnie uczestniczył w akcjach przerzutowych już od 1940 r.



**Janina Kuczyńska-Pawłowska**

Ur. 5 grudnia 1922 r. w Raciczach. Wspólnie z bratem Adolfem aktywnie działała w walce z okupantem, spełniając kilka-

krotnie funkcję dobrego zwiadowcy. Przy nawiązaniu łączności z por. „Zaleskim” tuż przed obławą i w czasie obławy opatrzyła rany por. „Zaleskiemu” i umożliwiła schronienie się członkom grupy AK.



**Adolf Kuczyński**

Ur. w 1914 r. w Raciczach, pow. Augustów. Od 1943 r. współpracował z AK. W jego zagrodzie w Raciczach mieścił się punkt kontaktowy dla członków organizacji kierowanych do oddziałów leśnych. Udzielał schronienia łącznikom przekraczającym granicę z PRL. W maju 1945 r. przechowywał ранego dowódcę 8 kompanii ppor. „Zaleskiego”. W 1946 r. wyjechał do Polski i osiedlił się w Ełku.

## SPIS TREŚCI

<b>Przedmowa</b> .....	5
<b>Wstęp</b> .....	9
<b>Rozdział I</b>	
<b>Wrzesień 1939-go roku</b> .....	13
<b>Rozdział II</b>	
<b>Zbrodniczy podział kraju.</b>	
<b>Pod administracją sowiecką</b> .....	19
<b>Rozdział III</b>	
<b>Nowy „gospodarz” – administracja niemiecka</b> ..	30
<b>Rozdział IV</b>	
<b>Ponownie pod sowiecką władzą</b> .....	67
<b>Rozdział V</b>	
<b>Ziemie Odzyskane</b> .....	143
<b>Rozdział VI</b>	
<b>Lata prowokacji</b> .....	162
<b>Rozdział VII</b>	
<b>Kulisy służb bezpieczeństwa</b> .....	196
<b>Refleksje końcowe</b> .....	214
<b>Noty biograficzne</b> .....	219



## Józef Pawluczyk



ur. 24 stycznia 1921 r. w Filadelfii (USA). W latach dwudziestych powrócił wraz z rodziną do Polski i zamieszkał w miejscowości Bohatery Leśne. W czasie wojny - żołnierz Armii Krajowej pod ps. „Palma”, działał na terenach Grodzieńszczyzny i Augustowszczyzny w specjalnej grupie kontaktowo-przerzutowej w plutonie A. Krawczyka „Głaza” (placówka Hołynka, 2 kompania ppor. K. Sitnika „Osy” i 8 kompania ppor. B. Burakiewicza „Zaleskiego”). Brał udział w różnych akcjach, pełnił rolę kuriera-przewodnika do spraw łączności granicznej i organizował przerzuty żołnierzy AK przez tzw. linię Curzona. Poszukiwany przez NKWD i UB po obu stronach granicy osiedlił się po wojnie w Pozezdrzu pod przybranym

nazwiskiem Albin Łapiński. Po ujawnieniu się w 1947 r. prześladowany przez UB, aresztowany i więziony. Uznany za wroga PRL-u, dopiero w III Rzeczpospolitej doczekał się rehabilitacji. W swoim pamiętniku, jednym z nielicznych opublikowanych z terenu Augustowszczyzny i Grodzieńszczyzny, opisuje dramatyczne wydarzenia z okresu wojny i z czasów powojennych. Przedstawia tragiczne losy ludzi żyjących i walczących na Kresach, którzy za patriotyczne zaangażowanie płacili więzieniem, pobytami w łagrach, często życiem. Barwna opowieść posiada znaczenie dokumentu historycznego, ale powinna zaciekawić również szersze grono czytelników.